

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**Janusz  
Odrowąż-Pieniążek**

**Cocktail  
u księżny Georgijew**

**Opowiadania paryskie**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

## TA STARUSZKA

Dom przy ulicy Campagne-Première nie różnił się niczym szczególnym od innych kamienic Czternastej Dzielnicy Paryża, był bodajże czteropiętrowy i wchodziło się do niego zupełnie tak samo jak do innych domów, przez bramę, otwartą cały dzień na rozcież; dopiero wieczorem, już około wpół do dziewiątej, niezależnie od tego, czy było to latem, czy zimą, zamykała ją stara stróżka, madame Picon, ale i wtedy wchodziło się łatwo; trzeba było tylko pocisnąć guzik, bzyknęło, furtka w bramie, ustawiona nieco ukośnie i tak sprytnie, żeby już jej nie popychać, otwierała się sama.

W Czternastej Dzielnicy stróżki są zupełnie inne, dużo łagodniejsze niż, na przykład, w Szesnastej czy Siódmej, gdzie warują strzegąc skarbów bogatych mieszczuchów; tam za każdym bzyknięciem bramy odsłania się firanka stróżówki i widać ciekawą, zawsze rozczochną głowę, a przeważnie pada także mało uprzejme pytanie, do kogo i po co. Madame Picon też była wprawdzie bardzo ciekawa, ale chyba raczej z ciekawości wrodzonej niż inspirowanej obowiązkami stróżki. Wieczorem jednak nic już jej nie obchodziło. Upiwszy się najpierw czerwonym winem Postillon w towarzystwie swej sąsiadki, grubej i koślawej baby zwanej w kamienicy Almagiva z racji przedpotopowego czarnego kapelusza z wielkim i pokrzywionym rondem, który nosiła na głowie, zasypiała spokojnie i bez obawy, że ktoś z lokatorów mógłby mieć do niej o to jakieś żale. Mieszkali tu ludzie skromni, malarze, drobni rentierzy, urzędnicy, emeryci, na parterze była pralnia. Trzeba jednak dodać dla sprawiedliwości, że madame Picon wstawiała skoro świt i już od wczesnego rana słychać było na podwórzu jej rozmowy ze śmieciarzami, którzy dość hałaśliwie opróżniali aluminiowe kubły. Potem rozprawiała z listonoszem, który zawsze gładził jej czarnego kota, wreszcie, już chyba koło dziesiątej, zjawiał się na podwórzu człeczyna czarniawy i nędznie ubrany, posuwający się jak kaleka. Śpiewał on fałszywie jakąś pieśń kończącą się zawodzącym „étoi-le”, a potem zbierał pieniądze, które mu rzucano w papierkach, dziękując głośno: „Merci, messieurs, dames”.

Nie wiedziałem jeszcze o tych obyczajach, wchodząc po raz pierwszy na klatkę schodową (wskazała mi ją madame Picon) i pukając parokrotnie do drzwi mieszkania na pierwszym piętrze, dopóki nie zauważyłem kartki, która była, widać, wetknięta w szparę, bo teraz leżała przy słomiance. Napisano na niej staroświeckim pismem, że drzwi są otwarte, przeszedłem więc mały przedpokój z oknami zasłoniętymi grubymi storami, kuchnię z mnóstwem garnków, talerzy i stołem nakrytym ceratą, na której stała salaterka z wielką ilością cykorii, a potem wchłonięty zostałem w długi, zupełnie ciemny korytarz (nie wiedziałem, gdzie jest kontakt) zastawiony skrzyniami z węglem, kuframi podróżnymi sprzed parudziesięciu lat, pudłami i walizkami, na których dopiero znajdował się skład szczotek i śmietniczek. Między tym wszystkim kryło się troje drzwi; pukałem kolejno: do pierwszych, potem do drugich, ale dopiero za trzecimi odezwał się słaby głos zapraszający, bym je otworzył.

Pokój pani Franciszki Jańdźwiłłowiczowej (polecono mnie tu już przedtem listami) w niczym nie różnił się od pokoi innych staruszek mieszkających kilkadziesiąt lat w tym samym miejscu. Na tle paru portretów w stylu „belle époque” i bibelotów, także o treści patriotycznej, siedziała drobna, zgarbiona staruszka, wyglądająca na lat dziewięćdziesiąt, bo była bardzo pomarszczona, ale starannie ondulowana, patrzyła tępo przed siebie. Powstawszy z

trudem, zaprowadziła mnie o kiju do owych środkowych drzwi, w które pukałem bezskutecznie, otworzyła je i pokazała mi pokój bliźniaczo podobny do swojego. W ten prosty sposób zamieszkałem na Campagne-Première.

Trzeba się było, oczywiście, wciągnąć w rytm mieszkania, ale nie było to trudne. Rano przychodziła pani Mierna, herod baba, paliła w żelaznych piecykach (rury wprowadzone były do nie używanych od dawna kominków), a potem ubierała panią Jańdźwiłłowiczową i przez niezbyt szczelne drzwi, zastawione szafą, słyszałem donośny głos pani Miernej:

- Tera da pani nóżkę, gdzie ona nie była, ta nóżka, co ona świata nie zesła!
- Dobrze już, dobrze – odpowiadała staruszka.
- A tera tum drugum.

Pani Mierna krzątała się pilnie, przynosiła śniadanie i dokładnie sprzątała huczącym odkurzaczem. Była bardzo gadatliwa i szczególnie dużo mówiła na temat swojego dobrego serca:

– Bo ja tak tylko z litości, z tego serca nad tą moją panią taką starutką, taką słabiutką, tak do pani przychodzę.

– Za pieniądze pani hrabiny – odburkiwała pani Jańdźwiłłowiczowa niezbyt grzecznie, ale istotnie tak było. Czasami też, o różnych porach dnia, staruszkę odwiedzała owa dobra hrabina. Szofer czekał przed bramą, a ona wchodziła na górę albo sama, albo, częściej, z inną starszą panią, której czyniła „charité”, i wtedy pochwałam i dziękczynieniom nie było końca, z obu stron naraz, aż hrabina musiała się bronić: „Zostawcie, zostawcie, nie trzeba, nie trzeba”. Żałowałem wtedy, że Eliza Orzeszkowa nie żyje już, jak wiadomo, od wielu lat, dodać jednak warto, że i pani Mierna też się starała bardziej niż zwykle, jeśli wizyta była zapowiedziana: czyściła wszystkie klamki, aby się świeciły, nawet szorowała schody, choć należało to do obowiązków stróżki, madame Picon.

– Tu mojej pani hrabiny nóżka stapać będzie, a za tum klameczke jej rączka weźnie – mówiła do mnie zadowolona ze swej roboty.

Popołudniami przychodziły do pani Jańdźwiłłowiczowej jej przyjaciółki, inne staruszki albo panie w wieku bardzo podeszłym. Były to Polki, Rosjanki i Żydówki, z którymi rozmawiała po polsku, rosyjsku albo po francusku, używając często słów, które były utworzone z wyrazów francuskich z końcówkami polskimi albo rosyjskimi czy też odwrotnie. Przynosiły jej wiadomości, lekarstwa, owoce i cukierki, którymi potem byłem częstowany, a pani Jańdźwiłłowiczowa relacjonowała mi sucho kłopoty swych przyjaciółek. Pani Smirnoff, na przykład, przeszła dziesięć lat temu na katolicyzm, nawrócona przez jakiegoś księdza; od tego czasu nie wolno było nawet mówić po rosyjsku w jej obecności, mówiła tylko po francusku, gdy oto przed paru dniami załamała się, przeszła z powrotem na prawosławie, a cały swój majątek, wywieziony w 1917 roku, składający się ze sztabek złota wartości pięciu milionów franków, ofiarowała dla prześlągania popu-pijaczynie z cerkwi przy avenue Hoche. Córka chce go skarżyć do sądu, a matkę zamknąć w zakładzie, pani Smirnoff płakała, pewno więc tu była już po raz ostatni.

Czasami staruszka przygotowywała się od samego rana do odwiedzin syna. Przychodził bardzo rzadko, choć ją podobno kochał, był agentem jakiejś firmy i stale w podróży. Sfrancuział do tego stopnia, że nawet imię Roman zamienił na Guy, a nazwisko, istotnie trudne do wymówienia, ale z tradycją, na popularne Dupas; nic go nie obchodziło, że po polsku nie brzmiało najlepiej.

– Litwin zakuty – mówiła o nim pani Jańdźwiłłowiczowa z gniewem – taki sam, jak jego ojciec.

Zaraz pierwszego dnia odkryłem – co było zresztą nietrudne – że pani Franciszka nie bardzo lubi sublokatora, mego sąsiada z prawej, zajmującego pokój przy kuchni. Wybierając się w tamtą stronę pukała do mnie obarczając misją sprawdzenia, czy go tam gdzie nie ma.

- Nie natknę się czasem na tego łajdaka?

Opinia była więc niedwuznaczna. Maurice był otyłym architektem z oczami na wierzchu, jak żaba, młodym jeszcze, ale bodaj brakowało mu piątej klepki od czasu kontuzji na wojnie w Algierii. Wielkim był smakoszem i gdy przychodził wieczorem do domu, długo gospodarował w kuchni, przyrządzając sobie sałatę, smażąc frytki i befsztyki na oliwie, potem wszystko zjadał z wielkim apetytem, zapijając winem Côte de Provence, jak świadczyły puste butelki. Nie gardził też calvadosem; gdy przechodziłem, zawsze mnie nim częstował wiedząc, że Polacy wolą wódkę. Muszę przyznać, że mimo wielu dziwactw był człowiekiem spokojnym i zarzuty pani Jańdźwiłłowiczowej nie były usprawiedliwione, a wynikały podobno z niechęci staruszki do sublokatorów w ogóle, na których zdana była przez wiele lat od chwili śmierci męża.

– Miałam masło, a on mi je zjadł. Miałam serek, a on mi go zjadł. Miałam jajko, a on mi je zjadł – powtarzała uporczywie, patrząc tępo, ale może był to po prostu objaw depresji nerwowej, na którą chorowała.

Maurice zapraszał mnie do siebie i oglądałem jego obrazy. Malował zachody słońca nad wzburzonym morzem, ale nie to świadczyło o braku owej klepki, bo na Montparnassie każdy prawie maluje jak potrafi. Gorzej, że skoro tylko wziął pędzel do ręki, śpiewał, ale i to nie byłoby niczym dziwnym; śpiewał jednak ciągle to samo. Nazwisko Garibaldiego upodobał sobie szczególnie, ono też stanowiło jedyne słowo pieśni jego własnej kompozycji, składającej się tylko z dwóch nut, niższej i nieco wyższej, kończącej się długim, bardzo długim tremolo. Najgorzej bywało w jesienne i zimowe niedziele, gdy nie wyjeżdżał w plener, a jeszcze gorzej, gdy i pani Jańdźwiłłowiczowa wpadała jednocześnie w depresję nerwową, łykała pigułki i szeptała na różne sposoby jedno tylko słowo, wolniej i szybciej, ciszej i głośniej: dziesięć, dziesięć, dziesięć, dziesięć...

Było mi wprawdzie bardzo dobrze w mieszkaniu przy ulicy Campagne-Première, ale w takich momentach jedynie widok madame Picon, która rozprawiła o czymś na podwórzu z Almagivą, uspokajał moje wątpliwości co do samego siebie.

Późnymi wieczorami Maurice przyjmował wizyty pani Germaine i wtedy na szczęście cichnął Garibaldi. Przychodziła z psem, podstarzałym rudawym kundlem, niezgrabnym i opasłym, którego nie lubiłem, bo warczał na mnie, zresztą, co się często zdarza, był podobny do swej pani; zostawiała go w kuchni albo w przedpokoju. Pani Jańdźwiłłowiczowa także nie lubiła obojga; nienawiść, jaką darzyła Maurice'a, potęgowała się stokrotnie i przenosiła na panią Germaine, gdy tylko zjawiała się w jej mieszkaniu. Istotnie, pani Germaine chyba nie była dla Maurice'a odpowiednią przyjaciółką, starsza o dobre dwadzieścia lat, któż może wyrokować w takich sprawach; widocznie jednak mogła być, skoro była. Potwierdzały to odgłosy dobywające się zza ściany, często i późną nocą. Niemniej jednak, gdy tylko wieczorem trzasnęły drzwi wejściowe, pani Franciszka nie mogła się na to zgodzić, i mimo trudności w poruszaniu się, chodziła zdenerwowana po swoim pokoju, stukając laseczką, wreszcie pukała do mnie, głęboko oburzona, z ustami zaciśniętymi w podkowę.

- Czy przyszła już do niego... ta staruszka?
- Ależ ona jeszcze nie jest staruszką!
- Jest staruszką! Czy wie pan, że ona ma sześćdziesiąt... sześćdziesiąt... dziewięć lat?
- Niemożliwe, wygląda na pięćdziesiąt parę.
- A może ma nawet skończone siedemdziesiąt!
- Kto by przypuścił...
- A matka tej staruszki...
- Taka staruszka i ma jeszcze matkę?
- A ma matkę! I ona jest zupełnie sparaliżowana.

Podobna rozmowa powtarzała się co wieczór i nie było mowy, aby, upewniwszy się, że pani Germaine już przyszła, pani Franciszka wybrała się po coś do kuchni. Zasypiała późno, po użyciu proszków uspokajających i nasennych. Rano, w szlafroku, także stukała do moich drzwi:

– Nie wie pan, czy wyszła już od niego... ta staruszka?

Ale pewnego wieczoru usłyszałem coś, co mnie zaniepokoiło. Pani Jańdźwiłłowiczowa wpadła w depresję nerwową i powtarzała na różne sposoby, ciszej, głośniejsze, prędzej, wolniej, ciągle ten sam wyraz: trucizna, trucizna... trucizna, trucizna...

Leżąc już w łóżku wezwała mnie do siebie, płakała, ale powiedziała mi zdecydowanie:

– Ja się dzisiaj w nocy zabiję. Ja się dzisiaj w nocy otruję.

Próbowałem ją bezradnie uspokajać.

– Ale pamiętałem o panu w testamencie, nie usuną pana z mieszkania jak tego... łajdaka, tu jest list w tej sprawie – pokazała kopertę leżącą na kominku.

Podziękowałem serdecznie, bo pokój był, mówiąc szczerze, dość wygodny, wybiegłem czym prędzej na ulicę, aby zadzwonić do Guy Dupas. Poczta na bulwarze Montparnasse była już zamknięta, musiałem biec aż do metra Vavin, na Raspail nie ma automatu.

– Niech się pan histeriami mamą nie przejmuj – mówił syn, który ją kochał – ona od dwudziestu lat chce się otruć, wiele razy już próbowała. Najwyżej się zrobi płukanie żołądka. Zawsze jednak wychodzi zdrowa, bo ma silne serce. Niech pan jednak weźmie do siebie wszystkie lekarstwa i proszki, na wszelki wypadek.

Zrobiłem, jak prosił, ale mimo wszystko długo czuwałem tej nocy. Z pokoju pani Jańdźwiłłowiczowej nie dochodził żaden odgłos, pewno zmęczyła się płaczem i zasnęła.

Wreszcie, gdzieś koło trzeciej, zapadłem w ciężki sen, z którego nie mogłem się wcale obudzić; głowę miałem ciężką jak ołów, nie mogłem otworzyć oczu. Gaz! Prawda, w pokoju pani Jańdźwiłłowiczowej był w ścianie jakiś stary kurek – przemknęło mi przez myśl uciekającą w głąb; pewno i ja się otrujęm, drzwi są nieszczelne – pomyślałem resztką świadomości.

Ktoś mnie szarpał za ramię: zebrałem wszystkie siły, by otworzyć oczy; powietrze było już inne. Nade mną stała pani Franciszka, okno było otwarte na rozcież, mówiła jak zwykle, wolno, jakby z zaciętością:

– To ja otworzyłam gaz... ale go zamknęłam. Nie słyszał pan, czy wyszła już od niego... ta staruszka?

## **DYSKRETNA SPRAWA LARISY DE STROGOFF**

Od czasu do czasu, mniej więcej raz na miesiąc, czasem dwa razy, ale nigdy częściej, dostawałem kartkę pocztową, na której były napisane tylko dwa słowa: „Venez vite” bez żadnego podpisu. Stróżka, która rano i wieczorem doręczała mi korespondencję, patrzyła wówczas podejrzliwie, bo pocztówki wyglądały, jak na dzisiejszy gust, bardzo osobliwie: reprodukcje obrazów wystawionych w salonach paryskich z lat 1900–1914; były to zresztą zawsze akty, uśmiechały się z nich zwykle kuszące piękności ni to nurkujące, dajmy na to, pod wodą, ni to spoczywające gdzieś w polu pośród rozsnutych pajęczyn, trudno odgadnąć, ale zdarzały się także jakieś obrzydliwe, stare babska z obwisłym biustem i potężnym brzuchem, studia mocno realistyczne i symbolizujące, dajmy na to, płodność; pocztówki nosiły podpisy w wielu językach, aczkolwiek autor nie zawsze był znany, na przykład: „Femme au peignoir rose – Der rosa Schlafrock – Rużowy żupan – Rozowyj peniuar – Różowe nakrycie”. Innym jeszcze razem otrzymałem kolorową podobiznę ondulowanej pani z twarzą pokojówki, za jedyne ubranie mającej koronkowe majteczki z kokardkami; szczerzyła perliste ząbki, na łonie trzymała kotka, a piesek patrzył się wiernie („Câlinerie – Coaxing – Verwöhnung – Łaska – Pieszczoty. Salon de Paris 1912”), a kiedyś była nawet scena morderstwa („Volupté féminine”): skośnooka, naga i demoniczna blondynka, z rękami na kształt szponów, zasztyletowała mężczyznę tarzającego się w przedśmiertnych drgawkach i z wywróconym okiem u stóp obrazu wyobrażającego szczęśliwe chwile, gdy tańczą na balu, patrząc sobie w oczy.

Zaniepokoiłem się nie na żarty, gdy stróżka zapukała do mnie nie o swojej porze, po południu, i doręczyła mi pomięty pneumatyk, poznałem znajome pismo, oddarłem brzegi sekretnika, ale znalazłem tam tylko znane mi dobrze dwa słowa, z tym że drugie, „szybko”, podkreślone było dwukrotnie czerwonym ołówkiem. Nie tracąc więc chwili czasu, sprawa musiała być ważna, pobiegłem do metra, przesiadłem się później na La Motte-Picquet-Grenelle, zjeżdżając windą z peronu linii napowietrznej pod ziemię, zdążyłem w ostatniej chwili precyzyjnie się przez szparę zamykającej się powoli, ale stanowczo automatycznej furtki „direction Auteuil”, by wysiąść już na stacji następnej, Émile Zola; tutaj, w Dzielnicy Piętnastej, język rosyjski na ulicy i w kafejkach nie był wcale rzadkością. Dotarłem teraz prędko do wysokiej, szarej kamienicy, wszedłem potem na piąte piętro, klatka schodowa z podwórza na lewo, nacisnąłem dzwonek. Robiłem to zresztą pro forma, bo z góry wiedziałem, jak rzecz potoczy się dalej; w tym samym prawie momencie z drugiej strony drzwi odezwał się jazgot wielu jamników, a zza wielkiej, zwykłej, heblowanej deski (na której, pod dokładnie wyrysowaną dziewięciopałkową koroną, widniał napis: „Le comte et la comtesse Georges I. Strogoff”, poniżej zaś, na wysokości twarzy, wycięto kilka okrągłych otworów przesłoniętych wyszarzałą tkaniną) zaskrzypiał dźwięk, dochodzący od strony dziurek umieszczonych z prawej:

- Qui est là?
- C’est moi! – odpowiedziałem, nachylając się nieco do dziurek lewych.
- Drzwi są otwarte.

Jamniki rzuciły się, piszcząc, na przywitanie, znały mnie bowiem dobrze, a w nozdrza uderzył zapach momentalnie ścinający z nóg, nie dałem się jednak, będąc przygotowany; następował dalej korytarzyk długi i kręty. Zapaliwszy światło trzeba było przeskakiwać kilkanaście



baseników, tac i brytfanien posypanych trocinami; i tak nie było tym razem najgorzej, bo trafiało się tu często na chwilę, gdy przysiadaly olbrzymie kocury, a przybyszowi ze świeżego powietrza zapierało dech po raz drugi, skutecznie jednak i, można to tak nazwać, definitywnie, albo więc się cofał, albo też zdażył jeszcze dopaść drzwi klozetu, znajdującego się na szczęście pod bokiem.

Tym razem przeprawa odbyła się bez tego. Jamniki, towarzyszące gościowi, chyżo brały przeszkody, forsowały także grubą rurę kanalizacyjną, która przecinała korytarz nie wiadomo dlaczego kilka centymetrów ponad poziomem podłogi; pamiętałem o niej, a jednak potykałem się za każdym razem, tu bowiem, za trzecim zakrętem, nie docierało już światło małej żaróweczki, od sufitu zwieszała się mokra bielizna, niemiło dotykała twarzy, uderzałem więc czołem o drzwi, które, przymocowane do wahadłowych zawiasów wykręcających się łatwo w lewo i w prawo, odmykały się lekko. W pokoju panował półmrok, okna zasłonięte kotarami, tylko w kącie, przed złoconą bizantyjską ikoną, paliła się stale czerwona lampka w kształcie płomienia. Zresztą w pierwszej chwili widać było jedynie pięć wielkich, staroświeckich pudeł radiowych, przeważnie z okrągłą skalą koloru kości, gdzie zaznaczono podziałkę krótszymi i dłuższymi kreskami, modele sprzed trzydziestu lat skupywane za bezcen na Pchlim Targu, na każdym pudle siedział albo leżał nieruchomo kot, były tam koty mniejsze i większe, nie reagowały wcale na wejście obcego.

– Cieszę się, że dostał pan na czas mój pneumatyk – powiedziała pani Giselle Strogoff, kobieta zapewne sześćdziesięcioletnia, tęga, ale zrobiona na jeszcze młodą, która leżała w łóżku; zapaliła zaraz nocną lampkę przyczepioną do oparcia. Wtedy dopiero kołdra, którą była przykryta, zaczęła ruszać się podejrzenie w różne strony, za chwilę po bokach lub w dziurach, którymi wylaziła wata, ukazywały się, zawsze tak było, długie nosy innych, bardziej leniwych jamników, wysuwających się z pościeli ospale, jeden za drugim. Wszystkie były bardzo opasłe, a ich kasztanowata sierść lśniła się, gładziutka, jak na końskich zadach. Siedział na wiśniowej, podartej kołdrze i podczas mojej rozmowy z panią Strogoff kończyły ogryzać olbrzymie, okrwawione kości, błyskając czasem wzruszająco swymi ślepkami.

– Tej suczki pan jeszcze nie zna – wyjaśniała pani Giselle – będzie tu u mnie miesiąc na pensjonacie, jej mamusia, córka generała Jegorowa, pojechała na występy do Nowego Jorku, jest modelką u Heima, to ta, która miała ten straszny wypadek z mężem, kiedy wyjechała, wyrzucił jej rzeczy z mieszkania, biedaczka, strasznie to przeżyła, kupili jej tę ptysię, żeby przysłała do siebie, nazywa się Brigitte, chodź tu, Brigitte, do cioci, patrz, wujek przyszedł (przyciskała pieska do piersi), mój ty tatuchna (pieściła ją), kralonik ty, majtonik, mój ty ciupas.

Jamniki, zazdrosne, rzucały się tłumnie na panią Strogoff, inne warczały pilnując swoich kości albo odgryzały się ze szczekiem.

– Gorzej – mówiła pani Giselle – bo zdaje się, że wczoraj Adolf pokrył Brigitte, weszłam za późno, uszyłam teraz majteczki i wkładam jej, kiedy tylko nie mam czasu uważać, nie wiem, co to będzie, jak wróci ta Jegorowna, powiedział jej lekarz, że Brigitte taka wątła, umrze, jakby miała mieć szczeniaki, już mi tu jej drugi raz nie odda, a często wyjeżdża i płaci nieźle, utrzymuję za to całą moją czeredę, nie ma pan pojęcia, jaka to ciężka praca tak stale na wszystko uważać. Znowu ta mała, Catherine, nie chce wcale zasnąć, tylko przy cycusiu, muszę ją brać do siebie, i to nie przy lewym, tylko przy prawym. I te ciągle historie z kotami: jak tylko załatwi się który w korytarzu, wszystkie psy rzucają się, lecą, żeby zjadać, wie pan, jaka jestem zmęczona, a muszę wstawać, posypywać trocinami i wynosić, bo kiedy mnie później całują, to nieprzyjemnie.

– Wierzę najzupełniej.

– Weronika też jest znowu u mnie – ciągnęła dalej pani Giselle – widzi ją pan, tam w kącie, nie może się ruszać, biedna starocia, boję się, że mi tu umrze, co ja zrobię, pani Chom-mage wyjechała teraz do Genewy z odczytami o parapsychologii, opowiadałam panu, ona

wierzy, że duch jej męża jest w Weronice, umarł tej nocy, kiedy się urodziła, wierzy, że to był znak. Ale pułkownik Gregorow, ten kawalarz, ile razy tu przyjdzie, zawsze prosi, żebym pozdrowiła od niego panią Chommage i pana Chommage, niech pan sam popatrzy, jakie to cudowne, mądre stworzenie!

Weronika mnie znała, była tak opasła, że już się nie ruszała, jak foka, z krzywymi łapkami rozłożonymi na boki, patrzyła rozsądnie, wielka dama, jej pyszczek, z dużą czarną brodawką, nosił ślady dawnej urody, przywykłej do hołdów, poruszała lekko ogonem.

Wracając na krzeselko płątałem się między drutami. Całe otoczenie łóżka pani Strogoff było radiofonizowane: na kilku przesuwalnych, opatrzonych kółkami stoliczkach stały mikrofony i głośniki połączone z głośnikami i mikrofonami w innych pokojach: z pracownią męża (wyplatał w wolnych chwilach koszyki z wikliny, gdy był u siebie, mówiła do niego stale), z deską na drzwiach wejściowych, zwaną resztką drzewa genealogicznego, wreszcie z pokojem w drugiej części obszernego mieszkania, stanowiącego własność pani domu, który wynajmowała tanio czy może nawet bezpłatnie jakimś rozbitkom życiowym, ale na specjalnych warunkach: chciała w każdej chwili móc sprawdzić, co się tam dzieje, nie podnosząc się z łóżka („wiem dobrze – mówiła – kiedy Aleksiej Andriejewicz czyta książkę, słyszę szelest kartek, wiem, kiedy podchodzi do okna, kiedy się kładzie, a jeśli opowiada coś komuś i zełże, to go poprawiam i naje się wstydu, teraz się nauczył, mówi samą prawdę, ostatnio zresztą coraz rzadziej używam tego urządzenia, bo światło mocno zdrożało”). Z aparatów radiowych, ustawionych na innych stoliczkach, przez cały czas naszej rozmowy dobywały się od czasu do czasu suche trzaski, wszystkie były otwarte, ale wyciszone, pani Strogoff nie lubiła muzyki, a i wiadomości nie zajmowały jej zupełnie, nigdy nie słuchała radia, chodziło tylko o to, żeby koty miały ciepło na pudłach, tkwiły tam zadowolone. „Pomrucz dla mamusi” – mówiła czasem i kocur mruczał głośno. Zdarzało się jednak, że któryś skakał nagle z szafy, wczepiał się pazurami w szyję, trzeba było siedzieć spokojnie („proszę się nie ruszać, nie zdejmować, ma prawo”), czekać, aż sam zejdzie, zaczepiając pazurami o nitki ubrania, nie należało okazywać zniecierpliwienia.

Pani Strogoff miała własną teorię na temat kotów, ceniła w nich duszę nieśmiertelną, ale zwierzęta te były domeną pana domu. Na ścianach wszystkich pokojów wisiały powiększone zdjęcia, olejne portrety kotów, nawet akty chudych kobiet z kocimi głowami, a w salonie, rzadko otwieranym, portret nagiej damy w różowym szlafroku, narzuconym na ramiona, rysy twarzy przypominały panią domu; wisiał w ciemnym kącie i odkryłem późno, że jest to oryginał reprodukcji, którą kiedyś dostałem, nosiła i polski tytuł „Różowe nakrycie”. Pan Strogoff zgromadził także sporą bibliotekę z książkami o kotach: *Misterium kota*, *Kot w historii*, *Przeznaczenie kota* (dużo tego wychodzi we Francji, ozdobne i drogie albumy ze zdjęciami, rysunkami), wszystko było skupywane i stawiane na prostych, drewnianych półkach, malowanych olejno na coraz to inne kolory, była to robota pani Giselle, gdy wstawiała, brała do ręki pędzel i malowała wszystko od nowa: złote ramy luster nad kominkami na kolor wiśniowy, dokąd sięgnęła ręką, wyżej pozostawało złoto, wszystkie stoły i krzeselka, nawet jakieś antyki, wiele podobno warte, też były posrebrzone; czasami jednak zapomniała uprzedzić gości („attention, la peinture!”) i wróciwszy do domu stwierdzałem ze smutkiem, że spodnie, z tyłu, były wiśniowe, srebrne albo złote. Sklepiarka, opowiadała, dziwi się, że tyle tego kupujemy, czy wy pijecie tę farbę?

Pan Strogoff więc, którego spotykałem rzadko, starszy pan ze szpakowatą bródką, jeszcze rzeński, chodząc po Paryżu jako agent jednego z biur podróży interesował się losem każdego bezdomnego kota, przynosił go do domu, kurował, pasł, a potem tak się przyzwyczajał, że za nic nie chciał się z nim rozstać, niemniej wiadomo było powszechnie, że u państwa Strogoff można się, za protekcją znajomych, zawsze zaopatrzyć bezpłatnie w to zwierzę, z drugiej strony trudno znaleźć amatora na dorosłego kota, zostawał więc najczęściej w mieszkaniu, gdzie miał się dobrze. Pan Strogoff jadał obiady w stołówce konserwatorium rosyjskiego przy

avenue de New-York, spotykał tam kolegów, dawnych oficerów, także z bródkami, nie było tu wprawdzie zbyt czysto, ale gotowano smacznie, podawały panie z towarzystwa, zachwalał bardzo tę stołówkę i poszedłem z nim kiedyś; trzeba przyznać, że dania wyceniano tanio (pirojeck ukrainienne, les zrazis avec la kacha), Polacy też tam jadają. Gdy wychodziliśmy, kucharz uklonił się i spytał: – Czy smakowało, panie kapitanie?

Wieczorem jednak stołowałem się w domu i, wezwany przez panią Giselle, byłem po wszystkim zapraszany na kolację. Siadaliśmy w małej kuchni, której okno wychodziło na przepaścistą studnię olbrzymiej kamienicy, pani Strogoff, zwlókłszy się, jęcząc, z łóżka, zarzuciwszy różowy szlafrok na ramiona, przygotowywała jedzenie: najpierw dla zwierząt smażyła świeżą wątróbkę, potem dla męża gotowała rybę, najczęściej merlana, którego lubił najbardziej, wreszcie dwa befsztyki: dla siebie i dla mnie. Do tego kasza gryczana, którą pan Strogoff przynosił z rosyjskiej „ławki”, mieszczącej się w domu obok, dziwnie brudnej, zagraconej i pachnącej kiszonką, tu można było kupić przysmaki nie znane Francuzom: czarny chleb, kaszę, koper, kwaszone ogórki, czyli concombres à la russe, a także, dla swoich, było tu „Ruskoje Słowo”, drukowane przedrewolucyjną ortografią, które kapitan czytywał stale.

Jedliśmy więc, a raczej ja jadłem befsztyk z kaszą, państwo Strogoff bowiem jedli kaszę samą.

– To bardzo dobrze – mówił do żony – że zrobiłaś merlana, przepadam za merlanem i w dodatku taki jestem głodny – z apetytem patrzył na garnek.

Dostawał rybę na talerz, brał widelec do ręki.

– Ba, ale przecież Tryfon też lubi rybę, i jak ją lubi, chodź tu, Tryfon (kocur zeskakiwał z kredensu), on merlana bardziej lubi niż ja, masz, Tryfunciu, o jak je, jak mu smakuje!

Pani Giselle nie chciała więc pozostawać w tyle.

– Catherine, masz tu befsztyk, mamusia nie będzie jadła, bo go pies bardziej lubi, starczy jej kasza, chodź, moje złoto podłużne, wsuń sobie befsztyczek.

Jamniczka, łypiąc białkami, dobierała się do mięsa, warcząc na boki, kot zjadał rybę, a ja zastanawiałem się w duchu, czy nie popełniam grubego nietaktu i nie powinienem zanieść teraz swojego befsztyka, powiedzmy, Adolfowi czy też panu Chommage. Po kolacji piliśmy herbatę z proszku, aby było mniej kłopotu, a pani Strogoff dosypywała do każdej szklanki trochę kwasu cytrynowego. Potem, odsiedziawszy chwilę, wracałem do domu.

– Widzi pan – mówiła pani Giselle wówczas, gdy rzuciwszy wszystko przyjechałem, zaalarmowany pneumatykiem – widzi pan, znowu ta sama historia co zawsze, tyle tylko, że trzeba działać szybko, dziś jeszcze, bo mąż nie wyjeżdża, niestety, nigdzie dalej.

– Znowu któraś jest kotna?

– Nie, jeszcze gorzej, bo to Łarisa, jego ulubienica, kocha ją nad wszystkie, ale ja już nie mogę. Lekarz przepisał pigułki, daję jej codziennie, całe ręce mam podrapane, nic nie pomaga, miauczy, już trzeci tydzień, gania, wszystko zwała, nie zamykamy jej, bo i tak-teraz mamy już tylko trzebione samce, mąż nie chciał, ale postawiłam na swoim, okazuje się, że i to nie jest radykalnym rozwiązaniem. Oka zmrużyć nie mogę, a taka jestem zmęczona, i mąż powinien się wyspać, przecież także pracuje, ale, jak to on, o niczym nie chciałby nawet słyszeć, ba, nawet nie mogę się zdradzić, że pomyślałam coś takiego, dziwny człowiek, w czasie rewolucji pewnie rozstrzeliwał czerwonych, a teraz jak kot wyjdzie przez okno z kuchni w tę dziurę, przecież stamtąd nigdzie nie może uciec, postoi na jednym, drugim parapecie i wróci, to zaraz płacze i histerie, będzie czekał przy oknie w koszuli do rana, kici, kici, koci, koci, zaziębi się, umrze i co ja zrobię, nie jestem już młoda.

Milczeliśmy chwilę.

– Gdzie jest Łarisa? – spytałem wreszcie zdecydowanie.

– Zrobi to pan dla mnie jak zwykle, prawda? — pani Giselle ucieszyła się szczerze. — Wiedziała z góry, już jest w torbie, zawiązałam jej pyszczyk, biedactwu, żeby nie miauczała, nos wystaje, to się nie udusi. Pojedzie pan, oczywiście, tam gdzie zawsze, mam do nich zaufanie. Już trudno, choć dla mnie to wielkie przeżycie, na pewno znowu je przyplączę

ufanie. Już trudno, choć dla mnie to wielkie przeżycie, na pewno znowu je przyplączę dziś wieczór atakiem sercowym, ale postanowiłam, nie może być inaczej. Błagam, niech się pan tylko pośpieszy, teraz droga każda minuta, Gieorgij czasem wcześniej się zwalnia i wraca do domu, niech pan może lepiej dojdzie do metra Commerce.

Wyciągnęła spod któregoś radia banknot tysiąc-frankowy, podała mi go bez słowa, kardynał Richelieu patrzył z niego surowo, wziąłem torbę spod ściany i, potknąwszy się o rurę, przeskakiwałem potem brytfanny i baseniki odprowadzany przez sforę jamników, dotarłem do drzwi, a potem szybko w dół, przed bramą rozejrzałem się w obie strony, czy aby nie dojrzę sylwetki pana Strogoff. Do metra Commerce także nie było daleko, przesiadłem się na La Motte-Picquet-Grenelle, wjechałem windą na górę, za chwilę wagon zrównał się z jezdnią i opuścił do tunelu, na Montparnasse-Bienvenue czekał mnie jeszcze długi spacer korytarzem. (Łarisa rzucała się trochę, ludzie przyglądali się torbie zdziwieni), wreszcie wszedłem do bramy domu przy rue d'Odessa, parę schodków w dół, znalazłem się w nowoczesnej poczekalni oświetlonej silnymi jarzeniowymi lampami, ze ścian patrzyły ogromne zdjęcia czworonogów: psy, koty, nawet małpka, pod nimi dedykacje dziękujące za uzdrowienia pacjentów, podpisane przez mamusie i tatusiów, na sali siedziały dwie stroskane panie z mopsami, wytworny starszy pan z czerwoną rozetką Legii Honorowej położył na skórzanej kanapce ogromnego wilka z przetraconą łapą, obwiązaną białym bandażem, patrzącego smutno. Ostrożnie otworzyłem torbę, uwolniłem głowę Łarisy związaną silnie chusteczką, zaczęła miauczeć przeraźliwie, bez przerwy, rzeczywiście, musiało to być na dłużej nie do zniesienia. Drzwi się otwierały, ładna panienska w białym kitlu prosiła dalej. Najpierw weszły, kolejno, paniusie z mopsami, potem pan z Legią Honorową dźwignął wilka i zaniósł go do gabinetu, trwało to długo, kiedy go wyniósł, poproszono mnie z Łarisa.

Lekarz w białym fartuchu, wysłuchawszy, co mu mówiłem, spytał ze zrozumieniem:

– Czy na pewno nieuleczalnie, nie ma żadnego ratunku?

– Żadnego – odpowiedziałem i położyłem tysiącfrankówkę.

– Nie ma pan szczęścia, same chore koty, bardzo współczuję, ale dobrze, zrobimy jak zwykle zastrzyk pod chloroformem, może być pan pewny, nie będzie się męczyła.

Zabrałem torbę i zawróciłem do metra. Przesiadłem się na La Motte-Picquet-Grenelle, zjechałem windą w dół i po kwadransie, nie dzwoniąc, wszedłem do mieszkania państwa Strogoff.

Kapitan był już w domu. Dyskretnie powiesiłem torbę w korytarzu.

– Jak to miło, że pan wreszcie przypomniał sobie o nas. Świetnie! Zjemy razem kolację.

Poszliśmy do kuchni, pani Giselle, w różowym szlafroku narzuconym na plecy, smażyła wątróbkę, gotowała rybę, mieszała kaszę, w końcu wzięła się za befsztyki.

– Chodź, Tryton – zawołał pan Strogoff – masz tu rybę, słuchaj, duszo, a może dać trochę Łarisie?

– Zapomniałam ci powiedzieć – odrzekła pani Giselle – była tu moja dawna koleżanka, nie wiem, czy ją kiedyś poznałeś, pani Troiquart, mieszka pod Nevers, mają tam domek na wsi, dałam jej Łarisę, na powietrzu może szybciej dojdzie do siebie. Catherine, moje bóstwo, mamusia da ci swój befsztyk, chodź, słońce różowe.

– Dobrze zrobiłaś – stwierdził kapitan sucho. – Bardzo cierpiała, a tam powinno być jej nieźle.

Jadłem swój befsztyk, jak zwykle dręczyły mnie wyrzuty sumienia, tym bardziej że Brigitte skoczyła mi na kolana, popiskiwała i patrzyła w oczy, potem, przy herbacie, gdy pani Giselle dosypywała kwasek cytrynowy, kapitan wrócił jednak do tego tematu:

– Dziś czwartek, Arkadij Pawłowicz obiecał wyremontować wreszcie nasz wóz na pojutrze. Może byśmy tak w tę niedzielę pojechali do tej Troiquart, odwiedzimy Łarisę.

– Znakomity pomysł – ucieszyła się pani Giselle –.bylebym tylko była zdrowa. Łarisa oszaleje z radości.

Dopiliśmy herbatę, zacząłem się żegnać, gospodarze, przeskakując baseny z wprawą, doprowadzili mnie do drzwi, dziękowali, jamniki piszczały, skrecając się we wszystkie strony. Byłem już na półpiętrze, gdy zza drzwi dogonił mnie chrapliwy ryk, dobyty z głębi brzucha, ścinający krew w żyłach:

– Umieram!

Zbiegałem w dół po kilka stopni. Atak sercowy, bezbłędnie przewidziany, przychodził w samą porę.

## OKRUTNA ZEMSTA MICHELLE

Michelle, jak się okazało, pracowała w biurze podróży i dostawałem teraz czułe słówka pisane na odwrocie karteczek reklamowych jej przedsiębiorstwa; miała ich zawsze pod dostatkiem, drukowanych na sztywnym kartonie, różnym kolorem tuszu, czerwonym, niebieskim, zielonym, w różnych językach. Ich tekst różnił się między sobą nieznacznie, kładąc nacisk, oczywiście, na to, co mogło pasażerów z obcych krajów interesować najbardziej, było dużo PARIS BY NIGHT, ale miała też i polskie karteczki, które przesyłała, aby mi sprawić przyjemność: stylizowany samolot odrzutowy, okręt i autokar, jeden nad drugim, było to godło firmy, pod nim wielki napis TOURISME (dawniej Centrotour), dyrektor: André Dernier-Moment, dalej czcionki były już różnej wielkości i różnego kroju, petit, garmond, cicero, wszystko tam było, byle każde słowo inaczej. Celowo jednak, istotnie bowiem wszystko rzucało się w oczy. Bilety – okrętowe – kolejowe – lotnicze – do wszystkich krajów – po cenach OFICJALNYCH – Ameryka Południowa – Północna – Kanada – Australia – Daleki Wschód. Codzienne odjazdy (indywidualne). Rezerwacja miejsc zwykłych i „Wagons-lits”. Załatwianie wiz tranzytowych aller-retour w ciągu doby. Teatr. R. C. Seine 784, 921. Licence 294. Wreszcie adres: Place de la République – Bd. du Temple, Paris 3-e, a w nawiasie: passage Vendôme, Metro: République.

Wyjaśniło się to łatwo, kiedy wybrałem się tam po raz pierwszy. Wielki neon TOURISME migał wprawdzie w miejscu, gdzie ruchliwy bulwar du Temple wlewa się na plac République, ale prowadziła od niego świetlna strzałka, dalej i dalej, za którą postępując, jak za gwiazdą przewodnią, docierało się do wąskiej uliczki, nazwanej passage Vendôme. Tam dopiero, w głębi, wstępując po przedziwnych schodkach prowadzących na bardzo wysoki parter, prawie pierwsze piętro, docierało się do właściwej siedziby biura, mieszczącego się w kilku pokojach, mało zresztą okazałych.

Michelle siedziała w pierwszym, największym, za wysoką ladą, informowała, załatwiała telefony tłumacząc i gestykulując żywo: jeśli przyszedłem trochę wcześniej, siadałem i czekałem aż do dwunastej, gdy zamkną drzwi wejściowe i pójdziemy coś zjeść, tak się potem utarło, do restauracyjki w pobliżu, „À l'Hirondelle”, w którejś z małych uliczek na tyłach ogromnego placu. Mówiąc szczerze, biuro było zapchane najczęściej podróżnymi pośledniejszego autoramentu, kto wie, było może i trochę prawdy w wybuchach Michelle, że już nie może z tymi śmierzącymi Arabami, że chyba zwariuje, jeśli dłużej posiedzi w tym dziale. Nie patyczkowała się zresztą z nimi i była szorstka, tłumacząc połączenia z Algierią albo Tunisem, rezerwując bilety na statki, gdy załatwiała jednego, tłum innych Arabów, czarniawych, nie ogolonych, w rozchełstanych koszulach i wystrzępionych zazwyczaj spodniach, czekał cierpliwie swojej kolejki.

- Vous êtes évidemment ma... maho... mahometanin? – pytała nieodmiennie Michelle.
- Oui, musulman, mademoiselle.
- Przysługuje zniżka.

Przy stolikach i za innymi ladami, w innych pokojach, siedzieli panie i panowie, mieli oni lepszą klientelę, bo prowadzili inne działy, wszędzie stały duże plastikowe globusy, wisiały kolorowe afisze towarzystw lotniczych, a także programy teatralne: SPECTACLES. Billets en

vente ICI. Strip-Strip! Hurrah! – Sexyrama – Les nudistes itd. Do tych stolików podchodzili zamożniejsi klienci, wśród nich zdarzali się, choć rzadko, Amerykanie w kapeluszach z szerokimi wstążkami. Gdy nadeszła dwunasta, Michelle wyrzucała bezapelacyjnie swoich Arabów, choć, jak widziałem, przy innych kontuarach robiono sobie z gośćmi większe ceregiele, a zza szklanych drzwi ze złotymi literkami, które, przyklejone do matowej szyby, tworzyły napis DIRECTION, wychodził wtedy gruby pan w okularach, był to sam André Dernier-Moment, i nie obywało się bez tego, żeby pytając Michelle o ilość pasażerów, nie pogładził jej po okrągłym ramieniu, czasami nieznacznie obejmował ją nawet na chwilę, patrząc wtedy do drugiego pokoju, gdzie dział Bliskiego Wschodu prowadziła pani Apfelblum (żona pana Apfelbluma, który znów pracował obok Michelle, był kontystą), ale o której wiadomo było, że łączy ją z dyrektorem wieloletnia zażyłość. Na szczęście pani Apfelblum zawsze wołała go wtedy do siebie, nie była naiwna, a my mogliśmy już iść na obiad.

Jedząc, słuchałem wynurzeń Michelle i wiele dowiedziałem się wtedy o miejscu jej pracy, pomimo że mowa była przede wszystkim o tym, w jaki sposób przenieść się nareszcie z działu arabskiego. Ciągle naciskała szefa, aby to zrobił, godził się chętnie, ale pod warunkiem, którego spełnić nie chciała, sprawa nie ruszała więc z miejsca. Nie lubiła bowiem wyraźnie pana Dernier-Moment, pogardzała nim także dlatego, że rozpoczął od handlu krawatami na Bastille, był zresztą naturalnym synem pani Dernier, której się wstydził, przychodziła czasami, wyrzucał ją wtedy, był wybuchowy. Na parę lat przed wojną usynowił go zamożny pan Moment, bo mu dobrze prowadził biuro, nazywało się wówczas „Centrotour”, liczył na spadek, ale stary żył ciągle, dopiero po wojnie udało mu się go zamknąć w domu dla obłąkanych, posyła tam coś czasami. – Ale czy można mieć zaufanie do takiego człowieka? – pytała Michelle.

– Nie można – odpowiadałem szczerze.

Mieliśmy tu, w restauracyjce „À l’Hirondelle”, własne serwetki, które po naszym wyjściu wkładano do drewnianych przegródek, takich samych, jak na pocztach, gdzie segregują listy, czuliśmy się więc jak u siebie w domu. Zdarzało się jednak, że przychodził tu także na obiady pan de Györmes, z czarnym wąsikiem, przysiadał się czasem do nas, bo mu się Michelle podobała, pracował także w jej biurze, był Węgrem i, jak mówił, baronem, ale nikt tego nie sprawdzał, więc ostatecznie nie było wiadomo. Węgrzy też podróżują, zajmował się nimi, ale prócz tego robił jakieś transakcje, z których żył dostatnio, w tym jednak była bieda, że nie lubił tego dyrektora, pana Dernier-Moment. Nie lubił, bo nie miał z nich żadnej korzyści, a narażało to jego firmę, nie jest to przecież kantor wymiany, spierali się, moje biuro jest uczciwe, niech pan sobie nie myśli, droga wolna. Spory powtarzały się, pan Györmes jednak był potrzebny, nic się więc nie zmieniało. Nie mogę jednak powiedzieć, że bym lubił te chwile, kiedy przysiadał się do nas, miał wprawdzie pięćdziesiątkę na karku, ale kobieciarz, widać to było, wołałem jadać sam z Michelle. Gdy więc się dosiadł, tak manipulowałem, aby szybko skończyć obiad, i szliśmy wówczas z Michelle na plac République do którejś z kafejek, najbardziej lubiliśmy te między bulwarem Saint-Martin a rue du Temple, ciągną się jedna za drugą, siadaliśmy zawsze na zewnątrz, na trotuarze, ale częściej na niewielkim podwyższeniu, zimną za oszkloną szybą, ogrzewani przez podłużne grzałki umieszczone nad nami. Wszędzie tu mieli grające szafy, które huczały, całowaliśmy się, Michelle kończyła swoje opowieści, nie odprowadzałem jej jednak, bo i ja musiałem wtedy siadać szybko do metra i jechać na drugi koniec Paryża.

Tutaj właśnie, w którejś z tych kafejek na République, Michelle zwierzyła mi się kiedyś, że od jutra rzuci swoich Arabów i przechodzi do biura pani Apfelblum, przeraziłem się nie na żarty, wstałem już nawet i chciałem wyjść bez słowa, ale Michelle złapała mnie za rękę i poprosiła, żebym usiadł i posłuchał, a ona mi wytłumaczy. Początkowo wzbraniałem się, potem jednak zrobiłem, jak chciała.

– Otwierają nowy dział międzynarodowej komunikacji lotniczej – usprawiedliwiała się patrząc mi w oczy – i ma go objąć zaufana szefa, bo to sprawy bardziej skomplikowane, ja przechodzę na razie na jej miejsce, to przecież awans, i do Arabów już nie wrócę, tam przybędzie nowa siła, biuro się rozrasta, przecież znasz mnie i musisz mi wierzyć, możesz być zupełnie spokojny o pana Dernier-Moment.

Wierzyłem, a jednak zaniepokoił mnie ten awans, byłem podejrzliwy, w dodatku musiałem wyjechać na parę dni do Tuluzy, gryzłem się tam i nie spałem.

Istotnie, po powrocie, wchodząc przed samym południem do biura „Tourisme” zauważyłem za kontuarem arabskim inną ładną panienkę, której nigdy nie widziałem, Michelle zaś, przy biurku pani Apfelblum, dawała mi znaki z drugiego pokoju. Promieniała szczęściem, ale musiałem tym razem czekać nieco dłużej, bo załatwiała właśnie Amerykanina z szeroką wstążką, poszliśmy trochę później „Pod Jaskółkę”, byłem ciągle markotny, w dodatku dosiadł się wtedy pan de Györmes, który, jak zauważyłem, ostatnio coraz wyraźniej nadskakiwał Michelle. Dopiero na République, kiedy zgubiliśmy go w tłumie, wyjaśniła mi wszystko. Pochodziła z porządnej rodziny, jej wujek był księdzem, o czym nie wiedziałem, miał znajomości dość wysokie, przyjechał na urlop z prowincji, więc się zgadali i pojechali razem do Lisieux. Tam załatwili wszystko tak zgrabnie, że biuro turystyczne pana Dernier-Moment otrzymało monopol pobożnych pielgrzymek z całej Ameryki, kierujących się do tego miejsca, umowę już podpisano, nastąpił w nagrodę awans. – Widzisz – mówiła – a podejrzewałeś, jakiś ty naiwny! – Otworzyła torebkę, wyjęła karteczkę wydrukowaną świeżo: „Do Lisieux tylko «Tourisme» – głosił napis – biuro podróży «Tourisme» jedynie uprawnione przez władze duchowne do organizowania pielgrzymek ze Stanów Zjednoczonych, Kanady. Dyrektor: André Dernier-Moment. Przekazy: R. C. Seine 784, 921. Licence 294”. Po prawej stronie stylizowana święta Tereska, po lewej Madonna.

– To wszystko jest moim dziełem – powiedziała wówczas Michelle – zaprojektowałam także te reklamówki, teraz już wiesz, więc źle mnie nie zrozumiesz, jeśli ci powiem, do czego powoli dochodzę, a mianowicie, że pan Dernier-Moment, kto wie, czy to nie jest jednak przyzwoity człowiek.

Oddychałem głęboko, oczywiście, nie mogła mi o tym pisać, póki fakt nie był dokonany, darowałem jej nawet zmianę zdania co do swego szefa, wypiliśmy więc drugą kawę, odprowadziłem ją z powrotem na passage Vendôme ryzykując, że spóźnię się do swego zajęcia, pożegnałem przed schodkami wiodącymi w górę, pełen najlepszych nadziei.

Dlatego zdziwiłem się bardzo, kiedy nazajutrz zastałem Michelle zbulwersowaną, trzęsły się jej ręce i, jedząc obiad w restauracyjce „À l’Hirondelle”, wymyślała głośno na dyrektora wyliczając cechy charakteru, które nie przynosiły mu zaszczytu. Wymyślała także na duchowieństwo, chociaż wczoraj zwierzyła mi się, o czym przedtem nigdy mi nie mówiła, że w głębi duszy jest naprawdę religijna, a wszystko, co mówią złego o księżach, to nieprawda – teraz słuchałem czegoś zupełnie innego. Cieszył się z tego baron lub pseudobaron, który oczywiście znowu się przysiadł, księża, zdaje się, mniej go obchodzili, ale nie lubił pana Dernier-Moment, do charakterystyki dawanej przez Michelle dodawał jeszcze swoje uwagi, pod koniec nawet uchwyciłem jakąś nić porozumienia między nimi, co mnie zaniepokoiło, wiedzieli więcej niż ja, ale operowali ogólnikami, nie mogłem się zorientować.

Wszystko się wyjaśniło, jak zwykle, dopiero w kafejce na République. Otóż, przy umowie, którą zawarł pan Dernier-Moment, była klauzula, o której Michelle wczoraj nie wiedziała, że do biura przyjdzie jakaś pani z Action Catholique, polecona podobno przez samego arcybiskupa Paryża, nie było więc rady, dla Michelle pozostało tylko biurko pani Apfelblum, w ten sposób ucina się sprawa prowizji, na które głównie liczyła, zagarnia je wszystkie ta pobożnista z Action. Zażądała poważnej rozmowy z dyrektorem, ale się wywinął, że to warunek księży, wuj już wyjechał do siebie na wieś, zresztą i tak nic by nie mógł zrobić, sprawa poszła za wysoko, do samego szczytu, była dzisiaj u arcybiskupa, aby postawić sprawę jasno, ale on,



dowiedziawszy się, o co chodzi, nie chciał jej nawet przyjąć. Pieniła się więc, zupełnie słusznie, cała roztrzęsiona: dwa miesiące wysiłków, podróże w tę i z powrotem, z Lisieux i do Lisieux, jakie koszta, i za to tylko ten głupi awans, zastanawiała się głośno nad sposobem zemsty.

Traf chciał, że już nazajutrz zmiana układu sił, jaka nastąpiła, urealniła te jej nadzieje. Skręcałem właśnie z placu République w passage Vendôme, gdy zobaczyłem pana de Györmes, który, wypadłszy z drzwi biura, zbiegał właśnie po dwa, trzy schodki i był już na dole, gdy dyrektor Dernier-Moment, biegnąc tuż za nim, przewrócił się w połowie i stoczył na dół, ale się podniósł, pędzili w moją stronę. Minęli mnie, sapiąc, jeden i drugi, a ja, ciekawy, za nimi, skręcili na République, tu baron dopadł taksówki, ruszyła w tej chwili, dyrektor wpadł do następnej, pojechała jej śladem.

Biuro „Tourisme” było zupełnie wzburzone, opowiadali jeden przez drugiego. Zwierzchnik, wyszedłszy przed chwilą zza szklanych drzwi z napisem DIRECTION, natknął się znów na scenę transakcji dewizowej, zbladł podobno, ale poczekał chwilę, pochodził po pokoju, aż klient zdąży zejść na dół, przesuając się tylko powoli, pan de Györmes nie czekał jednak i wybiegł, ja widziałem ciąg dalszy. Zdenerwowani, czekaliśmy, co będzie, nie poszliśmy na obiad, mimo że minęła pierwsza, dyrektor wrócił przed drugą, miał dużego guza na czole, bez okularów, wściekły, trzasnął szklanymi drzwiami tak silnie, że wyleciała szyba, jej kawałki, z literami DIRECTION, rozsypały się po podłodze, zasłaniał potem otwór płaszczem od deszczu, który ciągle spadał, nikt się jednak nie ruszał, aby mu pomóc, wszyscy się bali.

– Szklarza! – krzyknął wreszcie ściśniętym gardłem, pan Apfelblum pobiegł zaraz, a i ja, głodny, musiałem już wracać, Michelle opowiadała mi wieczorem, że szyba już wprawiona, litery naklejone, ale pan Dernier-Moment nie przyjmował nikogo aż do zamknięcia, wszyscy wyszli o siódmej, i kto wie, czy tam jeszcze nie siedzi.

Zdziwiłem się więc, gdy wchodząc nazajutrz, jak co dzień, przed samą dwunastą, zobaczyłem otwór w drzwiach dyrektorskich zasłonięty płaszczem od deszczu, szyby nie było. Wyszliśmy zaraz, Michelle, przejęta, opowiadała, co zaszło przed chwilą, wiedziałem już wszystko, nim weszliśmy do „Hirondelle”. Otóż z samego rana pan de Györmes, jak gdyby nigdy nic, przyszedł do swojej pracy, usiadł za biurkiem, pracował trzy godziny, gromadził jakieś listy agentów prowincjonalnych, zwracał się nawet do pani z Action, która urzędowała od wczoraj, aby mu dała listy swoich księży. Dyrektor zjawił się przed samym południem, stanął na chwilę, ale było paru klientów, więc musiał poczekać, aż wyjdą, Györmes nie czekał jednak, sam zbliżył się z parasolem, trwało to chwilę, wreszcie, gdy wszyscy wyszli, rzucił się na niego. Dernier-Moment uciekał, chciał się zamknąć, szamotali się przy drzwiach i szyba znów zbita. Tym razem wszystko było skończone.

Zjedliśmy szybko „Pod Jaskółką”, Michelle popędzała, miała swoje plany, chciała odnaleźć barona. Wyszliśmy więc na République, prowadziła odważnie, przez sam środek placu, koło pomnika i ogródka dla dzieci, na drugą stronę przeprawiliśmy się szczęśliwie. Tutaj, przy rue du Faubourg du Temple, były kafejki gorsze, przysiadają w nich często wypięte prostytutki, urzędujące tłumnie na rue de Malte, w jednym z tych lokalików Györmes załatwiał swoje ciemne sprawy. Zastaliśmy go, oczywiście, oddzierał właśnie pierwszą stronę kolorowego czasopisma „La Vie des Bêtes”, była tam duża fotografia małpy, złożył ją we czworo i wsunął do koperty zaadresowanej: Monsieur le Directeur André Dernier-Moment, Tourisme, passage Vendôme, Paris 3-e, przeprosił nas na chwilę i wrzucił list do skrzynki, kiedy wrócił, mogliśmy porozmawiać rozsądnie.

Postawił nam zaraz aperitif Saint-Raphaël, później jeszcze po kieliszku zielonego Pernauda, ustaliliśmy, że Michelle zwolni się jutro po południu i pojedą razem do pana Martheau, wstępne kroki już poczynione.

– To jest dyrektor całą gębą – recytował pan de Györmes – nie taki, jak ten gnojek, krawa-  
ciarz z Vendôme, mówię wam: „Transglob” ma centralę na avenue de l’Opera, zajmuje cały

dom, siedem pięter, dziewiętnaście filii w mieście, dwadzieścia osiem po departamentach, trzydzieści cztery autokary, każdy autokar półtora miliona.

Michelle patrzyła jak urzeczona, nie powiem, żeby to było dla mnie przyjemne, dlatego, gdy pożegnaliśmy się z baronem, odradzałem jej zerwanie z biurem pana Dernier-Moment, powiedziałem nawet, że to w gruncie rzeczy pewno całkiem przyzwoity człowiek, ale Michelle odpowiedziała mi, że bym był cicho.

Może dlatego nazajutrz pojechałem wraz z nimi na plac de l'Opera, z uszczerbkiem w moich zajęciach, odnaleźliśmy łatwo ogromny gmach „Transglobu”, potem wjechaliśmy windą w górę do gabinetu pana Martheau, cały przedpokój, obwieszony plakatami, zawalony był starymi świstkami reklamowymi, jakieś paki z zesłorocznymi prospektami, przejście było wąskie, nie wiem, czemu tego nie wyrzucali, przy rozsuwanych drzwiach wisiał telefon, baron zadzwonił, najpierw kazano im czekać, czekałem więc razem, nie było nawet gdzie usiąść.

Wezwano ich wreszcie, gdy wyszli, sprawa była załatwiona.

Schodzili razem schodami, ja za nimi, udało im się jednak przekonać potentata o konieczności otwarcia w Paryżu dwudziestej agencji, na czele stawał barona, zdziwiłem się, że poszło tak gładko, musieli mieć w ręku jakieś argumenty. Poszli teraz do Maison du Café, na pierwsze piętro, ja z nimi, usiedli przy szklanej ścianie, za którą widać było, jak na dłoni, cały plac de l'Opera, naradzali się, rysowali coś, planowali, kalkulowali, trzeba było teraz przebudować, odremontować lokal, pan Martheau dał kredyty na przerobienie wystawy, pokrywał kosztą wielkiej szyby, szklanych drzwi, nowej, nowoczesnej ludy, elektrycznego ogrzewania, zrobimy dużo bardziej elegancko niż w tej budzie na Vendôme.

Byli ciągle tak zajęci, że opuściłem ich, jak mi się zdawało, ostentacyjnie, a potem przeszedłem całe Wielkie Bulwary, aż do République, godzina drogi, bezmyślnie patrzyłem na wystawę, a koło Richelieu-Drouot wmówili mi sześć krawatów, które wcale mi się nie podobaly, przystanąłem na chwilę, dali mi jednak spory rabat i tym mnie przekonali. Przypomniałem sobie, rozmawiając z wymownym przekupniem, że tak właśnie zaczynał pan Dernier-Moment.

Michelle pracowała ciągle w passage Vendôme, gdzie nikt nie domyślał się niczego, chodziliśmy na obiady pod „Hirondelle”, baron jadał teraz z nami stale, a potem siadywaliśmy w jego kafejce po drugiej stronie placu République. Wreszcie, we wszystkich gazetach równocześnie, ukazał się wielki anons, że powstała nowa agencja podróży „Centrotour” (niżej, małymi literkami, oddział firmy „Transglob”) pod kierownictwem doświadczonego Imre de Györmes, przy bulwarze Rochechouart, Paris 9-e, metro Anvers, correspondance: Pigalle i Barbès-Rochechouart.

Wywołało to nową burzę w passage Vendôme. Pan Dernier-Moment, przeczytawszy, zbił trzecią szybę, znowu trzasnąwszy drzwiami nazbyt mocno, myślał nawet skarżyć do sądu o przywłaszczenie dawnej nazwy swego przedsiębiorstwa, zapowiadał, ale na tym się skończyło, nie miał prawa, bo różniła się o jedną literę, szybę wprawiono, naklejono literki DIRECTION, ale po paru dniach znowu zbierano je z podłogi, kiedy się okazało, że zginęły listy agentów prowincjonalnych, setki nazwisk, ale nie tylko te, podobno inne także zginęły. Nie dowiedziałem się wtedy dokładnie, jakie, bo Michelle siadywała już wówczas za błyszczącą ladą przy bulwarze Rochechouart. Miałem już tutaj mniej czasu, bo Michelle prosiła mnie często, zależało mi na niej, więc nie odmawiałem, aby w południe jeździć pod konsulat, gdzie kręci się wielu ludzi, którzy podróżują, należało dyskretnie rozdawać im karteczki (Centrotour, Bd. Rochechouart, Ameryka Północna i Południowa, Kanada, Australia, wszystkie kraje Europy, ceny oficjalne), spotykałem tam agentów pana Dernier-Moment, też rozdających karteczki, wystarczyło wsunąć im do ręki banknot tysiącfrankowy, w które byłem zaopatrzony, oddawali mi swoje kartki, a zaczynali rozdawać moje.

Żałowałem tylko naszej restauracyjki „À l’Hirondelle”, o dwunastej albo parę minut po tej godzinie pan de Györmes zamykał biuro, ja jeździłem pod konsulaty, a oni chodzili zjeść coś w pobliżu, raz tu, drugi raz gdzie indziej, czasem jednak udawało mi się zostać, jedliśmy we trójkę. Nie mieliśmy już własnych serwetek, jak w „Hirondelle”, później szliśmy na kawę, ale kafejki w tych okolicach są mniej przyjemne i na ogół bez podwyższeń, takich jak na République. Reklama działała, biuro prosperowało już doskonale, ale z półśłówek wnioskowałem, że szykowało się coś jeszcze i zrećnie oboje wywijali się od odpowiedzi, co to takiego. Wreszcie jednak Michelle poprosiła mnie kiedyś w południe o zaadresowanie paruset kopert według list, które, jak się domyśliłem, zginęły kiedyś z biura na Vendôme, nie poszliśmy wtedy wcale na obiad, Michelle przygotowała sandwicze i zaparzyła herbatę.

Rozpocząłem nazwiskiem arcybiskupa Paryża, potem następowali przeróżni księża, pobożne stowarzyszenia, kiedy skończyłem, dostałem listę drugą. Były tu znowu same nazwiska żydowskie, okazało się, że to klienci pani Apfelblum, którzy podróżowali na Bliski Wschód. Dochodziła już czwarta, kiedy skończyłem, znów opuściłem swoje zajęcie, Michelle wyciągnęła wtedy z szuflady duży plik karteczek związanych sznurkiem, patrzyłem zdziwiony, nie były to reklamy nowej agencji, lecz znane mi kartki biura pana Dernier-Moment, te najpobożniejsze, pomysłu Michelle, z Madonną i świętą Tereską. „Do Lisieux tylko «Tourisme», jedynie uprawnione przez władze duchowne...”, wędrowały teraz szybko, jedna za drugą, do kopert z nazwiskami żydowskimi. Potem wyjęła inne karteczki, których nie znałem: „Tourisme (dawniej Centrotour) – żydowskie biuro podróży zapewni ci luksusowy przejazd do Izraela”, pośrodku sześcioramienna gwiazda, niżej niezrozumiałe napisy hebrajskim alfabetem. Pierwsza kartka przeznaczona była dla arcybiskupa, następne dla księży i stowarzyszeń. Patrzyłem na piękne ręce Michelle, pielęgnowała je starannie, zbliżył się pan de Györmes i zamienili ze sobą krótkie spojrzenie, położyła wówczas rękę na jego dłoni.

– Możesz już iść – rzekła do mnie – wrzucę to sama.

## OSTRYGI – POŁAWIACZE I AMATORZY

Było jednak prawdą, co opowiadali doświadczeni, wrośnięci już niejako w Paryż od zeszłego winobrania, a więc mający jakieś stałe dochody, że za pierwszym razem siostrzyczki dają dobre rady i byle być kobietą, nietrudno się przez nie zaczepić. Wprawdzie trzeba się podobno pomodlić najpierw w kaplicy, obserwują uważnie, najlepiej, jeśli się wypowiadać, za to potem chętnie polecają i pierwszy krok już zrobiony. Zwykle jest to propozycja femme de ménage w porządnym mieszczańskim domu, są tam z Polek widać bardzo zadowoleni, bo zapotrzebowania nie ustają, wypadek Barbary był jednak na tym tle wyjątkowy, bo kiedy potem opowiadała o wszystkim najpierw mnie, a potem innym znajomym, nie chcieli wierzyć; przyzwyczajony do rzeczy nieoczekiwanych dałem się przekonać, ale oni twierdzili, że fantazjuje, podobna propozycja może przyjść kiedyś później, ale tak od razu – nie mieściło im się w głowach.

Jej samej zresztą, kiedy się zastanawiała po rozmowie z nami, wydało się przez chwilę, powiedziała mi to kiedyś, że rzecz poszła coś nazbyt gładko i mimo listu polecającego, który trzymała w ręku, i zapewnienia, że sprawę już załatwiono telefonicznie, nie ze wszystkim przekonana jechała metrem gdzieś aż na zewnętrzny bulwar Exelmans, metro Michel-Ange, nie знаła jeszcze Paryża i błędziła trochę, bo są dwie stacje o podobnym brzmieniu, wiedziała jednak, że to dobra dzielnica. Znalazła wreszcie kamienicę, której numer wymieniony był na kopercie, ale okazało się, że to w oficynie stojącej osobno i dziwnie ukośnie, rosły przed nią dwa duże drzewa, była dwupiętrowa i miała na pewno lat sto pięćdziesiąt; gdy weszła na skrzypiące schody, wyłożone dywanem, drzwi jednego z mieszkań otworzyły się cicho, czekano już na nią i wtedy dopiero uwierzyła, tak mi w każdym razie opowiadała, że los na loterii był istotnie wygrany.

Pan, który uśmiechał się miło, porządnie ubrany, miał lat przeszło pięćdziesiąt, mocno łysawy i lekko otyły, przeciętnego wzrostu i rysów bardzo regularnych, w okularach i muszce, opisuję go tak dokładnie, bo sam, choć przelotnie, zetknąłem się z nim swego czasu, mogłem więc łatwiej wyobrazić sobie to wszystko, kiedy słuchałem jej opowieści.

– Czekałem na panią – powiedział wtedy – i widziałem, jak pytała pani stróżki na dole, a potem przechodziła pani przez podwórze, to dlatego.

Podziękowała, choć, mając już dokładne informacje od stróżki, trafiłaby na pewno sama bez omyłki, puścił ją przodem i przeszli przez dwa pokoiska w amfiladzie, trzeci pokój był też bardzo duży i tu usiedli w głębokich fotelach. Oba, ustawione naprzeciw siebie przy zamurowanym kominku, na którym stało stare radio i telefon, były poprzecierane mocno na wałkowatych poręczach, skąd wylaziło włosie, gospodarz przeprosił ją na chwilę i wyszedł zawiadamiając, że idzie do kuchni.

Gdy to zrobił, Basia oddała się refleksjom, oglądając mieszkanie, które, urządzone skromnie, jak na paryskie zwyczaje było bardzo obszerne; wiedziała wprawdzie, że jego użytkownik nie jest biedny, ale że sam pracował na własne utrzymanie, kiedyś wielki potentat, wszystko jednak zostawił za żelazną kurtyną. Był wprawdzie Czechem z pochodzenia, potomkiem tych niedobitków, podobno bardzo nielicznych, którzy unieśli głowę z krwawego pola pod Białą Górą, ale, żonaty z Polką, spolonizował się jeszcze w młodości, bo mieszkał w majątkach żony, w okolicach Cieszyna. Na wizytówce, którą także siostry jej wręczyły, figu-

rował tytuł hrabiowski, comte Edouard Jarmolinsky, tyle że przekreślony długopisem, niby się nie liczył. Tapeta była stara, brązowa, wytłaczana jeszcze w secesyjne wzory, lilie i nenufary – przypominały one rysunkiem żelazne bramy metra – odłaziła zresztą tu i ówdzie od ścian albo się wybrzuszała, a także widać było na niej plamy od wilgoci. Sufit, bardzo wysoki, również miał spore zacieki. Dwa duże olejne portrety, pozbawione ram, wisiały naprzeciw okien, na jednym pan z brodą, w plastronie z brylantową szpilą, na drugim otyła wydekoltowana dama z perłami i gęstym spojrzeniem, pomiędzy nimi niewielka poźółkła fotografia pałacu z wieżyczkami. Barbara jest początkującą historyczką sztuki, podeszła więc bliżej, aby mu się przypatrzeć.

– Mój dom – rzekł hrabia – moi rodzice, tyle mi zostało. Dola emigracji, widzi pani sama, nie jest wesoła.

W rękach niósł tackę, stał na niej mały srebrny dzbanuszek do kawy zaparzonej przed chwilą i dwie złożone filiżanki, ozdobione bogato, postawił wszystko na okrągłym stoliku, kiwającym się podejrzanie, podłoga bowiem również była spaczona. Gdy nalał, usiadł także, podsuwając papierosa; teraz, pijąc i paląc, wtajemniczył ją w obowiązki, omówił warunki.

Trwało to zresztą krótko, Barbara już wiedziała, że ma być towarzyszką hrabiny przez okres miesiąca na razie, lecz okazało się teraz, że pani jest na prowincji i trzeba będzie tam jechać, na jakąś wyspę, ucieszyła się nawet, że coś zwiedzi, przecież po to tu została, zarywając w Polsce studia, niepokoiła się mocno z tego powodu. Perspektywa urzędzenia się na jakiś czas we Francji przeważała jednak, nie była bez znaczenia dla jej przyszłego zawodu. Warunki finansowe, jakie zaproponował hrabia, były tak dobre, że poczuła się nimi olśniona.

– A wieczorem – zakończył wreszcie – proszę przyjść na obiad do „Palette”, zapraszam ja i mój przyjaciel, przemiliły człowiek, pozna go pani, tam ostatecznie sfinalizujemy sprawę.

Pojechała teraz szybko do sióstr, by podziękować raz jeszcze, a koło ósmej, jak było umówione, wysiadła na stacji metra Vavin, tuż przy rogu bulwaru Raspail i Montparnasse’u, którym przeszła kawałek dalej w kierunku Obserwatorium. Zobaczyła hrabiego, czekał na nią za szybą na niewielkim tarasie, u góry palił się neon z napisem „La Palette”. Trzy białe serwetki, ładnie złożone, stały już na obrusie i zaraz zjawiał się ów pan, o którym mówił hrabia, że proszą obaj, przystojny i wcale niestary, był Rumunem, nazywał się Lupescu, podobno krewny słynnej pani tego imienia, małżonki morganatycznej króla Karola. Dobiegał chyba czterdziestki, może miał parę lat więcej, blondyn, ubrany wytwornie, olbrzymia biała chustka sterczała mu nastroszona z kieszeni marynarki, na palcach błyszcząły aż dwa pierścienie z brylantami, i to dość nawet dużymi.

– Więc zaczynamy – powiedział pan Lupescu – tam, dokąd pani pojedzie, jadają same morskie przysmaki, musi się pani wprawić, zamówimy te stwory.

Po drugiej stronie tarasu, oddzielone szybą, stały kosze z ostrygami, kupowano je z ulicy, i ja zatrzymywałem się tu czasami przechodząc tędy codziennie w okresie, kiedy mieszkałem obok, na ulicy Campagne-Première u pewnej staruszki, ale w ostrygi zaopatrywałem się zwykle gdzie indziej, na rogu avenue Général Leclerc i rue Daguerre, przekupka sprzedawała je taniej; w stoisku „Palety” pozwalałem sobie, rzadko zresztą, tylko na jeżowce, których tamta nie miała.

Przeszli więc wszyscy troje na drugą stronę, Barbara nie знаła się na mięczakach, wybierali panowie. Były to przeróżne rodzaje ostryg, mniejsze i większe, płytsze i dosyć głębokie, zastanawiali się: arcachon, belon, cancale, plein mer, olbrzymie marennes spéciales i claire fines, zdecydowali, żeby najlepsze i pochodzące z okolicy, do której wysyłali Barbarę, niech więc pozna, co ją tam czeka. Hrabia zamówił trzy tuziny, nie zważał na cenę, należały do najdroższych, wrócili na miejsca i zażądali wina. Namysłali się znowu, jaki wybrać gatunek, dyskutowali z sobą, uzgodnili na koniec, żeby Pouilly-Fuissé, białe, pasowało do skorupiaków. Basia próbowała go kiedyś na przyjęciu u znajomych w Warszawie, bo można je dostać w delikatesach. Przynieśli wreszcie ostrygi, już otwarte, zielonkawe, mięsiste, do każdego

półmiska cytryna rozkrajana na ćwiartki, nie wiedziała z początku, jak się do nich zabrać, zwierzała mi się później, że poczuła obrzydzenie i przypomniała sobie, co mówią w Polsce, że ruszają się i piszczą, gdy się je łyka. Hrabia żartował z jej oporów, swoje zjadali szybko, wcisnąwszy cytrynę wyciągali małże widelczykami, a potem pili ze skorupy, Basia zamknęła oczy i zrobiła jak oni, przekonała się wtedy, że są wyśmienite, smakowały morską wodą. Szybko więc jadła następne, sprawdzając jednak każdą, jak uczył hrabia, dotykając czubkiem widelca przy samym brzegu, gdzie są delikatne rzęski, jeśli się kurczyła, znaczyło, że żywa, inaczej można się było zatruć.

Gdy je skończyli, podano jeżowce, małe kulki ze sterzącymi kolcami, kelner grubymi cążkami przecinał każdą w połowie, wyjadało się łyżeczką różowe wnętrzości, miało to smak ostry i pobudzało apetyt.

Pan Lupescu, jedząc, był przyjacielski, tak samo jak hrabia, patrzył dziewczynie w oczy, brał za rękę i namawiał do picia, studiował jednocześnie kartę dysponując dania. Dostali jeszcze szyjki langusty w majonezie, potem sałatę, aż wreszcie przyniesiono pieczonego indyka, kelner kroił go przy nich, a hrabia niepokoił się trochę o Basię, czy nie będzie za ciężkie na noc. Odpowiedziała, że wszystko bardzo jej smakuje, ostatnio zresztą trochę nie dojadła, chciała się więc najeść do syta, kazali sobie teraz podać czerwone Bordeaux, cały czas żartowali i byli w dobrych humorach.

Przy serach dopiero hrabia wspomniał o przyszłym zajęciu Barbary i o tym, że prosi, aby zaraz tam pojechała, pojutrze, a lepiej nawet jutro; dodał też mimochodem, że jego żona używa ostatnio może nazbyt dużo wina i w jakimś podłym gatunku, prosi więc bardzo, by próbowała wyleczyć ją z tego. Przy kawie zaś i torcie wyciągnął portfel i wręczył Basi pieniądze, prosił, aby przeliczyła, było tam dziesięć banknotów po pięć tysięcy franków, spiętych w samym rogu szpileczką, która nie miała główki, ale wygięta była przy końcu w formie małego trójkąta. Potem regulowali rachunek certując się przy tym, zapłacił wreszcie wszystko pan Lupescu, wzięli taksówkę i odwieźli Barbarę do domu.

Już nazajutrz w południe wsiadała do pociągu na Gare d'Austerlitz, ale nie do ekspresu i nie o godzinie, jaką zapisał jej hrabia na swojej wizytówce (z przekreślonym i tutaj tytułem), lecz do pociągu zwykłego, omnibusu, z którego wysiadła najpierw w Orleanie, chodziło jej przecież jak zwykle o to, żeby obejrzeć możliwie najwięcej po drodze. Wieczorem dotarła do Blois, kierując się moimi wskazówkami, dałem jej adres hoteliku „Pod Zieloną Małpą”, gdzie zatrzymałem się kiedyś, istotnie tam zanocowała i potem mi dziękowała, bo wszędzie trudno było o miejsce, jak zwykle w Blois, nazajutrz zaś od wczesnego rana zwiedzała to miasto. Przede wszystkim więc zamek ze słynną klatką schodową, którą powinna była obejrzeć, jeśli nie starczało jej czasu, by dobić do Chambord; część budowana przez Ludwika XII, z gotycką Salą Stanów Generalnych, również, jak myślałem, mogła ją zająć, bo ciekawiła ją mediewistyka, i rzeczywiście dużo skorzystała, robiąc swoim zwyczajem dokładne notatki, ozdobione rysunkami.

Z Blois pojechała do Tours, a potem do Poitiers, które stanowi istną ucztę dla ludzi interesujących się tymi rzeczami, dopiero więc nazajutrz w południe dojechała do Rochelle i dalej, do la Pallice, skąd przepawiła się wodą na drugą stronę przesmyku. Był właśnie, jak mi opowiadała, popołudniowy odpływ, kiedy tam dotarła, musiała więc czekać do przyptywu; gdy woda już się podniosła, przybił prom i zaraz zawracał, wjeżdżały samochody i wchodzili ludzie, a ona pomiędzy nimi, płaską wyspę de Ré świetnie widać podobno z brzegu, nigdy tam nie byłem, trudno więc mi nawet wyobrazić sobie to wszystko, co się tam działo, w dodatku na tle krajobrazu, relacjonując tylko opowieść Barbary, nie jest wykluczone, że nastąpią jakieś błędy lub nieścisłości, które ktoś mógłby mi wytknąć.

Wsiadła więc w autobus i jechała nim szosą, zobaczyła z daleka kościółek z wieżą i latarnią morską, zastanawiała się w czasie tej podróży, jak ją przyjmie hrabina.

Wyciągnęła z notesu wizytówkę jej męża, narysowane tam było, jak trzeba pójść od kościoła, jakiś czas plażą, tak jest dużo bliżej, Barbara cieszyła się na nią, w początkach października jeszcze może być ciepło, a potem koło krzyża skręcało się dróżką i dalej wedle rysunku. Wiedziała, że to koło samego cmentarza, rosną tam cztery cyprysy, widoczne z daleka, istotnie, przy murze stał mały domek letniskowy, była więc u celu. Jeden tylko w tych stornach, nie mogła się mylić, podchodząc zastanawiała się tylko, co powie na początek, bo zapomniała obmyślić, by mieć coś gotowego, ale dała temu pokój.

Domek nie był nowy, dawno nie odnawiany, tuż przed nim, na małym stołeczku, siedziała kobieta w czarnym kapeluszu o wypukłym denku i dużym rondzie, jakie noszą w tych stornach, oraz w fartuchu na sobie. Kiedy się Basia zbliżyła, wstała, patrząc uważnie, była niezbyt wysoka, choć na wysokich obcasach, przy kostkach powyżej trzewików nosiła czarne kokardki i ten szczegół pozwolił mi wyobrazić ją sobie dokładniej, znałem bowiem kogoś, jak mi się zdaje, bardzo podobnego, także z kokardkami, tamta staruszka nie żyje już dzisiaj. Barbara od razu domyśliła się, kto to taki, ale na wszelki wypadek spytała po francusku, czy tutaj właśnie mieszka pani hrabina.

– Byłam nią kiedyś – odpowiedziała z naciskiem na ostatnim słowie i machnęła ręką, przeszły więc zaraz na polski, cały czas przyglądała się Basi badawczo, ona zaś starała się zrobić jak najlepsze wrażenie i uśmiechała się miło. Z sieni obie panie przeszły do pokoiku, za nim był drugi; widać, że to mieszkanie tylko dla letników, pobielone belki u góry i ściany dawno nie odświeżane, panował zresztą wszędzie bardzo duży bałagan. Usiadły na sznurkowych krzeselkach i rozmawiały chwilę, była to pani pełna dystynkcji, choć ubrana prosto, bez żadnych pretensji, zdradzały ją jednak ruchy. Mieszkała tu samotnie przez całe lato, więc ucieszyła się bardzo.

Teraz kazała Basi rozgościć się w pierwszym pokoju, gdzie stał pośrodku stolik nakryty kraciastą ceratą, a na nim kubek z kawą, która już wystygła, i długa bagietka obok butelki białego wina; Basia obróciła ją wolno, niby mimochodem, wchodząc od razu w rolę, do której przeznaczył ją hrabia – butelka miała etykietkę od czerwonego wina Préfontaine, widać więc kupowane z beczki, powąchała dyskretnie, pachniało kwaśno, gdy pani wyszła na chwilę, schowała je za szafę.

Rozpakowała się szybko, wzięła bowiem z Paryża niewiele rzeczy, zmieściła wszystko w lotniczej torbie podróżnej, a potem zeszła do kuchni, gdzie pani domu już obierała kartofle. Nie było tu miło, okna sutereny wychodziły na cmentarz, nagrobki stały tuż przed samymi szybami i poruszały się blaszane wieńce, brzęcząc cichutko, wiatr był bowiem dość duży. Kran umieszczono pod parapetem, a i woda miała smak dziwny. Basia mówiła mi później, że wolała nie myśleć o tym. Robiły obie kolację, hrabina, okazało się wtedy, była bardzo rozmowna i opowiadała jej dużo o swoim mężu, obecnie, jak się wydało, kasjerze w jakiejś restauracji przy Champs-Élysées, spytała, czy nie poznała przypadkiem pana Lupescu i jak się on czuje, wyjaśniła, że jest z zawodu działaczem i redaktorem.

Jadły w pokoju na górze; podzieliły się ostrygami, które czekały w koszu, całe trzy tuziny, wypadło więc po półtora na osobę. Basia miała z początku trudności z otwieraniem, ale się nauczyła: małym kuchennym kozikiem zakończonym ostro, po otwarciu skorupy trzeba odciąć wnętrzności, w jednym miejscu przylegające ściśle do masy perłowej, gładkiej i błyszczącej. Hrabina nie lubiła cytryn, robiła sobie inną przyprawę mówiąc, że to po chłopsku i że tak lubi najbardziej, wlała najpierw do szklanki oliwę i ocet, a dwie cebule pokrajała drobno i wszystko razem zmieszała łyżeczką, nakładała teraz do każdej ostrygi.

Zauważyła od razu, że wino jest schowane, nie odezwała się ani słowem na ten temat, ale zamilkła nagle, Basia zaczerwieniła się mimo woli i jadły w milczeniu. Hrabina wyszła na chwilę, przyniosła drugą butelkę ze swego pokoju i postawiła przed sobą, a Basia zrozumiała wtedy, że straciła jej zaufanie i że jej rola nie będzie łatwa. Spróbowała więc i ona tego wina, nalawszy trochę do swojej szklaneczki, ale nie było dobre, gorzkawe i piekło w żołądku, wolała popijać wodą.

– Wytworne ma pani gusta – odezwała się wtedy hrabina – dobraliście się z hrabią małżonkiem, rozumiem, lepsze na pewno takie Pouilly-Fuissé, ale czasy się zmieniły. Widzę, że nie będę miała z pani pociechy. Ja jestem teraz prostą kobietą, jem i piję to, co wszyscy.

Istotnie, piła dużo, szklankę za szklanką. Basia przyniosła jeszcze z dołu kurę, i zjadły po kawałku razem z frytkami, stara dama szybko sączyła butelkę do końca, a potem oparłszy głowę na rękę zapatrzyła się w talerz. Trzy godziny minęły, nie poruszała się wcale, Basia posprzątała ze stołu i pozmywała naczynia, nie wiedziała, co robić dalej, ale kiedy hrabina podniosła się wreszcie nagle i poszła do swego pokoju, położyła się i zasnęła.

Obudziła się chyba o piątej, dama cyrkulowała spiesznie w tę i na powrót, była w dobrym humorze, pytała, jak się jej spało, że pewno niezbyt wygodnie, bo na zwykłym sienniku, pod którym czuje się deski, i z twardym wałkiem pod głową, trudno, taki zwyczaj u niej w domu, bo tak spijają ludzie prości. Wszystko to było prawdą, wstała więc Basia bez żalu, choć zwykła spać dłużej, i wzięła się do roboty. Zamiotła pokoje i kuchnię, poszła na targ po zakupy, karczochy i mięso na cztery befsztyki, chłopaczek przyniósł kosz ostryg, które były tutaj za bezcen, hrabina, udobruchana, mówiła jej wtedy trochę o swoim życiu. Z mężem nie była szczęśliwa i wymyślała na niego opowiadając rzeczy, których Basia nawet słuchać nie chciała, a jednak, z szacunku, musiała, utrzymywał ją teraz, to prawda, lecz kiedyś roztrwonił majątek należący właściwie do niej, gdyż był posagiem, przed samą wojną nie zostało już z niego nic prawie.

Tak zeszło do południa, jadły razem śniadanie, hrabina, jak zwykle, zaczęła od ostryg z cebulą, popijając winem, wreszcie przestała mówić, choć Basia w niczym jej nie uraziła, trwało to długo, a kiedy wyjadła koszyk do końca, całe dziesięć tuzinów, podparła się ręką i siedziała nieruchomo, nie reagując na żadne pytania.

Basia zjadła jednak swój befsztyk, pozmywała i wymknęła się cicho, poszła na długi spacer, było ciepło, więc wykąpała się nawet, potem dotarła aż do płytkiego zalewu, gdzie wystawały z wody wysokie tyki, poustawiane rzędami. Kończył się właśnie odpływ i przyjechali ludzie w długich gumowych butach za kolana, woda cofnęła się zupełnie, pozostawiając w błocie miliony ostryg, zbierali je łopatkami i wrzucali z chrzęstem do drucianych koszyków, a potem wysypywali do ciężarówek. Podobała się jej ta praca i przypatrywała się długo.

Wracała powoli plażą aż do miasteczka; naprzeciw kościoła, w rynku, była nieduża kafejka, dość zresztą pełna w tej chwili, Basia kupiła przy ladzie kilka pocztówek z osłami w kraciatych spodniach, osobliwość wyspy, widuje się te zwierzęta tak dziwnie poubierane, potem usiadła w kątku, poprosiła o kawę. Pijąc, pisała pozdrowienia do rodziny w Polsce i znajomych w Paryżu, ja również dostałem wtedy taką pocztówkę, zapisywała w notesie co zobaczyła przed chwilą, a nawet wyrysowała kościółek, typowy dla tych okolic, którego fasadę widać było przez okno. Notowała właśnie swoje uwagi o procederze zbierania ostryg, gdy wtem, zupełnie niespodziewanie, stanęła przed nią hrabina w swoim kapeluszu.

– Teraz już rozumiem, po co panią tu przysłał – krzyczała głośno po francusku, rozpościerając ręce jak sęp nad jej stolikiem – chodźcie tu wszyscy na świadków: Sénac, Cazabath, Cazalas, zawołajcie patrona, zobaczą wszyscy, że pisze w notesie, spisuje wszystko, cokolwiek jej powiedziałam. Była tu jedna taka, też spisywała, a teraz już drugi świadek – jest prawo w tym waszym kraju, dwóch świadków podpisze i zamykają człowieka do czubków, skąd światła nie ujrzy do śmierci, przejrzałam cię, panie hrabio, a pani niech się wynosi.

Obstąpili Barbarę grubi Francuzi w beretach, kiwali głowami na boki i strzepywali rękami, pokazywała im brulion i tłumaczyła, że notuje co innego, patrzyli sceptycznie, bo przecież pisała po polsku i trudno ich było przekonać. Nie miała już co robić na wyspie de Ré, poszła po swoje manatki, szczęściem był jeszcze autobus i przeprawa, ale nocować musiała w Rochelle.

Wracała do Paryża nie śpiesząc się zbyt i wtedy dobiła do Chambord, zapisawszy się na objazd autokarem zamków nad Loarą organizowany przez biuro podróży w Tours, obejrzała



nawet widowisko świetlne „son et lumière” w Azay-le-Rideau, bez czego zwiedzanie tych zamków byłoby jakoś niepełne, wydobywano reflektorem najpiękniejsze fragmenty murów, a przez głośniki puszczano z taśmy recytacje.

Następnego popołudnia dotarła do Paryża i zaraz z dworca Austerlitz zadzwoniła do mnie, spotkaliśmy się w godzinę później na kawie koło Odeonu, gdzie opowiedziała mi wszystko. Teraz wypadało dzwonić do hrabiego, zrobiła to w mojej obecności. Był w domu, kazał jej wsiadać do metra i przyjeżdżać zaraz, po trzech kwadransach była więc u niego.

– Spodziewałem się tego – rzekł jej na przywitanie – znam dobrze moją żonę.

Pokój, w którym rozmawiali kiedyś, był trochę przemeblowany; szeroki, niski tapczan stał teraz pod portretami, maszyna do pisania także była nowością, porzucane wokół niej papiery świadczyły o pracy. W rogu duża walizka obciążona zielonym płótnem, rodem ze sklepu w Warszawie, zdawało się Basi, że ją pamięta, bo z wierzchu miała różową naklejkę „Kraków, Hotel pod Żółtą Kotwicą”, lecz pomyślała, że może jej się wydaje. Rozpoczęła więc zdawać relację ze swojej podróży i kiedy opowiadała, wszedł cicho pan Lupescu, otworzywszy widać drzwi swoimi kluczami, jak zawsze wytworny, Basia przerwała wtedy, lecz hrabia powiedział, że nie ma przed nim tajemnic, ciągnęła opowieść do miejsca, na czym się wszystko skończyło. Spoważniali wtedy obaj.

– Będziemy panią prosić o podpisanie czegoś – rzekł chłodno pan Lupescu i podszedł do stolika z maszyną, szeleścił tam papierami, przypomniały się Basi obawy hrabiny i zlekka się, że jej rola istotnie nie wygląda może najlepiej.

Protokół był już gotowy, Lupescu odczytywał go teraz: „Oświadczam niniejszym i stwierdzam swoim podpisem, że będąc na wyspie de Ré widziałam się z hrabiną Konstancją Jarmolinsky, która oświadczyła, że Dumitru Lupescu, redaktor naczelny tygodnika «Rumunia Wolna», stały współpracownik «Korony Rumuńskiej», członek władz naczelnych Ligi Monarchistów Rumuńskich i stały felietonista jej organu «Wyzwolimy Nasze Królestwo», zamieszkały w Paryżu, w Dzielnicy Siódmej, 73 Avenue de Suffren, współżyje intymnie z hrabią Edwardem Jarmolinsky, jej mężem”.

Było chwilę tak cicho, że Basia usłyszała, jak coś zaburczało w rurach.

– Czy „oświadczyła” to właściwe słowo? – hrabia przerwał milczenie. – Może lepiej będzie „sugerowała”.

– W istocie – wtrąciła się Basia – to raczej właśnie sugerowała, nie mówiła nic wyraźnie, może bardziej ogólnie, i wspomniała o jakichś pikolakach – zaczerwieniła się niepotrzebnie.

– Świetnie, można dodać o tych pikolakach – zaproponował hrabia.

– To zagmatwa sprawę – sprzeciwił się pan Lupescu – tu chodzi przecież tylko o moją osobę, adwokat wyraźnie mówił, żeby nie płać nikogo.

Zdecydowali wreszcie, że „sugerowała”, i pan Lupescu jeszcze raz wystukał całość na maszynie, podłożywszy dwie kalki, gdy skończył, Basia podpisała, jak chcieli, istotnie bowiem hrabina robiła sugestie. Zastanawiali się potem, czy odbić na powielaczu i porzucić znajomym, czy schować do sejfu, aby we właściwym czasie wszcząć proces rozwodowy, zgodzili się nareszcie, że zdecyduje adwokat. Wówczas hrabia wyciągnął z portfela banknoty spięte szpileczką, nowe pięćdziesiąt tysięcy.

– To za następny miesiąc, który pani straciła, a co do sióstr, to można by im o tym wcale nie wspominać.

Przygotowywali razem kolację i nastrój wyraźnie się poprawił, pan Lupescu przynosił dania z kuchni, a hrabia nakrywał. Menu jak w „Palette” – powiedzieli, że to na cześć Basi ta kolacja, choć musieli mieć wszystko jeszcze przed jej przybyciem, kłamstwo było niewinne; a więc ostrygi i wino Pouilly-Fuissé, jeżowce rozplływały się w ustach, do indyka także Bordeaux, emablowali Barbarę i byli w dobrych humorach. Raz tylko, gdy zadzwonił dzwonek frontowy, Lupescu wybiegł otworzyć, wrócił za chwilę i powiedział cicho hrabiemu: „Posłałem go do kina”.

Teraz dopiero, może pod wpływem wina i głosów w przedpokoju, przypomniało się Basi, skąd zna walizkę stojącą w rogu – jechał z nią na winobranie Gienek Marcysiak. Poznałem go potem w innych okolicznościach, bo dłużej został w Paryżu; dużo później opowiadał mi o swojej pracy w jednej z dobrych restauracji przy Champs-Élysées, gdzie był pikolakiem, zanim się przeniósł do branży filmowej.

## SEZON W KAFEJCE „OLD NAVY”

Justynę poznałem w kawiarni „Old Navy”, był to okres, kiedy przychodziłem tam codziennie, zjadłszy kolację w stołówce studenckiej „Mabillon”, do której miałem prawo jako stypendysta; dosłownie dwa kroki jedno od drugiego. Przychodziłem zresztą i potem, gdy przeniosłem się do „Abbaye” przy ulicy tejże nazwy, na tyłach kościoła Saint-Germain-des-Prés, gdzie dawano trochę lepiej; i jeszcze później, kiedy udało mi się otrzymać przydział do stołówki starożytnego Lycée Saint-Louis, stojącego wprawdzie przy bulwarze Świętego Michała, ale wchodziło się od rue Racine i można było wybierać: siadało się na sali drugiego piętra, pierwszego albo na parterze, wieczorem czynny był tylko parter. Jadało się tam wcale nieźle i smacznie, kosztowało to wprawdzie o dwadzieścia pięć franków więcej, za to nie doliczano za wino, stołówka miała jednak tę niedogodność, że trzeba było przychodzić punktualnie, dziesięć przed ósmą, w pięć minut potem dozorca zamykał bramę, podczas kiedy gdzie indziej wydawano posiłki w ciągu godziny lub nawet półtorej. Chodziłem wciąż do „Old Navy”, bo było niedaleko, o tej porze siedział już na tarasie Artur Sandauer, któremu się kłaniałem i wchodziłem do środka, gdzie spotykałem znajomych. Lokowałem się zresztą niezadługo na ulicy, można tu było obserwować przechodniów, przysiadali się wtedy nowi Polacy, znali wszyscy ten zwyczaj i dostawali krzeselka, a potem i stoliki, rozmawialiśmy razem aż do późna w nocy. Utarło się od niedawna, że jest to polska kafejka, kto wie, może dlatego tak było, że naprzeciw, po drugiej stronie bulwaru Saint-Germain, widziało się napis „Księgarnia Polska” (a jeśli ktoś stanął tam na chwilę, za przykurzoną szybą mógł zobaczyć dwa sztychy, jeden przedstawiał Kościuszkę, drugi króla Jana), lecz pewniej jednak dlatego, że kawa nie była tu droga, płaciło się za nią prawie połowę tego, co choćby w „Deux Magots”, gdzie dają podłużny kwitek z napisem „Rendez-vous d’élite intellectuelle”, niezbyt konieczny na co dzień, zdzierali jednak zawsze sto dwadzieścia franków. W „Old Navy” natomiast, paręset metrów dalej, zwyczajny ekspres kosztował jedynie siedemdziesiąt, chyba że kelner doliczył do rachunku albo nie wydał reszty ze stufrankówki i jeszcze żądał zapłaty, co się zdarzało często, nie był bowiem uczciwy.

Któregoś wieczoru poznałem tam Justynę, było to na jesieni, co roku zostają w tym czasie studenci z winobrania, a ona miała za sobą pierwszy rok medycyny. Mieszkała pewno daleko, bo rzadko przychodziła, albo nie wsiąkla jeszcze na tyle, aby tu bywać z nawyku; otaczali ją zwykle liczni adoratorzy, tyle kręci się wszędzie ładnych i młodych dziewcząt, jednak Justyna od razu zwracała na siebie uwagę. Była cokolwiek pełniejsza niż Francuzki, zupełnie pozbawione biustu albo mające sztuczny, i przerastała je znacznie, choć nie nosiła szpilek, lecz miała tak zgrabne ruchy, że oglądano się za nią, o co jest trudno w Paryżu. Ale dopiero w zimie nadeszła pewna sposobność, by się do niej zbliżyć, bo zobaczyłem ją kiedyś w tunelu metra Iéna czekała z siatką warzyw przy peronie przeciwnym. Mój pociąg właśnie ruszał, musiałem wyskoczyć zaraz na Alma-Marceau i szybko przebiec górą, zdążyłem jeszcze w porę, spotkaliśmy się za chwilę w tym samym wagonie.

Wracając do siebie, domyślałem się słusznie, że pracowała jako służąca u kogoś w Szesna-stej Dzielnicy. Opowiadała mi teraz, że swój pobyt w Paryżu zaczęła od sztucznych kwiatów, nie jest to trudna robota, ale zarobki głodowe. Umieszczono ją wreszcie na szlaku dobrze przetartym, miała teraz mieszkanie i trochę własnych pieniędzy, a także była zwalniana co

drugą niedzielę. Wiozła zakupy z targu przy Musée d'Art Moderne; skarżyła się, że wymagało zbyt dużo i była bardzo zajęta. Wysiedliśmy na Pompe, a później odprowadziłem ją aż do bramy okazałej kamienicy przy bulwarze Lannes, w miejscu, gdzie zaraz za jezdnią rozpoczyna się Lasek Buloński (mieszkają tu ludzie tylko bardzo zamożni); umówiliśmy się do „Old Navy” nazajutrz późnym wieczorem.

Zjawiłem się tam o oznaczonej godzinie i, ukłoniwszy się Arturowi Sandauerowi, wszedłem głęboko do środka, od dawna panowały chłody, przy moich skłonnościach do częstych zaziębień wolałem nie ryzykować; choć taras był już oszklony i ogrzany, nie bardzo mu do wierzałem (zawsze gdzieś z boku wieje). Justyna przyszła za chwilę, obsiedli ją koledzy, wypiliśmy kawę, którą dziś wszystkim stawiałem, lecz byłem zdecydowany wycofać się z tej afery. Miałem swoje powody: po przerwie Michelle dziś znowu zaprosiła mnie na noc. Do tego po wyjściu Justyny powiedział mi jeden z przyjaciół, który też-jadał posiłki w liceum Świętego Ludwika, Zenon Kujawa, starszy i łysiejący już chemik (pochodził z Wytrzyaszki w Sądeckiem i był na niezłym stypendium), że wyjątkowo mu na dziewczynie zależy.

Twierdził, że zna się jak mało kto na kobietach, ma duże doświadczenie, w Justysi odkrył podobno (jak mówił) kąsek pod pewnym względem łakomy.

Jednakże, zawsze ciekawy, starałem się z niego wyciągnąć, co wiedział na temat Justyny, opowiadał mi chętnie, był z nią przed paru dniami w „Café Cluny” u zbiegu łacińskich bulwarów, naprzeciwko muzeum i łaźni starorzymskich. (Bywałem tam czasami, bo czułem się trochę jak w Polsce, to znaczy nieco przyciężko; marmurowe stoliki, słychać stukanie bilardu w olbrzymiej sali na górze, przychodzą tu ludzie poważni, niby gdzieś w „Nowym Świecie” albo u „Noworola”). Usiedli podobno we wnęce, gdzie jedno z lusterek jest zbite zbłąkaną kulą i ozdobione grawerowanym napisem, że jest to pamiątka bojów o wolność Paryża. Justyna opowiadała mu cicho o swoim życiu, a on jej mówił o sobie.

Przynieśli aperitify, pili je (mówił) powoli, zaczęła o swojej pracy: męczyła ją zanadto i zbyt absorbowała, w dodatku nie dawała żadnej satysfakcji, bo z niej nie byli również zadowoleni. Mieli – burżuje – magazyn przy bulwarze Haussananna, dokąd jeździli rano samochodem Peugeot, jak wszyscy w tej dzielnicy, którzy właściwie nie różnią się niczym od siebie, a spośród synów nierobów (jeden z nich co prawda wzięty był do Algierii) najmłodszy, piętnastolatek, przymilał się bezczelnie i pukał do niej po nocach, projektowała skończyć z tą głupią historią.

Wypili po cztery kieliszki; Justyna postanowiła, żeby poszukać grającej szafy z płytami; znaleźli ją łatwo naprzeciw, w kafejce „Petit Cluny”, i tam usiedli na sali. Jest to przybytek Murzynów, było ich wielu i wtedy, całowali się z Murzynkami, rzadziej, choć także, z białymi kobietami, inni krzykliwie ubrani, z twarzami kaczyczych piskląt, widać gdzieś z głębi Afryki, popijali przy barze. Justysia szukała płyty za szybą maszynierii i pociskała guziczki, Kujawa dał jej kilka dwudziestofrankówek, a ona wybierała swoją ulubioną melodię, jakąś krzykliwą piosenkę, potem puszczała tę płytę ciągle od nowa, chyba dwadzieścia razy, musiał więc w kasie rozmieniać na zapas banknoty. Zrobiło się już późno i po północy odwiózł ją, lekko pijaną, ostatnim metrem do domu; wrócił stamtąd taksówką do swego hoteliku.

Umówili się wtedy na następną niedzielę, spytałem Zenona przy poniedziałkowym obiedzie, jak posunęła się sprawa. Był trochę przygnębiony i opowiadał niechętnie, rozkręcił się dopiero w naszej kafejce „Old Navy”. Nie mogła wczoraj oddalać się od mieszkania, pojechał do jej dzielnicy i wysiadł, jak zwykle, na Pompe, a chociaż nie padało, stały tu ogromne tłumy czarniawych i krępych Hiszpanów, krzycząc jak na jarmarku, tarasowali korytarz i ani się ruszyli, by zrobić wolne przejście. Mają gdzieś kościół w pobliżu, o czym dowiedział się Zenon od gazeciarza na górze, spacerowali powoli ze swymi kobietami. Na placu Tattegrain czekała piękna Justysia za szybą dworcowej kafejki (kolej okrążająca Paryż ma tutaj swój przystanek). Siadały przy nich staruszki z pieskami oraz panienki w dżokejskich uniformach o

męskim typie urody<sup>1</sup>, inne defilowały konno całymi kawalkadami, wiedzione przez instruktorów środkiem alei i placu. Wreszcie, po jakimś czasie, Hiszpanie dotarli i tutaj, bo widać msza się skończyła, wchodzili gromadami i wszyscy tak głośno krzyczeli, że Zenon dostał od razu silnego bólu głowy. Poprosił, aby Justysia zabrała go do siebie.

Po chwili znaleźli się w bramie kamienicy na Lannes, była bardzo porządna i wyłożona lustrami. Kujawa zajrzał na schody frontowe wysłane miękkim dywanem, gdzie winda lśniła mosiądzem, lecz zaraz cofnęła go stróżka, niestara jeszcze, lecz wyglądała srogo. Justysia trąciła go ręką i przeszła szybko do kuchennego wejścia, którym przemknęli się cicho, konsjerżka wyjrzała znowu, ale już bez słowa. Było tu stromo i brudno, dawno nie zamiatane, wspinali się więc powoli; Zenon, nie taki już młody, musiał odpocząć w połowie, zanim dobili w końcu do dziewiątego piętra. Teraz był długi korytarz, w nim absolutne ciemności, wodzili rękami po ścianach, zakręcał cztery razy. Kujawa, idąc tuż za Justysią, podziwiał jej intuicję, nie pomyliła pokoi, z kluczami nie poszło tak dobrze, musiał poświecić dziewczynie zapalką.

Izdebka była maleńka, bo to najwyższa mansarda, a więc okienko w suficie; zwieszał się z góry sznurek, aby je można było uchylić. Nie zdejmowali płaszczy, pokój nie był ogrzany, Justyna dostała od państwa mały piecyk naftowy, bo elektryczność droga, nalała szybko paliwa i buchnął nieduży płomień; za chwilę zrobiło się ciepłej, lecz nafta ciągle pachniała. Otworzyła adapter wypożyczony od kogoś i nastawiła swoją mocno krzykliwą płytę. Kujawę naszły skrupuły, bo, jak mi opowiadał, poczuł się naraz zbyt stary, a ona była młoda. Kiedy to przemyślał, bawiąc dziewczynę rozmową, zapukał Gienek Marcysiak, jeden z adoratorów, znaleźmy go obaj z „Old Navy”. Ostrzyżony przy skórze, przystojny i wysoki, pasował do Justysi, Kujawa, wzrostu małego, zrozumiał, że musi się wynieść, rozwiązywało to nawet niejasną sytuację. Zatrzymywali go jednak, by wypić po stopce wódki, Justysia miała w zapasie butelkę eksportowej, przywieziona z Warszawy na czarną godzinę lub może na sprzedaż. Wypiwszy schodził powoli, ale na trzecim piętrze doznał go Gienek z pytaniem, czy mógłby mu na krótko pożyczyć pięćset franków, bo jest zupełnie bez grosza. Zenon pożyczył je chętnie i wrócił metrem do domu.

Niepokoilo mnie trochę, co opowiadał o Gienku Marcysiaku, widziałem go przed chwilą, kiedy czekałem w „Old Navy”, przysiadł się do mnie i także pożyczył jakieś pieniądze, ale zniknął natychmiast, kiedy mu powiedziałem, że zaraz przyjdzie Kujawa.

Tak się złożyło, że wyjechałem wtedy na dłużej z Paryża, dotarłem w Pireneje, by spędzić w górach Boże Narodzenie, a jeszcze później byłem aż miesiąc w Tuluzie.

Wróciwszy poszedłem od razu do hoteliku „Olinda” na wyspie Świętego Ludwika, aby wziąć od Zenona moją kartę stołówkową, z którą swojego czasu nie chciałem się wozic po Francji i przed świętami dałem mu ją na przechowanie. Spotkałem Kujawę na moście; był w drodze do „Old Navy” i koło Prefektury rozpoczął o Justysi, mówił o niej i potem, gdy ukłoniwszy się w przejściu Arturowi Sandauerowi, siedliśmy we wnętrzu kafejki.

Po niefortunnej niedzieli przerwali swoje spotkania na dobre parę tygodni, Justyna nie przyjeżdżała wcale na Saint-Germain (Kujawa w owym czasie zwrócił podobno uwagę na żonę jednego z kolegów, która go zaciekała z innego – mówił – powodu), gdy zaraz po Nowym Roku zobaczył ją w „Old Navy”. Wyglądała mizernie i chyba schudła cokolwiek, zewnątrz zmieniła się bardzo, grubo czerniła oczy, a usta miała zrobione prawie całkiem na białą. Zwierzyła mu się wtedy, że nie pracuje na Lannes, sypia na razie kątem u znajomych i żyje bez obiadów, zjadając czasem banana, bo nie ma wcale pieniędzy, spytała wreszcie po prostu, czy mógłby jej służyć pożyczką. Było po pierwszym styczniu, otrzymał swoje stypendium, a choć nie nazbyt wysokie, miał je jeszcze w kieszeni, mógł więc dać jej, o ile prosiła,

---

<sup>1</sup> Podejrzewam, że margrabianka Paulina z opowiadania *Eliza albo tryumf cnoty* również tam siadywała.

pięć tysięcy franków nie zrobiło większego wylomu w jego budżecie. Przyznała mu się na boku, że i dziś mało co jadła; Zenon był już wieczorem w stołówce naszego liceum, mimo to zaprowadził Justysię do restauracyjki chińskiej. Skosztowali tam najpierw pysznej sałatki z bambusa (zielone chrupiące pędy, przyprawione brunatnym sosem, zbliżonym do naszego „maggi”, ale smaczniejszym od niego), a potem skośnooki kelner przyniósł im kurę po chińsku, krajaną na kawałeczki i wymieszaną z ryżem, wypili do tego całą butelkę wina. Teraz, oboje syci, żywo dyskutowali nad jej położeniem.

Pomysł, na który wpadł Kujawa, podobno ni stąd, ni zowąd, miał szansę powodzenia. No sił wówczas przy sobie moją legitymację i przechowywał również kartonik stołówkowy, dobry był miesiąc, półtora, zadecydował szybko, że można z nich zrobić użytek, pomagając Justysi. W liceum Świętego Ludwika kontrolowali ostro i mowy być nie mogło o wprowadzeniu kogoś, gotów się był poświęcić i, rezygnując z tej kuchni, stołować się w „Mabillonie”, bo chociaż lubi zjeść smaczniej, jednakże wtedy Justysia obchodziła go znowu. Gorzej, że byłem mężczyzną, imię co prawda nie grało tu żadnej roli, Francuzi i tak się na nich nie znają, jeśli zostaje w naszym rodzimym brzmieniu, chodziło o fotografię. Przyszedłszy do domu Zenon zajął się zdjęciem Justysi: poprzycinał je zreżymem, nakleił sprytnie na moje oraz przybrudził tuszem, mogli więc od tej pory jadać codziennie ze sobą, a wieczorami popijać kawę w „Old Navy”, potem chodzili do kina. Gienek Marcysiak pętał się wprawdzie ciągle, na szczęście był bez pieniędzy i manewrując pochlebco swoim przydługim tułowiem, prosił Zenona zawsze o pięćset franków, przypominając zresztą, że pamięta o długach; istotnie, sumował je lojalnie rozpoczynając pierwszą pożyczką na schodach. Kujawa dawał mu najpierw po trzysta, dwieście, w końcu starczało sto franków oraz, ewentualnie, kawa, aby się trzymał z daleka od Justysi przynajmniej wtedy, gdy Zenon był w jej pobliżu.

Tymczasem któregoś wieczoru trafili w „Mabillonie” na jakąś superkontrolę, sprawdzali wszystkich przy wejściu, a potem jeszcze na górze, i fotografia Justyny, naklejona na drugą, wzbudziła zastrzeżenia, dociekliwy student oderwał górną paznokciem, a zobaczywszy moją, schował kartonik do kieszeni, taktowny, nie zwrócił głośno uwagi. Jedli w ponurym nastroju, w dodatku zlekli się trochę, co powiem po powrocie. Nie poszli już do „Old Navy”, lecz do „Petit Cluny”, gdzie wśród Murzynów popijali alkohol, Justysia puszczała ciągle swoją krzyżącą płytę topiąc dość dużo pieniędzy, wreszcie Kujawa odprowadził ją pieszo do mieszkania, blisko samej Bastylli; na schodach, opowiadał, długo się całowali.

Nazajutrz piękna dziewczyna poprosiła Zenona o pożyczanie dziesięciu tysięcy franków, lecz mógł jej wtedy pożyczyć tylko pięć tysięcy, inaczej nie dociągnąłby do pierwszego lute-go, tak się zresztą złożyło, że przeczytał w „Figaro” anons o wolnej posadzie femme de ménage tuż koło Odeonu u pana Marcepoile, pokazał gazetę Justysi. Nie chciała takiej pracy, popłakała się prawie: zna wszystkich nazbyt dobrze, tymczasem ma gdzie nocować, może wynajdzie co sobie, przebąkiwała nawet, że wróci do sztucznych kwiatów, na szczęście zaraz po pierwszym służył jej wyższą sumą. Na tym wszystko stanęło, bo kiedy przyjechałem, Kujawa był na wyjeździe do Belgii, aby odbyć praktykę w zakładach Solvaya.

Biegałem teraz po mieście, aby odzyskać zabraną legitymację, nie było to łatwe, musiałem opowiadać, że ją zgubiłem, do tego bałem się trochę, że ukarzą mnie jakoś, ale tak się nie stało. Zanim dostałem papierki, ostemplowane gdzie trzeba, parę dni upłynęło, aż wreszcie przydzielono mnie do stołówki École des Beaux-Arts, bo już nie było lepszych, miała być za to otwarta przez całe wakacje. Mieściła się ona przy Quai Malaquais, tuż obok domu z tablicą ku czci Anatola France’a, pałacyk zajmowała szkoła, a z bramy zaraz na lewo wydawano posiłki i przy podłużnych stołach jadał brodac malarze; po paru dniach wiedziałem, że stołowało się tutaj wielu znajomych Polaków, kontrolowali łagodnie, można się było prześliznąć nawet bez niczego. Spotkałem tu przede wszystkim Gienka Marcysiaka, pytałem go o Justynę, odezwał się o niej nieładnie, dodając mimochodem, że się wyniosła z mieszkania przy Bastille. Mówił raczej o sobie: ostatnio zmienił papiery, ktoś mu zaproponował scenariusz do

filmu, więc obiecywał pozwracać wierzycielom pozaciągane długi, w końcu przymówił się o poważniejszą pożyczkę. Wymigałem się stufrankówką, po paru dniach musiałem mu dawać znowu dwa razy po sto franków, a gdzieś w połowie marca spostrzegłem z daleka Justynę, choć prawie jej nie poznałem. Istotnie zeszczupłała i miała bandaż na czole. Kłóciła się o coś z Gienkiem, spotkawszy się z nim przy wejściu, wyjaśniła po chwili powód tej awantury, chciała wyciągnąć od niego talon na kolację, bo jest zupełnie bez grosza, nie chciał jej dać nawet tego. Miałem talonów nadto, ale zmieniłem plany: przeszliśmy za Sekwanę, a później pod arkadami na drugą stronę Luwru, znałem w tej okolicy niedrogą restauracyjkę baskijską obok Palais-Royal, tam usiedliśmy spokojnie przy stoliku. W stołówce nie dokończyłem kolacji (dawali bardzo podle), jedliśmy z apetytem jakiś przysmak baskijski (rizotto z plasterkami suchej kielbaski i pieprzu tureckiego), a potem pieczeń wołową i gotowaną cykorię. Justysia mówiła mi teraz o swojej egzystencji, cierpiała znowu biedę po wyjeździe Kujawy. Od paru dni nocowała w atelier u malarza, daleko od śródmieścia, w Siedemnastej Dzielnicy, bardzo dobrego człowieka, kiedy był trzeźwy, niestety wczoraj przyszedł pijany. Obroniła się jakoś, bo jest silniejsza od niego, lecz rozharatał jej czoło, popchnięta walnęła głową o marmurowy kominek. Poduczyła się jednak ostatnio francuskiego, nie zmarnowała swego pobytu w Paryżu.

Byliśmy już po deserze, więc chciałem wrócić na kawę do „Old Navy”, Justysia wołała wypić ją tutaj, skoro ma bandaż na głowie, a potem szliśmy powoli w górę Pól Elizejskich. Pomimo tego bandaża mocno mnie znów pociągała i przyznawałem rację Zenonowi Kujawie. Było już koło dziewiątej; Justyna oglądała kreacje na wystawach, a ja się zastanawiałem, czy rzucić dla niej Michelle. Potem, gdy poprosiła o pożyczanie pieniędzy, udzieliłem jej chętnie czterech tysięcy franków, które miałem w portfelu, zostawiając dla siebie na wszelki wypadek banknot pięćsetfrankowy.

Doszliśmy wreszcie pieszo aż na jej plac Péreire, nie pozwoliła mi jednak wejść ze sobą na górę, malarz postawił warunek, by nie spraszala gości, i stróżka miała za to płacone. Może i dobrze, że tak się stało, bo pojechałem stamtąd od razu do Michelle i jeszcze tego samego wieczoru Justysia zupełnie wywietrzała mi z głowy.

Przez owe trzy miesiące nieobecności Zenona w Paryżu widywałem Justynę, najczęściej zresztą w stołówce École des Beaux-Arts, gdzie wiele razy dawałem jej talony i nawet jakieś pieniądze, ale nie poprosiłem jej drugi raz na kolację, był to właśnie ten bardzo krótki okres, kiedy byłem naprawdę szczęśliwy z Michelle.

Kujawa wrócił w początkach czerwca i zatrzymał się tym razem już nie na wyspie, ale w przytulnym hoteliku na rue Gît-le-Coeur, pod wezwaniem Świętego Michała, niedrogim i porządnym, mieszczącym się w starej, wybrzuszonej kamieniczce prawie nad samą Sekwaną. Było stąd niedaleko do kafejki „Old Navy”, zastawał mnie tam wieczorami. Gdy wchodził, kłaniał się zawsze Arturowi Sandauerowi, chociaż nie znał go wcale, uważał prawdopodobnie, że to nie zaszkodzi. Cieszył się wówczas z powrotu do Paryża, było już ciepło i tłumy spacerowały powoli pod świeżą zielenią nieruchomych platanów. Chodziliśmy razem nabrzeżem Wielkich Augustynów i jeszcze dalej, w stronę Tournelle, gdzie katedra Nôtre-Dame, wydobyta reflektorami, ukazywała po bokach swoje gotyckie koronki.

Upłynął chyba tydzień i Zenon spotkał Justysię gdzieś w okolicach Opery (nie wiem, co tam robiła), a wtedy cała rzecz zaczęła się od nowa. Opowiadał wieczorem, że postanowił wyrwać ją od malarza, który okazał się w końcu pijakiem i erotomanem. Chciał znaleźć dla Justysi jakiś niedrogi pokoik, najchętniej w tanim hotelu, przywiózł z Belgii pieniądze, miał za nie wprawdzie kupić używany samochód, aby, jak projektował, przez Włochy i Austrię wrócić nim do Warszawy, rozumiałem go jednak, jeśli obecnie z Justysia wiązał konkretne nadzieje. Uradziliśmy zresztą, że może wrócić skuterem, to samo zwiedzając po drodze.

Poleciłem mu wtedy malutki hotelik „Iris” na wąskiej uliczce Guisarde, gdzie mieszkał przez pewien czas jeden z wybitnych poetów, w labiryncie obskurnych uliczek koło rue Saint-

Sulpice, a więc dwa kroki od kafejki „Old Navy”, a także niezbyt daleko od hoteliku Zenona. Skoro się już zdecydował, byłoby wprawdzie najlepiej, dla jego wygody, zakwaterować Justysię w hotelu Świętego Michała; inna sprawa, że doba kosztowała tam dwa razy tyle, rozumiałem jego oszczędność. Opłacił przy mnie z góry trzy miesiące pobytu, a wtedy patron policzył mu tylko po trzysta franków dziennie. Hotelik nie robił dobrego wrażenia, była to cena tak niska, że trudno wiele wymagać: domek kilkusetletni, wtłoczony między inne jemu podobne, trzeba się było, wchodząc, przecisnąć przez wąską szparę, drzwi bowiem podpierano od wewnątrz olbrzymim hakiem, aby nie otwierały się szerzej, na schodach pachniało lochami, a oświetlano je tylko maleńką żaróweczką, na korytarzach jednak panowały ciemności. Justysia po przeprowadzce była zadowolona i powiedziała nam zaraz, że wreszcie tutaj odcznie, zamknawszy się sama w pokoju, w dodatku nie będzie musiała wydawać paru tysięcy na metro, bo wszędzie dojdzie piechotą.

W parę dni później poszedłem koło południa na rue Soufflot, gdzie można łatwo otrzymać zniżkowe kartki studenckie do kabaretów na Montparnassie, i poprosiłem o kwitki, uzgodniłem z Zenonem, że wybierzemy się tam razem z moją Michelle w środku przyszłego tygodnia. Kujawa nie odstępował teraz Justysi, jadali razem dwa razy dziennie w École des Beaux-Arts, widziałem, jak kupił dziewczynie cały karnet talonów, aby już nie musiała prosić o nie nikogo. Wieczorem szli do „Old Navy”, a potem ruszali do kina, na rogu ulic Écoles i Champollion salki są małe, przytulne, niedrogie, grają tam często szmiry, lecz czasem przecież dawali coś ciekawego. (Ja także tam bywałem, ale na innych seansach).

W środę, jak było umówione, przeszliśmy wszyscy spacerem do kabaretu „Jockey”, należało się zjawić przed godziną dziesiątą, szef zabrał studenckie karteczki i dostaliśmy stolik tuż przy orkiestrze, mimo że wtedy jeszcze nikt nie siedział na sali. Michelle była w humorze, za to Justysia nie najlepiej się czuła. Przynieśli nam białe wino w posrebrzanym kuble, nalali cztery kieliszki, musieliśmy pić bardzo wolno, aby starczyło na cały wieczór, bo dolewać nie można ani zamawiać choćby wody sodowej, zażądaliby potem tysięcy, jak od zwyczajnych gości, nie mieliśmy takich praw. Lokalik był bardzo maleńki, przyjemny, zrobiony na stary: w rogu świeciła szyba, za nią dawny Montparnasse z wieżą Eiffla na końcu (nie jest to zresztą prawdą, dopiero z placyku przy dworcu zamyka ona perspektywę bulwaru skracającego tu w prawo, ale im nie chodziło o absolutną dokładność). Pozawieszano gęby różnej wielkości, wycięte z ilustracji i nieco już przyżółcone, wisiała nawet tabliczka „Défense d’uriner”, jaką spotyka się często na mieście, a na prowincji w okolicach kościołów. Z początku dwie for-danserki tańczyły z sobą na parkiecie, po chwili i nas poproszono, abyśmy zatańczyli, objąłem lekko Justysię, później zmieniliśmy pary, zaczęli wreszcie tańczyć także zwyczajni goście i mogliśmy, zmęczeni, wrócić do swego stolika. Michelle, jak widziałem, zrobiła na Zenonie bardzo duże wrażenie, rozmawiał z nią bez ustanku, a ja bawiłem Justynę.

Orkiestra przerywała i wtedy były atrakcje. Najpierw kobieta-jaszczurka w cętkowanym trykocie wężowymi ruchami pełzała po parkiecie, a potem jedna z Murzynek tańczyła w półmroku calypso, świeciły jej się wtedy dwie małe żaróweczki, wśród pośladków czerwona, druga, zielona, z przodu.

Nareszcie, już koło drugiej, przyszła mistrzyni strip-tease’u. Była to piękna dziewczyna, chyba troszeczkę Mulatka, bo miała zbyt długie nogi, ale zupełnie biała, z rudawymi włosami i w wielkim kapeluszu. Rozbierała się wolno z kostiumu elegantki, usiadła na krzeselku i długo ściągała pończochy, a potem, zdjawszy majteczki, uderzała nimi po twarzach siedzących najbliższej panów, nasz stolik był za daleko; wreszcie została z mufką, wspaniale wygięta w krzyżach, kokietowała na koniec swym znakomitym gorsem, żalowaliśmy obaj, że ustawiła się tyłem. Justysia trąciła mnie wtedy prosząc, abym powiedział Kujawie, że czas wracać do domu.

Wsunąłem szefowi do ręki za wszystkich czterysta franków (pilnował uważnie przy wyjściu) i rozstaliśmy się zaraz. Zenon miał odprowadzić Justysię na Guisarde, a ja wziąłem taksówkę, by odwiedzić Michelle do domu, na szczęście nie mieszkała daleko, bo koło Porte d’Orléans.



Nazajutrz wieczorem Kujawa siedział samotnie w „Old Navy”. Wzbraniał się mówić cokolwiek, musiałem się wykosztować na parę calvadosów, aby coś z niego wydusić. Powiedział, że niepotrzebnie chodziliśmy do kabaretu, zanadto był podniecony i ledwo się położyli, sfuszerował zupełnie; Justyna, nie czekając, zrobiła mu awanturę, kazała się zaraz wynosić ze swojego pokoju, cały wczorajszy wieczór była zdenerwowana. Musiał zawrócić na dół, co gorsza, patron hotelu, ogromny i otyły, miał widać trochę w czubie, bo kiedy Zenon wychodził, odsunął znieczeka judasza i zelżył go ordynarnie plugawymi słowami.

Widziałem, że teraz dziewczyna unikała Zenona; co do mnie, musiałem wyjechać na pewien czas do Tuluzy i jeszcze z przedziału pociągu mówiłem do Kujawy, żeby rozsądnie naprawił swoje potknięcie z Justysią.

Kiedy pod koniec lipca wróciłem do Paryża, Zenon powiedział mi krótko, że sprawa jest już skończona. Nie chciał nic mówić po drodze, dopiero w swym hoteliku na rue Gît-le-Coeur zrelacjonował, jak to się stało.

W tydzień po moim wyjeździe przebłągał jakoś Justynę, prosto z „Old Navy” poszli na plac Contrescarpe, wieczory były gorące, kilka platanów pośrodku przypominało rynek południowego miasteczka, znieruchomiały w upale. Zaprowadził ją najpierw do małej kafejki, gdzie grają studenci na elektrycznej gitarze tylko za szklanek wina, a potem, trochę znudzeni monotonnym pobrzękiwaniem, przenieśli się naprzeciw. Stała tu szafa z płytami, więc Zenon rozmieniał pieniądze po to, aby Justysia mogła nastawiać swoją wrzeszczącą melodię.

Niedługo po północy weszli do jej pokoiku, miała tam (mówił) chłodno, może trochę dlatego, że od sufitu do ściany szła skośnie rura zlewowa, z której kapały kropelki do podstawionej miski. Justysia powiesiła sobie nad łóżkiem rysunek abstrakcyjny i zdjęcie Marlona Brando, a teraz, rozmarzona, położyła się szybko, Kujawa usiadł na wyplatanej krzeselku i palił papierosa. Myślał podobno o tym, że miała w Paryżu najpierw Gienka Marcysiaka, a potem, gdy był w Belgii, mówiono o architekcie i nowoczesnym malarzu, pijaku i erotomanie, u którego mieszkała, przebąkali także o kędzierzawym Murzynie, wszystko to jednak byli chłopcy nieomalże w jej wieku albo niewiele co starsi i sama ich wybierała, kochała ich jakoś może, nie był, jak mówił, pewien, jak go teraz traktuje, czy aby nie był to stopień do pełnego upadku, może nie przekroczyła niebezpiecznej granicy. Przyszły wyrzuty sumienia, że płacił jej za ten hotel, wyczuł podobno wtedy, jak stał się ważną przeszkodą pomiędzy nim a Justyną. Dziewczyna, mocno pijana, patrzyła zniechęcona, potem mówiła bez sensu, wreszcie jednak zasnęła pozostawiając Zenona ze swoimi myślami. Była już szósta rano, gdy wrócił po cichu do siebie.

Nazajutrz w École des Beaux-Arts Justyna nie podeszła do niego, zaczął się ku niej przepychać, lecz wyszła na ulicę, czekał potem w „Old Navy”, oczywiście na próżno. Koło dziesiątej wieczór Kujawa był na Guisarde, pukał do jej pokoju, szarpał nawet za klamkę, lecz się pewno zamknęła, nasłuchiwał i słyszał bardzo ciche szeptanie, a także, jak sprawdzał przedtem, klucza nie było na dole. Krążył przed bramą do chwili, gdy zauważył, że wyszedł stamtąd – o piątej – Gienek Marcysiak (na szczęście nie widział Zenona, bo szedł w przeciwnym kierunku).

Przez cały lipiec Kujawa pędził życie samotnie. Justynę widywał wprawdzie dwa razy dziennie w stołówce, nie dostrzegała go jednak i on jej nie dostrzegał, czasem tylko przychodził Gienek po paręset franków i mówił o niej nowiny, pod koniec miesiąca projektowała wycieczkę na Południe ze świeżo poznanym lekarzem, zamożnym starszym panem, bierze ją do swego auta. Cóż mógł na to powiedzieć, kończyło się stypendium, miał niemało roboty i jakieś egzaminy, rzucił wówczas „Old Navy” i pijał kawę na mieście, tam gdzie mu właśnie wypadło, a potem przestał jadać w École z tego samego powodu. Przygotowywał się powoli do powrotu, chciał ruszać w połowie sierpnia, rachował swoje pieniądze. Wynikało, że starczy na skuter, choć lekko używany; wyraziłem wątpliwość, czy takim potrafi przejechać przez Włochy i Austrię.

Gdy Zenon skończył opowieść, trochę żał mi go było, nie brałem teraz na serio jego szlachetnych wykrętów, wszystko stawało się jasne. Wpadłem jednak we wściekłość po zobaczeniu Michelle, kiedy się poskarżyła, że nie proszony przychodził nazbyt często do biura i do domu, w czasie ostatniej wizyty poczynił sobie śmiało, nie wiem właściwie, po co to robił, skoro i tak nic by z tego nie wyszło. Kujawa odgadł powód mojej niechęci, a że nie bywał w „Old Navy”, prawie go nie widywałem.

Wreszcie, w połowie sierpnia, zjawił się u mnie aż na rue Lauriston, myślałem: „chce się pożegnać”, tymczasem nastąpiły tak ważne komplikacje, że wybaczyłem mu jego niefortunne zaloty do Michelle.

Otóż przed paroma dniami, gdy siedział u siebie w hotelu, zadzwonili z portierni, że czeka tam na niego telefon międzymiastowy. Zrozumiał po dłuższej chwili, że mówi, płacząc, Justysia. Dzwoniła z Saint-Tropez, gdzie była bez pieniędzy, mieszkała w jakimś hotelu na łasce swego lekarza; mocno starszawy już człowiek stawiał jej teraz warunki, gotów zapłacić za wszystko. Byli tu dwa tygodnie, rachunek wzrastał codziennie półtora tysiąca za pokój (liczono z pierwszym śniadaniem), nie miała także na kolej, by wrócić do Paryża. Zenon obliczył w myśli: skuter wprawdzie przepadnie, ale Justyna nie przekroczy granicy, zawróci z samej krawędzi, decyzja przyszła więc łatwo. Kazał jej wracać natychmiast, poszedł zaraz na pocztę z przekazem telegraficznym, wieczorem telefonował jeszcze na Riwierę, by się upewnić co do jej powrotu, ale mu powiedziano, że właśnie wyjechała. Sprawdził rozkłady jazdy, o piątej rano był na Dworcu Lyońskim, gdy przyszedł ekspres z Nicei, Justysi w nim nie było. Czekał przy autobusach, a potem co godziną chodził na rue Guisarde, gdzie jej obskurny pokoik ciągle był zapłacony, wiedział, że się naraża grubemu patronowi, musiał go ułagodzić banknotem tysiącfrankowym, prosząc, by zatelefonował do niego od sąsiadów, kiedy Justysia przyjedzie. Nazajutrz zdenerwowanie Zenona wzrosło do tego stopnia, że nie był w stanie przygotowywać się do podróży.

Cóż mogłem mu poradzić, nie miałem żadnych złudzeń, płacił za swoją naiwność, jedyna satysfakcja, że tracił pieniądze istotnie na kobiety, dobre dla niego i tyle. Musiałem teraz z nim jechać do hoteliku „Iris”, gdzie nic się nie zmieniło, za to na Gît-le-Coeur w przegródce na klucz od pokoju leżała barwna pocztówka z widokiem morza i plaży; Zenon obrócił ją szybko, znaczek był włoski i miał pieczętkę San Remo. „Tylko dzięki Tobie oglądałem te cuda – pisała krótko – zwiedzamy teraz Italię, bo jesteś zawsze kochany. Życie jest piękne. Justyna”.

Nie wchodziliśmy już do Kujawy na górę, lecz, wziąłem go pod rękę i poszliśmy ulicą, siedliśmy w głębi „Old Navy” i tam mu postawiłem kolejkę calvadosów. Dosiadł się potem do nas Gienek Marcysiak, który przyciągnął ze sobą dwie ładne studentki z Krakowa, przedwczoraj przyjechały na winobranie w Szampanii i zostawały przejazdem na razie trzy dni w Paryżu. Siedzieliśmy z nimi do późna; gdy zapłaciłem rachunek i przechodziliśmy przez taras, obaj, jak zawsze bywało, zwróciliśmy oczy na lewo, gotowi do ukłonu, lecz tam już nie było Artura Sandauera.

## ELIZA ALBO TRYUMF CNOTY

...naguère, a propos des romans, [Paul Valéry] m'assurait qu'en ce qui le concerne, il se refuserait toujours à écrire: „La marquise sortit à cinq heures”. (André Breton: *Manifeste du surréalisme*)

Markiza wyszła o piątej.

Robiła to codziennie i wtedy dopiero Eliza mogła pójść do swego pokoju, położyć się na chwilę lub nawet poczytać, chociaż, jak mi się zdaje, nie gustowała w lekturze. Najczęściej, zmęczona, schodziła wówczas do łazienki margrabiny, na pierwszym piętrze bowiem wanna była stale popsuta. Ale i ta, na parterze, nie przebudowywana dobre kilkadziesiąt lat, zachowywała modę belle époque, miedziane kurki i kafelki w secesyjne kwiaty jakichś grążeli. Eliza, wykąpana, ubierała się już u siebie przed pociemniałym lustrem w pięknej złoczonej ramie, bo dbała o stroje i dużo wolnego czasu poświęcała przymierzaniu ubiorów.

Pokoik jej nie był duży, lecz miał mebelki z epoki; na całym pierwszym piętrze, gdzie była także jadalnia, stały prawdziwe antyki w stylu dyrektoriatu, ludwik czternasty na dole (sypiała tam margrabina), pierwsze cesarstwo na drugim. Nad tapczanem Elizy, przykrytym jedwabną kapą w jasnoróżowe pasy, wisiały cztery owalne, nieduże miniatury. Inna sprawa, że teraz właśnie, o piątej, gdy usłyszała, że margrabina wychodzi, przebierała się w rzeczy szyte jeszcze w Poznaniu albo też takie, które co prawda kupiła za swego tutaj pobytu, ale po cichu, i w domu o nich nie mówiła, prezenty od markizy (dostała ich dość dużo zaraz po swoim przyjeździe do Paryża) bywały świetne w gatunku, ale niemodnie zrobione, jakieś przyciężkie kostiumy, niemalże wszystkie spódnice sięgały do pół łydki, dane jej z tym zastrzeżeniem, żeby ich nie skracala, musiała je nosić bezwzględnie po domu w czasie pracy, tak chodziła markiza, jej córka Paulina i ciotka Eli – Andréa.

Ona to właśnie przysłała Elizie zaproszenie, aby, po wielu latach, zobaczyć kogoś z rodziny. Była dzisiaj osobą mającą koło czterdziestki, mieszkała we Francji od czasu, gdy opuściła Polskę przez Zaleszczyki i Włochy. Z początku osiadła w Grenoble i tutaj się nią zajęła margrabina z sąsiedztwa, ofiarowując posadę, przeżyła do końca wojny w jej zamku pod Alpami nad pięknym, dużym jeziorem. Później margrabia zginął w wypadku samochodowym, pisała wtedy do Polski, że pomaga wdowie rozwiązać sprawy spadkowe i opiekuje się nadal ich córeczką, Pauline. Dziewczynka, inteligentna, należała do trudnych; nad wiek wybujała, mając lat jedenaście przerosła wychowawczynię, kobietę dosyć wysoką, a już od roku wyższa była niż mama.

Rodzice małej Elizy, gdy wojna się skończyła, otrzymywali z Francji po dwie, trzy paczki na kwartał, były w nich rzeczy Pauliny przesyłane dla Eli (zwykle mocno zużyte, ale po sporych przeróbkach zawsze się przydawały); koło pięćdziesiątego roku przestały one przychodzić, a w pięćdziesiątym szóstym zaczęły nadchodzić znowu. Wreszcie, po wielu listach, ciotka Andréa przesała dla Eli papiery potrzebne do wyjazdu, razem z powrotnym biletem

(załatwiono te sprawy w biurze podróży „Tourisme”), formalne zobowiązanie utrzymywania dziewczyny przez trzy miesiące pobytu podpisane zostało przez samą margrabinę.

Kiedy poznałem Elizę, prowadziła na smyczy czarnego pudła Bouboula. Spacerowała przed domem, pałacyk markizy był jedną z ostatnich budowli bulwaru Saint-Germain (numer miał bardzo wysoki), tuż przy Pałacu Burbońskim i blisko ambasady, szedłem, tam ze znajomym, kolegą Eli ze szkoły. Wstąpiliśmy, pamiętam, do odrapanej kafejki „des Ministères”, mieści się ona bodajże w gmachu Ministerstwa Wojny, lecz nie robiono trudności, aby psy również bywały, chodziło o Bouboula. Tak się następnie składało, że wszystko, czego się dowiedziałem o życiu Elizy w Paryżu, zaczęło się od tamtego spotkania i byłem tu jeszcze nieraz, Ela co prawda zawsze opowiadała dość chętnie, ale nie mogłem tak bardzo liczyć na owe rozmowy w „Cafe des Ministères”, musiała wtedy dosłownie co parę minut wychodzić, aby przespacerować się z pieskiem naprzeciw okien markizy, gdyż ta uważnie patrzyła, czy Bouboul czasem nie stoi, była to godzina jego spaceru.

Ciekawiło mnie życie w domu margrabin, jednak nie byłem w nim nigdy, bo mężczyźni tam nie wpuszczano. Z zewnątrz wyglądał dostatnio, tak samo jak inne niezbyt obszerne pałace Siódmej czy Ósmej Dzielnicy, gdzie stoją nie fałszowane często od kilku wieków, w Szesnastej bywają wprawdzie o wiele okazalsze, lecz dobrze, jeśli pochodzą z czasów drugiego cesarstwa, zwykle je budowano na przełomie stuleci. Od ruchliwego bulwaru dzieliły teren markizy wysokie żelazne sztachety, pomalowane na czarno ze złotymi strzałkami, podobna furka i brama, za nimi był niski ogródek z ładnie strzyżoną zielenią. Kilka metrów cofnięto mały pałacyk, mający tylko dwa piętra, jednakże jego okna zwrócone na południe, ilekroć przechodziłem, były od strony ulicy zakryte okiennicami chroniącymi przed słońcem, w zimie znowu od wewnątrz gęste firanki i story nie pozwalały zupełnie zobaczyć, co się tam dzieje.

Tak więc, jak widać, wszystko, co opisuję, podaję właściwie tylko na odpowiedzialność Elizy, jeśli w ogóle można by tu używać tego terminu, ładnie bym chyba wyglądał, gdyby się dowiedziała, że to kiedyś opiszę, a teraz mam nadzieję, że może choć nie przeczyta mego opowiadania, bo nie wiem nawet, czy powróciła do Polski i co się z nią teraz dzieje.

Trudno było określić prawdziwą rolę Elizy w domostwie margrabin; niby uboga krewna, a przecież jednak służąca; choć nie ubezpieczona, jak wymagają prawa, dostawała za pracę dwadzieścia pięć tysięcy franków na swoje wydatki, mniej więcej połowę tego, co pokojówka Yvette. Nie było to dla niej mało, zważywszy, że przecież miała bardzo porządną pokój, a także utrzymanie na wysokim poziomie, siadała nawet do stołu niby członek rodziny.

Śniadania podawano punktualnie o pierwszej; usługiwała do nich młoda dziewczyna Yvette, prócz niej służyła w tym domu stara kucharka Martine, która jeździła na lato z paniami do Sabaudii, gdzie zresztą się urodziła jako dziecko kucharza. Szofer był również niemłody i miał uważać na bramę oraz doglądać ogrodu (dosyć gęstego co prawda, ale niezbyt dużego, wtłoczonego ukośnie pomiędzy kamienice), zwykle siedział w stróżówce, ale przychodził do kuchni na posiłki.

Zaraz po pierwszej jesieni, kiedy wróciły z wakacji, Eliza opowiadała, że panie wspólnym wysiłkiem zajęły się jej manierami, i uważały na ruchy, uczyły jeździć konno, a potem wcale swobodnie robiła piękne spacer, mając przy sobie ciotkę i pannę Pauline. Markiza, pod której okiem siadała na jej kasztana, nie mogła jeździć wierzchem od czasu przykrego wypadku, kiedy złamała nogę. Zrezygnowała z żalem, lecz chorowała ostatnio i bardzo potem utyla, a miała pod sześćdziesiątkę, kazano jej uważać i nawet teraz, na wsi, podobnie jak w Paryżu, zostawała w swym łóżu do samego obiadu. Ofiarowała Eli długie brązowe buty specjalne do konnej jazdy, najzupełniej nowe, nie pasowały bowiem żadne z będących w domu: markizy, Pauliny ani ciotki Andréi (Eliza należała raczej do kobiet małych), wybrały się więc we cztery z szoferem do szewca w Grenoble, kiedy zapadła decyzja obstalowania na miarę. Do butów Ela dostała miękką zieloną kurtkę ze skóry antylopy, glansowaną od spodu, na wierzchu welurową, z długimi rękawami i kieszonkami po bokach, była wprawdzie za duża i dosyć mocno

zniszczona, pozostała w niej jednak szlachetna linia kroju. Zazwyczaj popołudniami jeździła na promenady, towarzyszące jej panie lubiły skakać przez rowy i chętnie brały przeszkody. W siodle nie było widać ogromu Pauliny (miała pod sobą dużego karogniadego ogiera), dzisiaj już górowała nad ciotką i margrabiną niemal o całą głowę, choć była ładna, a nawet proporcjonalnej budowy. Dostała – z powodu wzrostu – poważnego kompleksu niższej wartości; lubiła sytuacje, gdy tego nie spostrzegano. Przed samym wyjazdem ze wsi zbliżyły się z Pauliną; gdy ciotka towarzyszyła w spacerach margrabinie, jeździły obie na dłuższe konne przejażdżki dookoła jeziora. Były to bodaj jedyne milsze wspomnienia Eli, jakie przywiozła z Sabaudii, ogólnie narzekała, że się porządnie nudziła, bo prowadziły i tutaj bardzo zamknięty tryb życia, nie udzielając się otoczeniu ani nie prosząc do siebie.

Pod koniec września Eliza wróciła do Paryża, a tam do swoich zajęć, które się nie zmieniły. Dzień zaczynała wczesnie, markiza o siódmej rano dzwoniła na nią dwa razy, Ela musiała być wtedy od pół godziny na nogach, by podać pierwszą kawę. Przygotowywała więc zwykle tacę późnym wieczorem: kładła na spodku pięć dużych włoskich orzechów (przy nich miał leżeć dziadek z brodatą głową satyra), stawiała cukiernicę, pustą filiżaneczkę i dwa cynowe dzbanuszki. Rano włączała tylko kontakt od młynka do kawy, odmierzała uważnie trzy filiżaneczki proszku wysypując do kafetieri, aby go szybko zalać gotującą się wodą według tej samej proporcji i wszystko było gotowe. Wrzątek wlewała także do cynowego dzbanuszka oraz do filiżanki i niosła tacę markizie, która czekała – pòlsiedząc – w łózk pod baldachimem. Od rana ruchy tej damy były codziennie te same, bo przekręciwszy szybko zbiorniczek kafetieri, do pustego dzbanuszka wlewała ciepłą wodę z ogrzanej filiżanki i napełniała ją kawą, a później gniołła orzechy.

Kuchnia była ogromna niby fabryczna hala, ponad wielką płytą na dziesięć chyba otworów wisiało szklane sklepienie ujęte w żelazne ramy, Ela zjadała w niej teraz swoje poranne sandwicze i brała się do sprzątania. Dopiero o dziewiątej chodziła znów do markizy niosąc małe śniadanie: ta sama kafetiera i filiżanka z wodą, ale już bez orzechów i brodatego dziadka, za to sześć grzanych tostów z kawałkiem margaryny, a także, na talerzykach, trochę konfitur i miodu. Potem, przed samą dziesiątą, markiza znowu dzwoniła, miała już wypisaną w podłużnym notesiku długą listę sprawunków, po które Ela jeździła codziennie na targ autobusem aż do Szóstej Dzielnicy, na Carrefour Buci, u zbiegu ulic Dauphine, Mazarin i Saint-André-des-Arts, markiza bowiem tylko to miejsce w Paryżu darzyła zaufaniem, było tam pono najtaniej i opłacało się nawet wliczywszy cenę biletów autobusowych w dwie strony. Wracła o jedenastej i zaraz wchodziła z koszem prosto do wielkiej sypialni, uważnie sprawdzały kwiteczki i długo się rachowały. Markiza oglądała wszystkie produkty dokładnie, a mięso nawet wachała; gdy miała zastrzeżenia, dzwoniła sama na Buci ostro besztając rzeźnika i wtedy Ela wracała tam po raz drugi. Zazwyczaj przy podliczaniu rachunki się nie zgadzały, Eliza przywykła do tego, że dziennie musiała dopłacać koło osiemdziesięciu franków, co dawało na miesiąc dwa tysiące czterysta, a nawet trochę więcej, odliczając niedzielę, gdy źle coś bowiem kupiła, za drugą podróż na Buci musiała już płacić sama, w sumie więc miała strącane trzy, nawet cztery tysiące, bo dochodziły do tego nieprzewidziane pozycje.

Gdy wszystko znalazło się w kuchni, następował początek nowego ceremoniału; wydawczy dyrektywy markiza czekała chwili, kiedy kucharka Martine przyniesie kupione mięso rozbite na stolnicy, kładła na kołdrę ścierkę i brała się do krajania, lecz nie zaczęła bez tego, by nie naostrzyć noża sunąc nim w tę i na powrót po grubym żelaznym szpikulcu, który, ukośnie schylony, trzymała nad nią Martine. Skończywszy ostrzyć, płat mięsa dzieliła na siedem befsztyków: największy dla Pauliny (bo miała zawsze apetyt i ciągle się rozwijała), następny dla kucharki i równy dla szofera, troszeczkę mniejsze dla siebie i ciotki Eli – Andréi, samej Elizie krajała taki jak dla Yvette. Potem Martine biegła z poszczególnymi garnkami, aby markiza sprawdziła, czy wszystko dobrze gotuje (lubiła mieszać warzachwią, pieprzyć, przyprawiać do smaku), wreszcie wołała Yvette, żeby ją wykapała.

O pierwszej podawano w jadalni duże śniadanie; z drugiego piętra schodziły ciotka i Pauline (do tego czasu panie obsługiwały się same, tylko poranną kawę nosiła na górę Yvette), a zaraz po deserze wracały znowu do siebie, Ela zaś, wstawszy od stołu, zabierała na spacer czarnego pudła Bouboula, a później, po powrocie, ruszała do prasowni i cerowała bieliznę w towarzystwie Yvette.

Było niemało pracy, bo rzeczy margrabiny, koszule, staniki, reformy, porządnie popręcierane, często się rozlatywały po odebraniu z pralni, trzeba je było wzmacniać krzyżowymi ścięgami, lecz za to ze sztukami Andréi i Pauliny nie miały wiele roboty, chodziło o guziki, najwyżej o tasiemkę. Gdy cerowały, Eliza rozmawiała z Yvette; była to prosta dziewczyna, pełna ukrytej godności, spotykanej dość często u młodych Francuzek ze wsi, przyznała się jej po cichu, że urodziła chłopczyka, który się chowa u dziadków w Bretanii, mają tam swoje obejście i mały warsztat ciesielski. Oczywiście markiza nie wiedziała o niczym i wiedzieć nawet nie mogła, Yvette ufała Elizie bardziej niżeli Martine: zależna we wszystkim od domu mogła to łatwo wygadać w czasie krajania mięsa albo na zamku w Sabaudii, stara kucharka gardziła pannami z ogłoszenia. Markiza była surowa i ostro przestrzegała przyjętych zasad moralnych w stopniu nierównie wyższym, niż to się praktykuje, bo nigdy żadni panowie nie składali im wizyt, nawet Pauline zapraszała jedynie koleżanki (i te dość rzadko bywały), Eli zaś w pierwszym miesiącu zrobiła ostre wymówki ustami ciotki Andréi, bo kiedyś przyprowadziła znajomego z Poznania, tego samego zresztą, który nas sobie przedstawił. Miały to za coś zdrożnego, stąd właśnie i ja nie mogłem przestąpić progu jej domu. Oglądałem go z zewnątrz przechodząc wieczorami, gdy już markiza wróciła ze swojej eskapady (nie mówiła nikomu, dokąd wychodzi o piątej) i gdy Ela, przed samym obiadem, promenowała z Bouboulem, widywałem jedynie prześwitujące zasłony.

Prowadząc ciche rozmowy przy cerowaniu bielizny wolno się było Yvette cieszyć na koniec tygodnia, bo jako siła najemna miała największą swobodę; zawsze każdej soboty już od dziewiątej wieczorem czekał na nią przyjaciel w „Café de Ministères”, przetrzymywała go zwykle półtorej godziny po to, aby rozpoczął spacer w tę i na powrót po drugiej stronie bulwaru, pokazywała go Eli ukryta za firankami. Wtedy, odświętnie ubrana, ruszała z nim na tańce w stronę Lamotte-Piquet-Grenelle, gdzie odbywają się bale, najczęściej jednak jeździli aż na ulicę Commerce, chodziły tam zwykle służące tylko z Szesnastej Dzielnicy, a z Siódmej przyjeżdżała podobno sama Yvette. Opowiadała niezmiennie, że świetnie się zabawiła nie opuszczając żadnego kawałka od jedenastej do rana, lecz za to przesypiała u siebie całą niedzielę.

Zastępowała ją Ela ubierając markizę, wstawiała wyjątkowo około wpół do dziesiątej i już nie brała kąpieli, w południe chodziły pieszo na mszę do kościoła Świętego Tomasza z Akwinu, czasem zaś do Inwalidów czy nawet do Madeleine na drugą stronę Sekwany. Wróciwszy, Eliza musiała podać śniadanie, a potem, przy pogodzie, wysyłano ją zawsze do parku Tuilleries na długi spacer z Bouboulem. Spotykałem ją czasem, gdy miałem wolną niedzielę, i siadywaliśmy tuż przy basenie, patrząc na małe żaglówki, albo przy Jeu de Paume, gdzie znów widzieliśmy z góry ruch na placu Concorde, chociaż Eliza wołała zaszyć się głębiej w parku, nie było wykluczone, że margrabinie czy ciotce (bardzo lubiły malarstwo) mogło przyjść właśnie do głowy obejrzeć impresjonistów, niedzielne popołudnia spędzały poza domem.

Mimo dłuższego pobytu w Paryżu Eliza nie знаła tutaj prawie nikogo, czasami jacyś studenci przyjeżdżali z Poznania, ale wracali niedługo. Rodzice podali jej w liście adres przyjaciół sprzed wojny, którzy i teraz we Francji żyli na pewnym poziomie. Mieli obszerną willę w okolicach Neuilly, gdzie była miło przyjęta. Zostawiła swój adres, lecz kiedy im powiedziała, że mieszka w domu markizy (podobno o niej słyszeli), nabrali pewnej rezerwy i nigdy nie zadzwonili, jak było umówione. Do tego wszelkie rozrywki ostrożnie jej dawковано, ciotka przewidywała kino dwa razy w miesiącu i zabierała ją ze sobą na okrzyczane nowości grywa-

ne w najdroższych salach na Polach Elizejskich czy bulwarze Haussmanna; z teatrem było już gorzej, przez rok widziała tylko trzy przedstawienia i pojechały we cztery na jakieś dwa wernisaże.

Nasze spotkania w Tuilleries bywały jednak dość rzadkie, Eliza przypominała, by dzwonić do niej po piątej; przypadkiem się dowiedziała, co robi chlebodawczyni w tej tajemniczej porze. Czyszcząc jej futro znalazła w kieszeni stare bilety kinowe z dość podejrzanych dzielnic, jak choćby Kremlin-Bicetre, Pantin, Levallois, a były nawet z miasteczek Saint-Ouen i Saint-Denis. Pomiedzy nimi jeden abonament metrowy ze stacji Invalides ważny na drugą klasę, dziurkowany codziennie w krateczkach „tam” i „z powrotem” (używają ich zwykle dojeżdżający do pracy, kosztują dużo taniej niż karnet zwykłych biletów). Wracając do próśb Elizy: często zapomniałem, a czasem mi się po prostu nie bardzo chciało i telefonowałem po dwóch miesiącach przerwy na ogół gdzieś koło szóstej (aby zdążyła wziąć kąpiel i nie biegła w szlafroku), umawialiśmy się znowu do „Café des Ministères”.

Byłem więc bardzo zdziwiony, kiedy – przy końcu kwietnia – zadzwoniła o trzeciej do Biblioteki Polskiej; powiedziałem jej kiedyś, że przesiaduję tu zwykle całymi popołudniami, nie podawałem numeru, szukała go widać sama w książce telefonicznej. Mówiła jednak nie z domu, lecz z placu Palais-Bourbon i z porządniejszej kafejki, musiała być bez Bouboula. Prosiła, abym przyjechał, będzie na mnie czekała. Wyczułem z tonu, że coś się musiało zdarzyć w pałacu margrabiny, złożyłem moje papiery i wsiałem do autobusu. Opowiadała nerwowo zdarzenia ostatnich godzin, w końcu nie wytrzymała i popłakała się cicho.

Wszystko wybuchło dzisiaj, i to zupełnie nagle, sięgało jednak zdarzenia sprzed niecałego tygodnia, gdy uroczyście święcono wielki dzień Pauliny, bo urodziła się równo dwadzieścia jeden lat temu. Wydano wspaniały obiad na osiemnaście osób, ale przy długim stole siedziały same kobiety; solenizantka zaprosiła koleżanki z liceum i kilka towarzyszek konnych promenad za miasto, wedle prostego kryterium: jeżeli nie wyszły za męża. Przybyły także wiekowe przyjaciółki jej mamy. Markiza przy szampanie zabrała głos oznajmiając, że sama przez całe życie pragnęła odbyć podróż dookoła świata, ale trzymały ją zawsze we Francji obowiązki, teraz daje swej córce szansę takiego wojażu, będzie to prezent z okazji pełnoletnia dziewczyny. Pojedzie z panną Andréą do Ameryki Południowej na całe cztery miesiące, wrócą okrężną drogą przez Tahiti i Indie.

Nazajutrz po tym przyjęciu Ela odwiozła z szoferem ciotkę Andréę na dworzec (jechała coś załatwić do Mediolanu i Rzymu), a następnego dnia rano, co wypadło we wtorek, markiza wezwała Yvette. Musiała już dawno wiedzieć, że pokojówka jest w ciąży, ale że była robotą przed świętem pełnoletnia, a w poniedziałek zmywanie i wielkie pranie ścierek, doczekała do wtorku, by jej wyrazić zdziwienie, i wymówiła od zaraz, nie pozwoliła nawet podać do śniadania.

Od tej chwili Ela spełniała funkcję Yvette: kapała margrabinę, nosiła także co rano kawę dla Pauliny i dzisiaj zaniósła tacę do pokoiku na górę. Margrabianka leżała, jak zwykle, w ogromnym łożu, prosiła przysiąść na kołdrze i rozmawiały ciekawie. Ale po jakiejś chwili stała się zbyt ożywiona, potem ją wzięła za ręce i przyciągała do siebie. Mówiła cicho Elizie, że kocha ją od jesieni i porozmawia z mamą, która da pozwolenie, aby się z sobą zbliżyły, zresztą jest pełnoletnia i może już decydować wedle własnego uznania, ciotkę Andréę postawi przed faktem dokonanym. Dalej, że margrabina była z Andréą zbliżona, ale od kiedy choruje, wszystko się zakończyło i pozwoliła, by ciotka zbliżyła się z Pauline. Mogłyby – w ostateczności – zamieszkać we trzy na górze.

Eliza, teraz, przy kawie, przeżyła wszystko od nowa, dopiero tamta przeprawa otworzyła jej oczy, zrozumiała, czym było domostwo margrabiny. Gdy zbiegła od Pauline (z początku się szamotała, potem ugryzła pannicę i wyskoczyła na schody), dochodziła dziewiąta, przygotowała, co trzeba, i wniosła tacę markizie. Zastała ją w złym humorze, bo w nocy prawie nie spała, popróbowawszy kawy stwierdziła, że jest nie do picia, kazała ją Eli zaraz odnieść i wylać do zlewu. Była to wina Elizy: mocno zdenerwowana, wsypała dwie porcje proszku do

szklanej kafetery. Kiedy wróciła ze świeżą, markiza już coś pisała, półgłosem dzieliła cyfry na deka i gramy, wreszcie powiedziała, że straci jej przy poborach sto osiemdziesiąt franków. Może nie wiedząc, co robi, Eliza odpowiedziała, że nigdy nie będzie więcej parzyć w tym domu kawy i dzisiaj się wyprowadza. Wyszła od razu na miasto, więc do dużego śniadania musiała obu paniom podawać stara Martine; jutro przyjeżdża ciotka, niech poszuka służących.

Zastanawialiśmy się teraz, siedząc w kafejce tym razem bez przekłętego Bouboula, co może robić dalej, i rozważyliśmy przeróżne możliwości, znane już czytelnikom. Nie chciała ani chwili zostać u margrabiny, kazałem jej więc poczekać i wyruszyłem metrem do państwa de Strogoff, bo z placu Inwalidów można bez przesiadania dojechać na Commerce, jak to robiła zawsze co sobotę Yvette, a czasem i markiza chyba też tak jeździła, gdy wychodziła o piątej. Pomysł okazał się dobry, przyjęli oni chwilowo Elizę do siebie, ale dopiero wieczorem przewieźliśmy walizki. Było tego dość dużo i, aby nie brać taksówki, obróciliśmy trzy razy, walizy zносиła Ela przy pomocy szofera, a ja czekałem przed bramą.

Na razie jednak dziewczyna poszła się zapakować. Zastała na swym tapczanie długi list Pauliny: zrozumiała swe błędy, bardzo za nie przeprosza, jeżeli Ela nie lubi nazbyt wysokich kobiet, nie będzie się narzucała, powinna, jej zdaniem, cofnąć nie przemyślaną decyzję, chociażby tylko po to, aby nie zmartwić Andréi.

Udałoby się – jak sądzę – wszystko – załatwić szybciej (straciłem pół dnia dokładnie na całą tę głupią sprawę), lecz Ela się upierała, by dzisiaj wziąć pobory. Może nie była pewna, czy jutro, gdy wróci Andréa, zdobędzie tyle energii, aby z nią toczyć boje (nie miała złudzeń, że ciotka każe jej tutaj wrócić, i chyba bała się siebie: kiedy po raz ostatni wieźliśmy metrem walizki, nie była już taka pewna, czy słusznie postąpiła, odpowiedziałem coś ostro, co sądzę o tych wahaniach), dość że z półtorej godziny czekałem jeszcze w kafejce, bo oczywiście, jak zwykle, markiza wyszła o piątej.



## OŁADKI ALBO SAMOBÓJSTWO BOGUMIŁA

Ulokowanie Elizy u państwa de Strogoff było możliwe dlatego, że wyprowadził się od nich Aleksiej Andriejewicz, zajmujący pokój nazywany gościnnym; wyjechał do Marsylii, by zostać tam masażystą. Pomagałem w transporcie ciężkich walizek na górę i gdy już wszystkie zostały złożone przy drzwiach wejściowych, wówczas pani Giselle wysłała Elę na spacer z czterema jamnikami (mimo że było już ciemno), a sama zaczęła myśleć, co zrobić na kolację. Asystowałem w nadziei, że może będzie umiała znaleźć dziewczynie zajęcie.

Prosiła, abym pozbierał wszystkie miseczki kotów rozstawione w pokojach oraz na korytarzu, bo się zdecydowała usmażyć Eli ładiszki (po polsku, jak mi się zdaje, nazwane są oładkami); kiedy je zniosłem do kuchni, pozgarniała na talerz nie dojedzone resztki, zwykle kawałki wątróbki, sardynki bowiem kocury zjadały zawsze do końca, ale na jednej zostało troszeczkę zimnego ryżu. Była to miska Rodiona (nazywanego Riodonem przez tych, co nie czytali nigdy *Zbrodni i kary*), chorował na jakąś wysypkę i wedle wskazań lekarza nie karmiono go mięsem, cały dzień siedział zamknięty w pokoju kapitana.

Następnie pani Giselle wyciągnęła zza szafy pudło po czekoladzie, do którego chowała resztki zeschniętego chleba, wyjęła kilka kawałków, by je rozmoczyć w miednicy, potem, gdy były już miękkie, porozgniatała palcami zmieszawszy jedno i drugie, lepiała małe placuszki i rozpoczęła smażenie. Wzięła szerniałą patelnię obrosłą tłuszczami z sadzą, czekała, aż się podgrzeje na maszynie gazowej, a przez ten czas wydobyła butelkę plastikową zawierającą oliwę z orzeszków arachidowych; obróciwszy ją na dół objęła swą dużą dłoń i wyciskała zawartość na zaschniętą pozostałość dawniejszego smażenia. Kiedy zaczęło syczeć i pryskać dookoła, położyła oładki. Mieściły się tylko cztery, a że zrobiła dwanaście, musiała zmieniać trzy razy, i zdjąwszy ostatnią porcję, rzekła mi rozpromieniona:

– No, dam wam dzisiaj ładiszki, jakich najstarsi ludzie nie pamiętają!

Wtedy zacząłem się żegnać, tłumacząc, że mam spotkanie w Coupoli na Montparnassie z dalekim kuzynem, bardzo mnie chciała zatrzymać, lecz jej się to nie udało. Wróciła właśnie Eliza z jamnikami i nadszedł kapitan Strogoff, musiałem zostać na chwilę, ale już w przedpokoju.

Takim sposobem Eliza została ulokowana, nim znajdzie sobie posadę, pani Giselle z kapitanem obiecywali się pytać, a mieli wielu znajomych, wyglądało więc na to, że zabawi tu długo. Musiała jednak co rano sprzątać obszerne mieszkanie; mieli dziwną froterkę, robioną na zamówienie, lało się naftę od góry, by przesiąkając moczyła stronę nabitą włosiem, trzeba nią było jeździć po pokojach i korytarzach, aby (w teorii) zabić kocie i psie odory. Kiedy już wszędzie zapachy wymieszały się ze sobą, czyściła wielkie brytfanny służące czeredzie zwierząt za miejsce do przysiadania (pan Strogoff mi opowiadał, że czasem, wyszorowane, używane też były do ciasta lub do pieczenia, lecz temu nie wierzyłem, oboje bardzo lubili podobne mistyfikacje, byłoby to przecież już nazbyt obrzydliwe), następnie z torbą przez ramię szła na dół do rzeźnika. Brała półtora kilo wątróbki i dwa kilogramy kości (wedle warszawskich pojęć były tam także żeberka), które natychmiast po przyjsciu musiała ugotować, a potem je wykładała na dwie głębokie miseczki, aby było czubato. Jedną chowała pod okno, drugą stawiała na stole, bo punkt dwunasta przychodził Nikola Czerniowski, ubogi śpiewak cerkiew-

ny z niewielką ryżawą brodą, miał klucz od mieszkania, kierował się więc do kuchni i z miską kości przed sobą (wybierał zwykle żeberka) chodził do pani Giselle, aby ją bawić rozmową i zająć się ogryzaniem.

Kiedy wychodził Nikoła, zjawiali się inni ludzie; niewiele minut po drugiej literatka Tatiana albo przysłani po rzeczy jacyś Rosjanie i Węgrzy, przewijało się także wielu przeróżnych Polaków. Pani de Strogoff wstawiała spod poszarpanej kołdry zrzuciwszy sforeę jamników i prowadziła gości do niedużej alkowy. Stało tu olbrzymie tremo, lecz przede wszystkim dwie szafy, na jednej była przypięta karteczka z napisem „messieurs”, na drugiej „dames”, dobiebrała kluczyki i pociągała wierzaje. Wylatywały ubrania, płaszcze i przeróżne buty pozwiązane parami, najwięcej było co prawda toalet balowych, ale nie znajdowała na to zbyt wielu amatorów, bo przychodzono zwykle po palta i marynarki. Zresztą pani de Strogoff sama decydowała, czego jej gościom trzeba, przebierała na klęczkach wśród stosów na podłodze, a jeśli nic nie znalazła, wracała do sypialnego, gdzie stała szafa domowa, i nieraz się wydarzyło, że dała garnitur męża komuś, kto chciał tylko buty, nie wypadało odmawiać, aby się nie narazić. Tak więc, gdy raz ją odwiedził krytyk Bogumił Bożyk (który od paru lat pisał pracę o Mauriacu<sup>2</sup> i dostał jakieś stypendium, ale jej nie napisał, bo nie potrafił się skupić), ofiarowała mu tyle, że kiedy zmierzał ku wyjściu, wepchnął nieznacznie nogami dwie pary starych półbutów pod niski tapczan, stojący w długim przejściowym pokoju, co mu się świetnie udało, odnaleziono je bowiem dopiero przed Wielkanocą.

W tych sprawach pani Giselle wierzyła swojej teorii podwójnej rekompensaty: ilekroć rozdawała mężowską garderobę, listonosz przynosił ubranie w lepszym gatunku, czasem dwie paczki naraz. Otrzymywali je zwykle od ziomków z Ameryki, przeważnie stąd pochodziło wnętrze szaf, męskiej i damskiej, dopełniane darami bogatszych Rosjan z Paryża. Widać jednakże, nie tylko grała tu rolę teoria, bo kiedy jedna studentka zgubiła kiedyś zegarek, pani Strogoff bez wahania zdjęła mężowi z przegubu, by ofiarować dziewczynie, chociaż kapitanowi, który kursował po mieście, był on co chwila potrzebny i nigdy żadnych zegarków do niej nie przysyłano.

Jednakże pani de Strogoff musiała doceniać w duchu swoją społeczną robotę, bo nawracała wciąż do niej nawet bez żadnej potrzeby. Gdy ktoś z obdarowanych próbował zacząć rozmowę na jakieś inne tematy, chociażby o pogodzie albo o wojnie w Algierii, pani Giselle przerywała, nagle zaciekawiona, jak się też noszą tamte brązowe spodnie albo czy rękaw bluzeczki został już poprawiony. Dopytywałem się nieraz o różnych moich znajomych, na co mi odpowiadała: „korzystał z mojej pomocy” lub też, po namyśle: „nie, nic mu nie dałam”, co miało znaczyć, że go nie znała.

Oczywiście Eliza nazajutrz rano zyskała od pani de Strogoff osiem toalet balowych, które przyjęła z myślą, aby je sobie przerobić. Jeszcze w alkoie przed tremem pani Giselle powiedziała, że chce urządzić u siebie obiad dla paru osób w tym celu, aby wynaleźć dla Eli jaką posadę. Zredagowała w nocy kilka osobnych zaproszeń, a potem je przepisała na swym papierze listowym, drukowanym specjalnie przy Faubourg Saint-Honoré, po lewej stronie arkusza było nazwisko i adres drobną błękitną czcionką, natomiast w prawym rogu tłoczona mała korona. Kiedy ją zakleiła, wysłała Elę na pocztę do skrzynki z pneumatykami; również i ja otrzymałem kopertę z zaproszeniem, podpisanym uprzejmie: „szczerze życzliwa – comtesse de Strogoff”.

Obiad miał być w sobotę i zaraz z samego rana kapitanostwo zaczęli przemeblowywać mieszkanie. Suwano wielkimi szafami, translokowano kanapy i trwało to dosyć długo, aż wreszcie sąsiadka z dołu wyszła na balkon z krzykami i zaraz pani Giselle odwrzaskiwała jej z góry. Kiedy się przekrzykiwały, kapitan zaczął sprzątanie, ale zabrakło mu nafty i wysłał po nią Elizę, kupiła przy okazji podłużny chlebek sitkowy w rosyjskiej „ławce” na dole i popro-

---

<sup>2</sup> Oczywiście o Franciszku, laureacie Nobla, a nie o jego synu Klaudiuszu, autorze powieści *Markiza wyszła o piątej*.

siła rzeźnika o większą porcję wątróbki oraz potrójną kości. Sprzedawca zdziwił się trochę pytając, czy może hrabiostwo de Strogoff wydają dzisiaj przyjęcie.

Tymczasem pani Giselle zabrała się do pasztetu: gotowała selery, kartofle, marchew i rzepę, co przyprószyła drobno posiekaną zieloną pietruszkę, a gdy z drugiego sagana wyjęła już wszystkie kości (tego południa nie przyszedł cerkiewny śpiewak Nikoła), skrobała je bardzo dokładnie małym drewnianym nożykiem. Było od dawna w zwyczaju, że pani Rumiancewa, zajmująca niewielki pokój na poddaszu, idąc co rano do pracy zostawiała przed drzwiami okrawki tłuszczu od szynki zawinięte w papierek – służyły one również jako składnik do pasztetu. Wszystko to było mieszane i piekło się później w małym piecyku elektrycznym, kupionym przed paru laty specjalnie do tego celu.

Przystąpiła na koniec do sporządzania kawioru. Ugotowane sago, kleiste i dobrze nabrzmiałe, mieszała z siekanym śledziem oraz przyniosła z szafki, gdzie miała farby i kleje, dwie duże tubki tempery, wyciskając z nich nieco pasty niebieskiej i czarnej, barwiły one papkę na kolor granatowy. (Też bym nie bardzo w to wierzył, gdyby mi sama mówiła, ale tym razem Ela była świadkiem tej sceny). Przyznała się cicho Elizie, że kiedyś, po pierwszej próbie, nie była pewna reakcji, ale nikt nie chorował, podaje więc teraz stale, a czasem, dla pewnej zmiany, różowy kawior z bielugi, dzisiaj go jednak nie będzie, bo wyszła ceglasta tempera, a zresztą kawior z jesiotra jest bardziej poszukiwany.

Kapitan Georgij Strogoff zajmował się alkoholem. Kupił w aptece „Science-Dujardin” ćwierć litra spirytusu do odkażania ran, by rozcieńczywszy go wodą, wyjąć z kredensu karafkę, w której, aż do połowy, tkwiły owoce jeżyny zupełnie już skamieniałe, wlewał przez lejek wódkę i takim prostym sposobem nalewka była gotowa. (Pani Giselle twierdziła, że kiedyś, przed wielu laty, robiła z nich konfitury, kapitan dodał wtedy: „Znajomi uważają, że były już raz zjedzone”. Nigdy nie mogłem rozgryźć, co było w tym wszystkim prawdą, wiem tylko to, że w karafce przez cały mój pobyt w Paryżu jeżyny się nie zmieniały i pewno są tam do dzisiaj.)

Punktualnie o drugiej zaczęli przychodzić goście. Pierwszy się zjawił cichutko Nikoła Czernigowski, ubogi śpiewak cerkiewny, otworzył drzwi swoim kluczem, tuż za nim Bogumił Bożyk, co pisał o Mauriacu, literatka Tatiana i pani Rumiancewa z racji tłuszczu od szynki; za nią państwo Dubosc, episjerzy z przeciwnika i właściciele garażu, gdzie stał wóz kapitana (model 1930, ale tym bardziej nie mógł parkować pod gołym niebem, boby zardzewiał do reszty), ja wszedłem, zaraz za nimi. Po chwili znów ktoś zadzwonił, lecz zamiast baronowej de Foix d’Estommac (na nią najbardziej liczone) zjawił się młody listonosz z ładownicą przy pasie i wyjął pomięty pneumatyk. Baronowa pisała, że przyjść niestety nie może z powodu choroby syna, który wpadł w melancholię, i musi go pilnować, bo targnął się już na siebie. Gorąco niemniej prosiła, by literatka Tatiana, kiedy się skończy przyjęcie, zdała jej z niego relację i może wpadła wieczorem.

Siedli wszyscy do stołu: państwo Dubosc obok siebie, kapitan nalewał wódkę i przyniósł małe kanapki (rosyjski chlebek sitkowy posmarowany był ciemną: pomidorową pastą zmieszaną z serem i śledziem). Potem zjawił się kawior witany przez wszystkich okrzykiem. Pani Giselle wyjaśniła, że ma go wprost z Astrachania. Jeszcze w dwudziestym roku, zanim przyjechał kapitan, kochał się w niej komisarz będący obserwatorem traktatu wersalskiego; powrócił później do Moskwy, myślała, że już zapomniał, tymczasem szukał jej wszędzie przez czterdzieści lat, dziś jest na stanowisku i przekazuje kawior pocztą dyplomatyczną. Nie może wymieniać nazwiska, zbytnio boli to męża, nie pragnie także bojkotu ze strony emigracji.

Pan Strogoff zadał pytanie, jak idzie państwu Duboscom; odpowiedzieli, że dobrze, spytali go o to samo. Ale już pani Giselle niosła ostrożnie za uszko niedużą filiżankę parującego bulionu (była to woda na kościach, które w niej gotowała) i postawiła najpierw przed żoną episjera. Dopiero po dłuższej chwili przyniosła następny bulion dla pani Rumiancewej, po wielu dalszych minutach dla literatki Tatiany. Eliza się poderwała, aby pomóc podawać, lecz pani

domu natychmiast zawróciła ją z korytarza, robiła to celowo, ażeby całe przyjęcie najbardziej rozciągnąć w czasie. Gdy sama siadła na koniec (minęło pół godziny), Bogumił Bożyk zaczął mówić o swoim Mauriacu: od dawna mocno go nudzi, żyje stanowczo za długo i bez ustanku pisze, ale pani Giselle spytała go o koszule, czy podarł tamte zniszczone, a także o krótkie slipy z napisem „Polichinelle”, które mu ofiarowała przed dwoma tygodniami, nie zmierzył wtedy i nie wie, czy numer dobry dla niego. Zapewnił, że ma je na sobie i czuje się w nich świetnie, wysłała więc kapitana do męskiej szafy w alkowie po drugą parę slipek leżącą pod krawatami. Podała je Bożykowi przez stół, ponad bulionem, nieznacznie kiwając ręką, nie chciała żadnych dziękowań, chociaż krytyk, szczęśliwy, już się podrywał zza stołu. Nikola Czernigowski, ubogi śpiewak cerkiewny, przez cały czas konwersacji nie odzywał się wcale: znałem go trochę i sędzę, że była to zwykła zazdrość, bo pewno się dopatrywał w slipkach jakiegoś symbolu stosunków łączących strony dającą i obdarowaną, trzeba jednakże tu dodać dla jaśniejszego obrazu, że Bożyk skłonił ku sobie cerkiewnego śpiewaka, on zaś zjadając zeberka zwierzał się pani Giselle, że wreszcie ma, czego pragnął, i widzi świat już inaczej. Wiele wycierpiał biedak od swoich brodatych popów, bo przyznał się nieopatrznie, że wyobrażał sobie wszystkich swoich znajomych z małymi ogonkami, którymi szybko merdają, popi odkryli w nim biesa, męczyli egzorcyzmami, lecz nic nie pomagały, dopiero przyjaźń Bożyka przerwała te urojenia.

Pani de Strogoff, wypiwszy nareszcie bulion, poszła do kuchni po pasztet. Wniosła go ponad głową, ociekający rosołem, i oznajmiła gościom, że to domowa specjalność; sporządza go z jarzynami wedle przepisu jogów przywiezionego z Nepalu, wpływa na samopoczucie i jednocześnie nie tuczy, z tym zastrzeżeniem, aby go nie jeść za dużo, najzdrowiej poprzestać na jednym plasterku. Kapitan zaczął krajanie, a wtedy pani Giselle spytała panią Tatianę, nad czym obecnie pracuje. Była to literatka i odwiedzałem ją nieraz w dużej pracowni przy placu Denfert-Rochereau. Mieszkała na parterze, wchodziło się wprost z ulicy i zaraz w pierwszym pokoju stała ogromna komoda złożona z samych szufladek od dołu do sufitu. Na każdej były napisy rosyjskie oraz francuskie („w pomyśle”, „w opracowaniu”, „do przemyślenia na nowo”, „w przeróbce”, „do poprawienia”, „do druku”, „odrzucone”...), imponowała mi zawsze systematyka jej pracy, trafiała od razu, do czego było potrzeba. Inna sprawa, że z drukiem nie szło wcale tak łatwo, pisała zwykle powieści w odcinkach do różnych czasopism, takich jak „Vie en fleurs”, czyli „Życie wśród kwiatów”, z tym jednak, że bohaterką bywała zawsze Rosjanka, tak pojmowała Tatiana patriotyczną robotę. Pisała już lat czterdzieści, lecz nie wydała książki; miała około setki powieści i zbiorów nowel, studiowała więc pilnie ogłoszenia w gazetach, zdarza się, że agenci poszukują autorów. Wozila maszynopisy porządnie poprawiane (najczęściej w płótno z wytłoczonymi tytułami), ale je zawsze dostawała z powrotem; i tutaj ją podziwiałem, bo nie traciła nadziei. Zastanawiałem się tylko, z czego się utrzymuje, wiedziałem, że często drukuje w swoich pisemkach za darmo, aby wyrobić nazwisko (i bodaj coś dopłacała), a jednak kupiła sobie nieduży magnetofonik i nagrywała nowele, miała istotnie ogromną łatwość słowa. Przesiadywała w słońcu na małym skwerze przy placu albo się zaszywała w ogrodzie Montsouris i często idąc ulicą mówiła do mikrofonu. Tak więc, gdy pani Giselle spytała, nad czym pracuje, odrzekła, że nic nie pisze, niedawno bowiem odkryła, że nie ma wcale talentu. Wszyscy protestowali, a Bożyk, nawiązując do swoich rozczarowań, powiedział, że woli jedną stronicę jej prozy niż całą twórczość Mauriaca.

Jako ostatnie danie podano frytki na łożu (dla stałych klientów rzeźnik dodawał go darmo), po frytkach ser bieu d’Auvergne, bo imitował roquefort i był za taki podany (tutaj mi się zdawało, że coś przeholowali, episzjerzy musieli świetnie się zorientować, widziałem to po ich minach, nic jednak nie powiedzieli). Kapitanowa pytała, kto chce herbaty, kto kawy, musiała się zagotować i po godzinie mieliśmy, co było dysponowane. Wpuściła wtedy trzy koty: chodziły wolno po stole muskając nas ogonami po ustach, nosach i brodach, na koniec pani Giselle wzięła Rodiona do siebie. Trzymała go na kolanach i, patrząc na nas, iskała nie przery-

wając rozmowy, tylko od czasu do czasu zgniatała pchły paznokciami na politurze stołu, tak że cichutko trzaskały. Kocisko pomiaukiwało, kiedy kapitanowa ciągnęła je za kosmyki, niezręcznie z pchłą wyrwała włoski rudego futra, pocieszała Rodiona:

– Nie będą cię gryzły pchełki, oddaj je mamie, oddaj!

Potem iskała Tamarę, wreszcie starego Tryfona i wyjaśniła zebranych, że zawsze popołudniami łapie po dziewięć pcheł kotom, a wieczorami jamnikom. Zdaje się to niezbyt wiele, lecz przemnożywszy przez trzydzieści, a potem znowu tę sumę przez jedenaście miesięcy (bo się odlicza wakacje, gdy muszą chodzić zapchlone), wypada po trzy tysiące pcheł rocznie na jedno stworzenie, nie licząc ich rozmnażania.

Równy piętnaście po piątej zaczęto wstawać od stołu. Wychodzili kolejno: pan Dubosc z żoną, Tatiana (biegła do baronowej), pani Rumiancew od szynki, a wreszcie podniósł się także Bogumił Bożyk ze swoim Nikołą Czernigowskim, biednym śpiewakiem cerkiewnym; przeszedłem kawałek z nimi, potem skręciłem do metra, nietrudno było wyczuć zdenerwowanie Nikoły, zostawiłem ich samych. W parę dni później gruchnęło, że Bożyk otrul się gazem, zniechęcony do życia, lecz, jak się okazało, sam wokół to rozpowiadał, aby nastraszyć śpiewaka Nikołą Czernigowskiego, musiało się coś wydarzyć pomiędzy nimi wówczas, gdy wszedłem do metra, sądzę, że owe slipki marki „Polichinelle” były tego przyczyną. Zresztą i później Bogumił robił to parę razy; chociaż nie umiał się skupić, potrafił wzruszać znajomych i wiedział, że parę osób znowu mu przyśle pieniądze; trudno się nawet dziwić, stypendium dawno wygasło, a samobójcze metody nigdy nie zawodziły.

Bodajże we wtorek rano przynieśli mi pneumatyk, ale że wyjeżdżałem na tydzień do Tuluzy, dopiero po niedzieli byłem u kapitanowej. Elizy już nie zastałem, nie było także jej rzeczy. Pomyślałem z początku, że wynalazła coś sobie, ale pani de Strogoff witała mnie wymówkami: uciekła od niej bez słowa, nie pożegnawszy się nawet, a była świetna posada i wszystko już załatwione. Usiadłem przy postaniu i z niepokojem słuchałem.

Zaraz po tamtym obiedzie, jak to projektowano, literatka Tatiana poszła do baronowej de Foix d'Estommac, która ją o to prosiła w liście do pani Giselle. Wiedziała już o Elizie, że szuka jakiejś posady, i wysunęła projekt, by się zajęła jej synem. Chorował na melancholię, bo zanadto nieśmiały, nie poznał jeszcze kobiety, chociaż dobiegał trzydziestki, jak dotąd wszystkie wysiłki spełzały na niczym, bowiem znajome panienki za wcześnie się zniechęcały. Chodziło o to, by przełamała kompleksy i była dosyć cierpliwa, spodoba mu się na pewno, lubi nieduże brunetki. Wygodny pokój w Nicei po trzy tysiące za dobę został zadatkowany, mogli tam spędzić miesiąc, dwa, nawet całe lato, jeżeli młody baron byłby zadowolony, do tego obiecywała prezenty. Pani Strogoff potępiała niewdzięczność Elizy; od razu jej powiedziała, że nigdy nikt jej nie będzie przymuszał do małżeństwa i w ogóle z miłością nie ma to nic wspólnego. Włożyła wiele trudu i namotała intrygę, zrobiła nawet przyjęcie, wprawdzie (zwierzyła się ciszej) wydała niezbyt dużo, trzysta pięćdziesiąt franków zmieściło się w jej budżecie, do tego dochodzi trochę za pocztę pneumatyczną, bo na alkohol poszło z budżetu kapitana – lecz jakże wiele zachodu, nawet Tatiana straciła sobotnie popołudnie, mogłaby spokojnie nagrać całą nowelę.

Widziałem, że patrzy na mnie jakby na współwinnego. Przecież to ja nudziłem ją w sprawie pracy Elizy; czułem się nie w porządku, więc w końcu się przymówiłem, aby zrobiła ładiszki (pożalowałem tej prośby, bo miałem później boleści i parę dni chorowałem, a wystarczyłoby może poprosić o stare spodnie, aby się udobruchała). Istotnie dobrze trafiłem, bo rozchmurzyła się zaraz prosząc, bym przyniósł do kuchni miseczki kociej czeredy, zgarniała na duży talerz nie dojedzone resztki (był tam i ryż po Rodionie), lepiała z tego oładki i wzięła się do smażenia. Kiedy zaczęło syczeć i pryskać dookoła, była już w świetnym humorze (a o to mi chodziło) i nakładając na talerz, rzekła rozpromieniona:

– Zrobiłam dzisiaj ładiszki, jakich nikt w ustach nie miał!

## GILOTYNA MARIII ANTONINY

W tym czasie byłem już częstym gościem w domu pani Marii Antoniny. Punkt był wygodny, bo mieszkała w samym centrum Paryża, przy ulicy Saint-André-des-Arts, w domu narożnym, tam właśnie, gdzie, na wysokości pierwszego piętra, jeszcze za ancien régime'u, kto wie, może nawet za starego Turgota, ojca ministra, od którego czasów datuje się początek tego mądrego zwyczaju, wmurowano sporą kamienną tabliczkę z wykutym na niej napisem informującym, co to za ulica. Potem, pewno podczas terroru, na miejscu liter „St.” wydłubano wgłębiony kwadracik, pozostał więc napis „Rue... André-des-Arts”, świętych nie lubiono wtedy.

Dom więc, jak widać, bardzo był stary i do pani Marii Antoniny wchodziło się na piąte piętro po schodach krętych i ciemnych, ozdobionych żelazną poręczą powyginaną w secesyjne wzory, chwiała się zresztą mocno, gdy się jej trzymało, nie dawało to poczucia równowagi, do tego mroczna czeluść po drugiej stronie dziwnie ciągnęła ku sobie.

Marię Antoninę z Gardziołłów Mohylecką, tak się nazywała, poznałem kiedyś u państwa Strogoff, bo, jak mówiono, pochodziła z Ukrainy czy nawet z Podola. O ostrym profilu, choć nie była sucha, za to dość wysoka i ubrana starannie, lecz zawsze na czarno, miała wygląd wielkiej damy. Mieszkała w Paryżu od dawna, bo od pierwszej wojny; gdy potraciła majątki, ledwo uszedłszy z życiem, osiadła z mężem tu właśnie; umarł on jednak niebawem i odtąd utrzymywała się sama.

Mieszkanko jej, nieduże, składało się z korytarza, długiego i ciemnego, dwóch pokoików i kuchni, z niskimi oknami poddasza, nie było łazienki, jak zresztą zwykle w Paryżu. Portrety panów i pań w peruczkach, najczęściej w formie owalnej i połączanych ramach, wisiały już w korytarzu, nie darmo nosiła imię nieszczęsnej królowej, kochała się w tej epoce. Pomiędzy nimi zaś sztychy, było aż gęsto od nich; aby je dobrze zobaczyć, włączało się żarówkę związającą na długim sznurze, chyba dwusetka, silna i jaskrawa, oświetlała wszystko wyraźnie. Sceny ukazywały gilotynowanie, różne stadia tej smutnej czynności i różne osoby z głową lub już bez głowy, dumna królowa Francji, w luźnej odzieży, wstępowała właśnie na szafot, na innym sztychu Bourbon leżał już pod instrumentem, jeszcze na innym Robespierre, w podługowatej peruczce, gilotynował sam siebie. W pokoju zawieszono lepsze portrety, ciasno ściśnięte na ścianie, zazwyczaj olej lub pastel, jeden obok drugiego; Ludwik XVI także, ale gdzieś z boku, nie jest o niego trudno, obok ryciny Dantona; madame Manon Roland, piękna żyrondistka, i pani du Barry wisiały koło siebie, obok dwóch markizów i czterech biskupów, a nieco wyżej, na honorowym miejscu, księżna Lubomirska, Różyczka z Czarnobyli, także skrócona o głowę za sprawą jakobinów, portret był dobry i na pewno z epoki, nie wiedziałem wtedy, skąd go miała, wreszcie duchesse de Lamballe, nad której ciałem się w swoim czasie pastwiono, gospodyni opowiadała chętnie, w jaki sposób.

Nóż gilotyny, zapłaciła za niego drogo na Marché aux Puces, przytwierdzony do deski obitej zielonym sukniem i oprawiony za grubą szybą (była tu jeszcze grawerowana tabliczka z napisem „Armée de la République”), dopełniał kolekcji, którą podziwiali wszyscy, prócz tego miała jeszcze dziesiątki rycin o tej tematyce, zbiory dopełniała stale, chowając wszystko w dużej walizce pod tapczanem. Z początku dla nich właśnie, prawdę mówiąc, odwiedzałem tak chętnie rue Saint-André-des-Arts, zazdrościłem jej szczerze tego wszystkiego.

Na półkach stały książki, również z tamtych czasów, miały grzbiety oprawne w skórę pięknie wytłaczaną w złożone wzory, inne, późniejsze, traktowały o rewolucji, bogato ilustrowane, ale ze śladami częstego przeglądania. Pani Maria Antonina potrafiła wymienić bodajże wszystkie nazwiska straconych, pamiętała daty egzekucji, które po swojemu święciła, wspominając o nich, kiedy nadeszła rocznica, dzieje rewolucji znała szczegółowo. Z rokokowej szafy, stojącej za kotarą, aby się nie niszczyła, wyciągała inne skarby i pokazywała w tajemniczym, do których i ja zacząłem wtedy należeć: była tam wypłowiała książka, a także krótkie, zniszczone spodnie z guziczkami po bokach, zwane culottes, wszystkie te przedmioty miały należeć do ofiar gilotyny, kupowała je od potomków i płaciła słono.

Zdziwiłem się więc trochę, gdy zobaczyłem wreszcie pokój trzeci, z korytarza na lewo, bez okna, jedynie u góry przez parę drobnych matowych szybek, dzielących pokój od kuchni, wpadałoienne światło, ale nie było go wiele; stała tu lampa z wielkim abazurem, zapalona, dawała blask matowy i przytłumiony. Znałem gust pani domu, wytworny w każdym calu, tutaj widziałem styl wschodni pośledniejszego gatunku: indyjskie figurki, fałszowany Budda, oświetlony od dołu kinkietem w kształcie liścia lotosu, duża fotografia jakiegoś starego Hindusa z brodą, niewykluczone, że był on Rabindranathem Tagore. Jak mi jednak wyjaśniła zaraz, to tylko gabinet jej pracy, nie precyzowała niczego bliżej, lecz domyślałem się tego i owego. Czarny kot, który robił nieporządki w kuchni i dostawał lanie, pasował tu świetnie, zwierzała mi się, że od młodości nie znosi kotów, ale go trzyma, bo jej to daje pieniądze.

Postawiła mi karty, wówczas, w gabinecie, opowiadała przy nich, że umie zgadywać przyszłość, niedawno zaś przeżyła wypadek, który ją zastanowił. Co trzeci wtorek miesiąca miała stały dzień przyjęć, zawsze przychodzą znajomi, powiedziała jednemu z nich, że chyba umrze niebawem, tak była tego pewna, i rzeczywiście, wychodząc wieczorem, wpadł zaraz pod samochód naprzeciw jej bramy. Trzeba było dużego trafu, bo Saint-André-des-Arts jest ulicą spokojną, przeżyła to głęboko, zawiesiła wtorki i nie przyjmowała przez parę miesięcy. Co do mnie, zapewniła wtedy, że mam jeszcze życie przed sobą.

Byłem młody, niedoświadczony, przychodziłem więc coraz częściej do mieszkania Marii Antoniny, bo dobrze mi tu było, czasem czytałem coś, oglądałem, popijając dobrą herbatę; choć miała samowar, stał na kredensie, już go nie używała. Rozmawialiśmy trochę i kiedyś właśnie, gdy podsuwała mi w kuchni coś słodkiego – sama dla mnie upiekła, bo znała przepisy jeszcze z Ukrainy, a w Paryżu nie umieją robić słodkich ciasteczek – Zabręczał dzwonek i pani domu poszła otworzyć.

Był to zresztą mechanizm staroświecki, ciągnęło się z zewnątrz za miedzianą rączkę, rozhuśtane serce kołysało się jeszcze chwilę, uderzając coraz jednak słabiej. Po kilku słowach wypowiedzianych w korytarzu, których nie zrozumiałem, pani Mołycka wprowadziła gościa do saloniku, włączała, przekreślała kontakty, patrząc na matowe szybki do góry za chwilę zobaczyłem, że zapaliło się światło czerwone.

Stłumione głosy, jakie teraz dochodziły, nie były wyraźne, zrozumiałem jednak, że przybyła pani musi być niemłoda, że ma syna i jakieś z nim kłopoty, opowiadała coś i unosiła się, mówiąc dużo głośniejszym głosem, zrozumiałem wtedy: zakochał się niefortunnie, opowiadała coś o aptece, której jest właścicielką, ma ją w przyszłości przekazać synowi, tymczasem on jednak związał się z dziwką nie ze swojej sfery, padały obelżywe dla niej określenia. Wreszcie aptekarzowa, powołując się na rekomendację Gabrielle Mondieu, wielkości w swojej dziedzinie, która, o czym wiedziałem przedtem, zawałona robotą, przekazywała klientki za skromnym procentem do mniej wziętych koleżanek, aby też zarobiły, poprosiła o zajęcie się sprawą.

– Proszę mi powiedzieć, jak sobie właściwie to pani wyobraża – spytała Maria Antonina – pomyślimy potem nad sposobem działania.

Okazało się jednak, że rzecz nie była prosta, bo zaszła za daleko, Armand chce się żenić, i jeździ prawie codziennie na noc do Bures-sur-Yvette, jeśli nawet samochód nie w porządku, bo mąż go często specjalnie psuje, to można tam przecież dojechać linią de Sceaux, wprost ze

stacji Luxemburg, pół godziny drogi, a to wszystko jeszcze bardziej rzecz ułatwia. Dziwka jest córką zwykłego prostego kowala, który się dorobił i ma tam jakiś warsztat mechaniczny, a więc, co widać jasno, podła dziewczyna z ulicy, hochsztaplerka, spekuluje na aptekę, wszystko zupełnie oczywiste.

– Będziemy więc pracować – odparła na to pani Mohylecka – aby on od niej odszedł.

– Wybrałam dzień dzisiejszy i przyszłam do pani – powiedziała aptekarzowa – bo we wtorek są urodziny tej wstrętnej Jacqueline, Armand oczywiście do niej pojedzie, ale ja mam już plan, urządzam wtedy przyjęcie, zapraszam na nie Ninette, ona, biedna, kocha się w Armandzie od paru lat, było coś bodaj kiedyś między nimi, to panienka z naszej sfery, niech pani zrobi, żeby on nie pojechał do Bures, niech pani popracuje, tamta się obrazi i pierwszy krok będzie zrobiony.

– Dobrze – odpowiedziała Maria Antonina – ale najpierw musi mieć pani do mnie zaufanie w każdym przypadku, który nastąpi, czasem pewne rzeczy z początku nie wychodzą, a potem idą jak najlepiej. Mam duże doświadczenie, chciałabym jednak, abyśmy zrobiły teraz małą próbę.

Gospodyni wstała, weszła na chwilę do kuchni po czarnego kota, wygrzewającego się przy żelaznym, mocno nagrzanym piecyku, złapała go wpół i wyniosła, uśmiechając się do mnie, coś przestawiała i pstryknął jeszcze jeden kontakt, zdaje się, że podświetliła dużą szklaną kulę, która też tam stała, chwilę panowało milczenie.

– Widzę – powiedziała potem – widzę. Ma pani pod suknią koszulę... nie uprasowaną, koloru... bładoniebieskiego, ma pani ciepłe reformy.

Dzień zimowy istotnie był chłodny.

– To wszystko prawda! – krzyknęła aptekarzowa.

– Teraz do rzeczy, tamto było pierwszą próbą, teraz ten wtorek u was.

Znów nastąpiła cisza.

– Widzę, widzę ten wtorek, pani mieszkanie, pani pokój. Stół na środku pokoju, szafa, pani łóżko, nad łóżkiem obraz. Przedpokój: po prawej stronie krzesło o siedzeniu trochę zniszczonym...

– To po lewej.

– We wtorek będzie po prawej. Teraz przyjęcie: o zmroku przychodzi pierwszy gość, jest to... kobieta, jasna blondynka, na stole leży paczka. Będę pracowała, żeby on tam nie pojechał.

Pstryknął kontakt i kula zgasła, obie panie się ruszyły i odsuwały krzesła, aptekarzowa spytała o cenę wizyty, szeleściła dość długo twardymi banknotami, pięć tysięcy franków, rozmawiała jeszcze w korytarzu i gdy drzwi trzasnęły, Maria Antonina wróciła do mnie.

– Zdaje się, prosta sprawa, pewno pan słyszał za szybko, takie nieszczęśliwe matki to częsta klientela, ale aptekarzowa zdaje się ma pieniądze, dzisiaj to dla nich czasy, im się najlepiej dzieje.

Dojedił mi ciasteczek, a w środę przyszedłem z samego rana, pani Mohylecka pisała do mnie pneumatyk, że źle się czuje; odebrałem od stróżki pocztę i zaniósłem jej na górę, jeden z listów miał zieloną pieczęć na kopercie z napisem: „Pharmacie Science-Dujardin”, i krzyżem pośrodku. Istotnie, wyglądała fatalnie, była blada i miała mokry ręcznik na głowie, zaraz otworzyła list i czytała go chciwie.

– Posłuchaj, młody człowieku – powiedziała do mnie – co ona pisze: „Jest pani genialna, rzeczywiście, na stole leżała paczka, którą zostawił mój mąż przez zapomnienie, lekarstwa zawinięte w papier, tak jak pani widziała, krzeselko na lewą stronę przestawiała służąca, a pierwsza przyszła rzeczywiście kobieta, jasna blondynka obecnie, ta biedna Ninette, o której mówiłam. Ale mimo wszystko Armand o dziewiątej zostawił wszystkich i wyszedł! Będę u pani jutro – Catherine Dujardin”. To głupstwo – skomentowała zaraz pani Antonina – grunt, że wszystko poszło dobrze.



Zdjęła ręcznik z głowy i zakrzętała się żywo. Aptekarzowa zapowiadała wizytę nazajutrz; uprzedzony, zająłem miejsce w kuchni, ciekawiła mnie sprawa, pani domu pozwoliła mi nawet odsunąć jedną szybkę u góry tak, aby była szczelina. Czekałem całe popołudnie, gdy przyszła wreszcie wieczorem, znowu pstrykały kontakty i rozjarzyła się lampa z czerwonym abażurem, nastąpiły wzajemne grzeczności, wreszcie Dujardinowa przystąpiła do rzeczy.

– W nocy długo myślałam – powiedziała – czyby nie było lepiej, żeby od razu przeciąć tę całą historię, przeciąć ten wstrętny wrzód na ciele naszej rodziny, który ropieje. Spowodować wydarzenie nieodwracalne. Myślałam wiele o pani, bo pani właśnie może znałaby kogo takiego.

– Tak, znam wielu ludzi – odparła Maria Antonina.

– My mamy pewne środki, moglibyśmy zapłacić, aby zakończyć wszystko radykalnie i raz na zawsze.

– Dobrze by to było – potwierdziła wtedy pani Mohyłecka – ale, mówiąc między nami, jak też to pani rozumie?

– Można by tak zaaranżować... z czyjąś pomocą oczywiście, to nawet pewniejsze, żeby... no, żeby ona zaraz umarła.

Zamilkły obie na chwilę.

– Wszystko, teoretycznie, można – podjęła pierwsza Maria Antonina – ale praktycznie to bardzo drogo kosztuje.

– Ile?

– Bo ja wiem, pół miliona co najmniej, to sprawy drogie, a jakby nasza okazała się trochę trudniejsza, kto wie, czy nie musiałaby pani poświęcić całego miliona.

Aptekarzowa zastanawiała się długo.

– My nie jesteśmy biedni – mówiła z wahaniem w głosie – i mamy pewne środki, ale to suma ogromna, nie mam jej na zawołanie, a mąż nie będzie chciał mieszać swoich pieniędzy w te sprawy.

– I wszystko ryzykowne – dodała szybko Maria Antonina – łatwo może się wydać, potem nieprzyjemności dla państwa i, ma się rozumieć, co jednak mniejsza, dla mnie, możemy przecież załatwić to trochę inaczej i najzupełniej bezpiecznie.

– Właśnie mówiła mi o tym pani sposobie sama Gabrielle Mondieu.

– Istotnie, miałam niezłe rezultaty, a pani zaoszczędzi sporo, co także chyba jest ważne, wyjdzie na jedno i syn pani będzie szczęśliwy.

– Dam wtedy dużą nagrodę.

– Proszę tylko na razie o trzydzieści tysięcy franków.

Kiedy interes ubito, Maria Antonina wyszła na chwilę do kuchni, szepnęła, bym się nie ruszał i, pijąc herbatę, nie brzęknął przypadkiem o szklanke, sama zaś, z głową obwiązaną ręcznikiem, bo ciągle czuła się podle, szukała czegoś w szufladach kredensu, znalazła wreszcie rureczki z plasteliną i zaniósła je do saloniku.

– A teraz fotografie, dziękuję, pan Armand, panna Ninette, zdjęcie dziewczuchy wprawdzie tylko amatorskie, ale to nie szkodzi, najważniejsze, że mam je w ręku, każde wsadzimy do środka, starczy na razie.

Wyczuwałem przez ścianę, że lepi właśnie figurki, przyszła znowu do kuchni po kota i szpileczki, położyła palec na ustach i zniknęła z powrotem.

– Porzuc ją, masz ją porzucić! – krzyknęła za chwilę z mocą; chociaż za ścianą, przechodziły mnie ciarki. – Teraz tę wstrętną Jacqueline ponakłuwamy szpilkami, umrzyj, umrzyj od serca, masz szpilkę w sercu, umrzyj od ręki na zakażenie, masz szpilkę w rękę, masz jeszcze szpilkę w nogę, umrzyj od nogi, masz szpilkę w głowę, rozbij ją w katastrofie. Skończyłam już na razie, może być pani spokojna.

Aptekarzowa wstała, dziękowała i wyszła, pewna swego.

Przychodziły teraz listy z zieloną pieczętą „Pharmacie Science-Dujardin”, w których aktualna sytuacja relacjonowana była bardzo dokładnie, a pewnego popołudnia listonosz przyniósł jeszcze dwadzieścia tysięcy, nadesłanych przekazem. Czytywałem te listy; aptekarzowa przejmowała korespondencję zakochanych i odsyłała ją Marii Antoninie z prośbą, aby pracowała nad nią usilnie. Biedna Jacqueline pisała wyznania długie, pełne uczucia i miłosnej udręki, źle się wyrażając o rodzicach wybrańca, niektóre jednak żywsze określenia z jej strony bywały później wskrobywane albo zamazywane długopisem, jakiego używała Dujardinowa. Informowała ona, że sytuacja nie przedstawia się najlepiej – syn brnie coraz bardziej, małżeństwo grozi każdej chwili, co byłoby klęską, ale jest przekonana, że wydarzenie, oby szybciej nastąpiło – pokrzyżuje te plany i nastąpi szczęśliwy powrót do Ninette, która, na wszystko gotowa, z dobrej rodziny, czeka tylko na skinienie.

Tymczasem nadeszła wiosna, po niej upalne lato, obchodziliśmy uroczyste rocznicę zgiotynowania Różyczki z Czarnobyli, księżny Lubomirskiej, jakoś to wypadło wtedy, piliśmy dobre wino i było parę osób, gdy wyszli, Maria Antonina zwierzyła mi się w tajemnicy, że wiąże ją ze straconą, prócz uczuciowych, także stosunki rodzinne, Gardziołowie, z których pochodzi, mieli z nią naturalne związki, taka to była epoka, nie zapamiętałem, czy w istocie rzeczy Różyczka była Gardziołówna z domu, o czym się nie mówiło, czy rzecz się miała odwrotnie.

Na poddaszu domu przy Saint-André-des-Arts zrobiło się bardzo gorąco, potem wręcz nie do wytrzymania, grzał dach i wszystkie, trochę ukośne, zewnętrzne ściany mansardy, pachniało, jak na strychach, rozgrzanym kurzem i jakimiś gazami, które zaczęły się wydzielać z kuchennego zlewu. Zajrzałem kiedyś, ciekawy, do gabinetu używanego rzadko – zwykle były to zresztą jakieś drobne, nieważne sprawy, jakieś karty i proste odgadywanie przyszłości. Zapaliłem czerwone światło: figurki z plasteliny, stojące na półeczce zawieszanej tuż pod fotografią Hindusa, który był może Rabindranathem Tagore, pozginały się i zatraciły ludzkie kształty, może najlepiej trzymała się właśnie Jacqueline, usztywniona małymi złotymi szpilczkami tkwiącymi w jej ciele, przewrócona na twarz jeszcze w obecności aptekarzowej, zachowała swą pierwotną postać.

Maria Antonina była ciągle chora i nosiłem co rano listy do jej zacisza, korespondencję prowadziła rozległą, znaczki pocztowe, które później dostawałem dla powiększenia swego zbioru, pochodziły z obu Ameryk, Północnej i Południowej, Madagaskaru, Rodezji, a nawet i z Rosji; od czasu do czasu, gdy znajdowała się wśród nich koperta ze znajomą pieczętą, adresatka zsuwała mokry ręcznik na tył głowy, jęcząc cicho:

– Boże, Boże, znowu apteka, jak ja tego nie lubię!

Dujardinowa jednak zaczęła domagać się ostatnio wyznaczenia konkretnej daty definitywnego rozwiązania sprawy. „Dzień 15 lipca – pisała – będzie najlepszy. Syn wyjeżdża na tydzień do kolegi pod Marsylię, gdy wróci, winno być już po pogrzebie”. Im bliżej było terminu, listy nadchodziły częściej: „Ninette się zniechęciła, niech pani co zrobi nad jej figurką”. „Czas nic nie zdziałał w tej sprawie, jak mówił Molier, nie pamiętam już, w jakiej sztuce, zdaje się jednak, że to on powiedział”. Pisała z miejscowości nadmorskiej Trouville, dokąd całą rodziną wyjeżdżali na lato: „Błagam ze wszystkich sił zbawczych mego serca, gotowam klęknąć przed panią”.

W sam dzień świąteczny, obejrzawszy paradę wojskową urządzoną tego roku pod obeliskiem na placu Concorde – wystawał on dziwnie z samego środka trybuny honorowej – zmęczony trochę, trzymając się chyboczącej poręczy, wchodziłem wolno na piąte piętro, aby odwiedzić biedną chorą w jej samotni. Wiedziałem, że Quatorze Juillet obchodzi szczególnie uroczyste, sprzątała solidnie już na kilka dni przedtem, buczała odkurzaczem, wypożyczonym z dołu.

Okazało się jednak, że dzisiaj czuła się znakomicie, gdy wszedłem, pokazała mi zaraz depresję, otrzymaną rano z Trouville: „Rezultat natychmiast oczekiwany”. Zjedliśmy dobry

obiad, czekał już gotowy, i napiliśmy się wina, wieczorem przebrała się w rewolucyjny kostium i czapkę frygijską, które chowała na tę uroczystość, szliśmy potańczyć na rue Jacob, a potem na róg Quai Malaquais i rue Bonaparte, gdzie grają orkiestry; zmęczeni, stojąc koło Instytutu, obserwowaliśmy pokaz ogni sztucznych, wybuchających co chwila na Pont-Neuf pięknymi kolorowymi piruetami, Maria Antonina, podniecona, wołała wtedy: „A la Bastochel!”

Trzy dni upłynęły i aptekarzowa zjawiła się sama. Oczekiwane wydarzenie nie nastąpiło, za to nowy element zaczął wchodzić w rachubę: Armanda powołano do wojska, wezmą go późną jesienią i pewno do Algierii, to nawet dobre wyjście – mówiła – twarde życie wśród kolegów nieźle mu zrobi, oderwie od tej dziwki, prosiła jednak, aby kontynuować sprawę. Wyciągnęła z torebki stare rękawiczki, które przedtem należały do Jacqueline, nie wiem do tąd, jakim cudem je zdobyła. Maria Antonina prosiła o to kiedyś, położyły je na talerzu i oblały benzyną, czuwały obie troskliwie, by się spaliły do szczętu. Dym był gryzący i swąd przedostawał się do kuchni, żałowałem wtedy, że zrobiłem szczelinę między szybkami, bo z trudem wstrzymywałem się, aby nie kaszleć i nie zakrztusić się, wiedziałem, że zrobić mi tego nie wolno za żadną cenę, nie załamałem się jednak.

Gdy pani Dujardin wróciła do Trouville, rozpoczęła pisywać znowu. Syn na szczęście był z nimi, kąpał się w morzu, przejęty list od Jacqueline bardzo ją zbulwersował. „Rodzice twoi – pisała ona – cieszą się teraz, wolą cię widzieć umarłym bohaterem niż żywym przy moim boku”. „Jak pani widzi sama – dopisywała zielono aptekarzowa – jest ona również kryminalistką, rewolucjonistką i antypatriotką, więc choćby tylko z tego powodu wydarzenie będzie pożyteczne dla społeczeństwa. Cierpię okropnie, lecz wierzę, bo pani mi obiecała. Pragnę z całych sił, aby rezultat nastąpił przed 28 września. Armand wraca wtedy do Paryża i ma się z nią widzieć”. Teraz przypomnienia szybko następowały po sobie: „28 za tydzień!”, „Pojutrze termin ostateczny”.

Należało spodziewać się jej wizyty.

Nastąpiła ona istotnie, trwałem na swoim miejscu przez kilka dni bez przerwy w oczekiwaniu na tę chwilę i prawie nie opuszczałem kuchennego stołu pijąc herbatę, jakiej nie znaleźć w Paryżu, czytywałem przy nim ilustrowane dzieła o egzekucjach za czasów terroru, Maria Antonina była również trochę podenerwowana.

Rozprawa zaczęła się strasznie, aptekarzowa krzyczała już w korytarzu, pani Mołycka nie chciała jednak tam rozmawiać, wprowadziła ją do gabinetu i szybko przekreślała kontakty. Istotnie wszystko źle się obróciło, Armand, wróciwszy w przewidzianym terminie, wziął potajemnie ślub z Jacqueline i przeniósł się na dobre do Bures-sur-Yvette, tym samym wyrzekając się sukcesji apteki, tak bowiem sprawa była postawiona z góry. Dujardinowa tarzała się chyba po dywanie, dochodziły głębokie jęki, chociaż Maria Antonina replikowała, jak mogła, fluidy były prawidłowe, lecz poszły w trochę inną stronę, co tam się działo, trudno opisywać. Popijałem herbatę i jadłem słodkie wiśniowe konfitury, które mi podsunęła, gdy przyszła po coś na chwilę, bodajże po kota; łykałem je z apetytem, czasem nawet brzęknęła łyżeczka o spodek, ale to teraz nie było naprawdę ważne.

– Tyle nerwów, pieniędzy, wszystko na próżno – mówiła aptekarzowa tak głośno, że aż drżały matle szybki, brzęcząc cichutko – proszę mi oddać pieniądze, moje pięćdziesiąt pięć tysięcy!

Maria Antonina odpowiadała cicho i z godnością.

– Pracowałam sumiennie, a i wynik jest także, choć może niezupełnie po naszej myśli, daty się jednak zgadzają, ślub był dwudziestego ósmego.

– Podam panią do sądu – słuchałem uważnie – płaciłam za wszystko z góry.

– Zabić za tę sumę, którą otrzymałam? Sędzia się uśmieje, gdy to usłyszy. Życie ludzkie jest nieskończenie cenniejsze, życie młodego człowieka, pełnego sił witalnych. Więcej tej sprawy nie ruszę.

Odsunęła krzeselko, Dujardinowa umilkła, dołożyłem konfitur, tak mi smakowały, chwilę trwała cisza, a potem przymilny głos powiedział już grzecznie :

– Myślę, że nie można zaprzestać działania, to jeszcze może da się jakoś odrobić, jeśli wydarzenie nastąpi bez żadnej zwłoki. Uniosłam się niepotrzebnie, niech mi pani wybaczy. Tylko proszę powiedzieć, proszę mi koniecznie powiedzieć, co oni robią w tej chwili.

– Tutaj nie widzę trudności.

Usłyszałem trzaski kontaktów, zapaliła się, widać, kula.

– Widzę, widzę – mruzczała, jak zwykle w transie, Maria Antonina – widzę ich oboje, ale nie widzę potrzeby, aby to opowiadać.

– Ależ nie, proszę mówić, jestem przygotowana i wszystko wytrzymam.

– Niech się pani domyśli, to nic trudnego, obserwuję właśnie tę scenę.

– Proszę to zgasić, dosyć, wstyd mi jako matce – i wybuchnęła płaczem. Pstryknął wyłącznik, rozpoczęły się teraz szepty nad figurkami.

Wszystko wróciło więc do starego. Przychodziły listy z pieczętą „Pharmacie Science-Dujardin” i z zielonym krzyżem. Maria Antonina kupiła w tym czasie tabakierkę z portretem zgilotynowanego zastępcy ochmistrza dworu i – za moim zresztą pośrednictwem, nie miałem wtedy co robić, włączyłem się po różnych tańszych handlach antykami – dwa bardzo interesujące sztychy, arcydzieła w swoim rodzaju. Armand poszedł do wojska i wyjechał do Algierii, wymieniano stare franki na nowe, znów nastąpiła wiosna, zawsze tak piękna w Paryżu. Jacqueline podobno spodziewała się dziecka, które, wyliczała pani Dujardin, poczęte zostało w czasie eksperymentu z kulą, robiła nawet o to listowne wymówki, przeczytała jednak odpowiedź, że przecież chciała tego sama.

Przeniosłem się wtedy na Saint-André-des-Arts, jedliśmy właśnie pyszne konfitury, popijając je znakomitą herbatą, którą Maria Antonina tak świetnie parzyła, gdy ktoś pociągnął za dzwonek niezwykle gwałtownie, wybiegłem i ja do przedpokoju. Była to aptekarzowa, błada, bez kapelusza, w rozpiętej czarnej jesionce.

– Ucieli mu głowę! – krzyknęła tylko i padła zemdlona, wzięliśmy się do cucenia, nie było to łatwe, gdy przyszła do siebie, relacjonowała bardziej szczegółowo. Armand zginął przedwczoraj, o piątej po południu, obcieli mu głowę tak równo, jakby gilotyną. Spojrzałem na panią domu, zaróżowiła się mocno, taki koniec wszystkiego; pomyślałem wówczas, że coś w tym było, może pomyliła fotografię albo kukielki, fluidy wyraźnie się pomieszały. Cóż dalej opowiadać, wszystko toczy się jak dawniej, szczęśliwie, dowiedziałem się tylko, gdy się mellowałem, że prawdziwe imiona Marii Antoniny brzmią jednak Stefania Agnieszka. Oczekujemy teraz przyjścia na świat potomka Armanda i Jacquelines Dujardin.

## COCKTAIL U KSIĘŻNY GIEORGIJEW

Wprowadzony na cocktail do księżny Gieorgijew, mieszkającej jak trzeba, w Dzielnicy Siódmej, przy alei Thomy Thierry (metro: Dupleix), koło Pól Marsowych, z widokiem na rozkraczoną podstawę wieży Eiffla, we własnym pięknym domu (odnajmowała drugie i trzecie piętro jakimś innym księżętom, włoskim bodaj, kontentując się pierwszym i parterem), przybyłem punktualnie i kiedy lokaj otworzył, a jego (zdaje się) żona zabrała mój płaszcz do kontramarkarni, usłyszałem szum świadczący, że zeszło się już nieco gości. Księżna witała na progu salonu: koło siedemdziesiątki, wysoka i postawna, o typie Francuzki, z nosem, nie była milionerką, lecz miała środki, by żyć na poziomie. Weszliśmy do oświetlonego kinkietami salonu, dużego, przedzielonego sześcioma białymi kolumnami; pomiędzy nimi ustawiono dwoma rzędami, tyłem do siebie, kanapy w taki sposób, że wielką salę dzieliły na dwie połowy, a potem, wraz z fotelami, tworzyły dodatkowo szereg jakby zakątków zupełnie odosobnionych.

W mig zorientowałem się, że urządzając cocktail księżna nie skorzystała z usług firmy „Angelina”, spółki akcyjnej o sporym kapitale, organizującej tego typu imprezy po ambasadach oraz w prywatnych domach (mają ogromny wybór przeróżnych zestawów potraw i zespołów kelnerskich, a dysponują nawet mistrzami ceremonii), wszystko było na stołach i brało się samemu. Natychmiast zbliżyłem się do nich, porządnie wygłodniały, bo wtedy nie dojadalem i chętnie przyjmowałem zaproszenia.

Opiszę po kolei, co jadłem: otóż zacząłem od sałatki z ryżu, pomidorów i jabłek, wśród nich znalazłem także orzechy włoskie, pokrajane dość grubo. Ale w tym czasie lokaj, ten, który drzwi otwierał, pełniący także, jak widać, funkcje kelnera, wnosił na tacy „saucisse de cocktail”, nieduże serdelki poowijane boczkiem i potem poprzebijane wysoką wykałaczką, lekko przysmażone, podane na gorąco, po czterech pierwszy apetyt został zaspokojony.

Mogłem już bez ryzyka chwycić za napitek, wybrałem na dzisiaj whisky (postanowiłem nie mieszać alkoholi) przygotowaną w szklankach; pijąc, zakąszałem kanapeczkami z masłem i odrobiną majonezu, a także wypatrywałem znakomitego musu sporządzonego z wątróbek, pysznego filetu z anchois marki „Amiens” (bo nie mogły być innej w tak przyzwoitym domu), na które położono kapary, czyli owocki kaczeńca marynowane w occie, zjadłem sałatę genialnie przyrządzoną, potem wróciłem znów do pasztetu, ale w innej postaci: był to pasztet bretoński podany w świńskim tłuszczu, do niego brałem z tacki apetycznie krajane (bo w formie trójkątów, kwadratów lub nawet małych kółek) kawałki chlebka „blanc fine”, whisky zaś przegryzałem suchymi wiórkowymi frytkami, chwytalem z piramidek „les éclairs bébé” (niewielkie ciasteczka cocktailowe) oraz ptifurki (nie mylić z profitrolkami), małe chlebki na drożdżach przekrojone w połowie. Dając się często zapraszać, byłem wtajemniczony, że się je kupowało w firmie „Pons”, skąd były i lody, lecz ja wolałem przegryzać korniszony, oliwki zielone i czarne, sery: camembert i roquefort, dopiero po nich tak zwane bisquit-fromage, czyli babeczki z foremki, w środku powydrażane, nadziane śmietankowo, nakryte czapeczkami i posypane tartym serkiem gruyère, przynieśli na gorąco. Na koniec truskawki z syropem (spody z kruchego ciasta), piłem mrożone soki z ananasa, grapefruitu, paliłem papierosy, jakie stały na stole: jasne amerykańskie oraz gitany z filtrem, do innych nie sięgałem.

Widziałem, że z drugiej strony stołu zajadał baron de Györmes, który mnie tu wprowadził, jadł mniej więcej to samo, z tym że pił dużo lepiej, wspomniałem, że mnie tym razem chodziło o jedzenie, dlatego tak dobrze pamiętam, co podali. Dopiero będąc syty zacząłem oglądać gości. Towarzystwo w salonie było wyraźnie podzielone, z wyjątkiem tych, co jeszcze zajadali, trzymając się przy stole: prócz barona de Györmes kilku niedużych starców z suchymi profilami, mieli w klapach czerwone rozetki Legii na podkładeczkach, to znaczy wyższych stopni, a w dłoniach widelczyki (na pewno Francuzi), chodzili dokoła zastawy, przepa-trując uważnie, coraz to coś wybrali i skubnęli.

Koło kominka natomiast, marmurowego, z ogromnym lustrem w ramach, spostrzegłem grupkę młodzieży paplającej po francusku, choć wszystko typy słowiańskie, wysokie, z niebieskimi oczami i zazwyczaj blondyni z wyjątkiem paru farbowanych panienek: trzy, cztery piękne dziewczyny w pantofelkach, jedna miała niewielką kolię z szafirów, zobaczyłem to w lustrze, bo stała do mnie tyłem. Pośród nich młodzi, dobrze ubrani panowie.

Z drugiej strony salonu, przy drzwiach, towarzystwo zbliżone do pięćdziesiątki, poniżej i powyżej, ale niewiele. Poszedłem w ich kierunku: języki mieszały się, mówiono po francusku, angielsku i rosyjsku, damom błyskały na palcach wcale piękne brylanty.

Ale mnie zainteresowała najbardziej ostatnia grupa gości, były to same staruszki, z siwymi rzęsami, głowami ozdobionymi tokami z ptasich piórek, siedziały na niskich taboretach pod oknem, ubrane wszystkie na czarno. Były to staruszki szczupłe, popijały wódkę (na pewno marki Smirnoff) i w chudych palcach trzymały cieniutkie kabanosy, zagryzały swój trunek i rozmawiały ze sobą niezwykle ożywione. Ale, by dotrzeć w tamten kąt salonu, trzeba się było zbliżyć do drzwi, gdzie stała pani domu; pisałem, że cały środek sali zajęty był przez kanapy ustawione pomiędzy kolumnami, przylegające do siebie oparciami. Jedna z grupy staruszek spojrzała w moją stronę i zaraz się uśmiechnęła, od tej chwili coraz to popatrywała, widać była szalenie mnie ciekawa; i ja się uśmiechnąłem, dając do zrozumienia, że za chwilę przedostanę się do niej.

Kiedy już miałem przechodzić na drugą stronę salonu, spotkałem księżnę, uniosła palec do góry i, żartując, zagroziła mi ręką: „Prosimy do młodzieży” – wskazała mi z uśmiechem grupę owych panienek i młodzieńców, cóż jednak mnie łączyło z tymi sfrancuziałymi do-szczętnie Rosjanami, bogatymi do tego; zawróciłem jednakże, idąc za wolą pani domu, ale tamta staruszka spojrzała znowu na mnie ze swego taboretu wesołymi oczkami, kombinowa-łem, by jakoś może przedostać się do niej bokiem, ale nie było szczeliny pomiędzy kanapami.

I właśnie na tamtą stronę przedzielonego salonu weszła znów pewna pani. Zwróciła uwagę wszystkich, choć była bardzo niziutka, ubrana w czarną suknię płaszczową niezwyklej ele-gancji, lecz wszyscy patrzyli dlatego, że miała na głowie duży kapelusz o modnej, wypukłej linii i o spuszczonej rondzie, cały z fiołków alpejskich silnie amarantowych, na pewno od Diora albo od Niny Ricci, tak nałożony, że zupełnie nie widać było twarzy. Rzucono mimo-chodem nazwisko jednego z największych domów Francji, ktoś dodał, że bywa na herbatkach u hrabiego Paryża, usiadła przy staruszkach, gdzie moja, z kabanosikiem w ręce, wciąż miło zerkąca na mnie, chodzącego samotnie po drugiej stronie kanap.

Widok tej wielkiej damy pobudził we mnie znowu chęć przedostania się do nich, będąc tu już wprowadzony skorzystałbym z nie byle jakiej okazji i chętnie poznał kogoś stojącego tak blisko ongi panującego domu, do tego liczyłem, że od tamtej staruszki, na pewno Rosjanki, dowiem się może czegoś, jakiegoś powiedzmy sobie nie znanego szczegółu panowania Mi-kołaja II, mogła być całkiem łatwo damą dworu carowej (nie myślę o Rasputinie, lecz zawsze mnie ciekawią drobiazgi obyczajowe). Nieznacznie więc, wzdłuż kanap, przesuwałem się wolno w kierunku drzwi wejściowych, przy których, jak pisałem, stał spory tłumek średniego pokolenia. Już byłem po tamtej stronie, gdy nagle jak spod ziemi wyrosła księżna uśmiech-nięta przemilo, rzekła: „aa, proszę pana, prosimy do młodzieży”, sama mnie podprowadziła ku grupie owych panien i młodych ludzi, potem sprezentowała dodając, że jestem z Polski

czasowo w Paryżu. Tu zaraz się okazało, że nie widziałem jeszcze kilku najnowszych filmów granych na Champs-Élysées (jak na mnie w tej sytuacji zbyt dużo kosztowały, po pół roku można je było zobaczyć za ćwierć ceny albo, po paru latach, prawie za bezcen w Warszawie), i zawiodłem te panie, nie mówiąc o panach, którzy, widziałem to po ich oczach, mieli mnie za nic. Myślałem, że im zaimponuję moją bytnością w Moskwie, zacząłem coś o cerkwi Wasyla Błażennego, ale wszyscy jeździli już do Rosji bądź jako rzeczoznawcy znający biegle język, wysyłani przez firmy, bądź też po prostu z wycieczkami.

Przeprosiłem tłumaczając, że chcę odnaleźć barona de Györmes, cofałem się powoli, zbliżając się – za kanapami – w stronę staruszki z kabanosem, która od razu spostrzegła moje manewry, co chwila dosłownie zerknęła, ogromnie ciekawa; musiała w pewnej chwili, jak sądzę, powiedzieć coś o mnie pochlebnego, bo wszystkie tamte panie obróciły się ku mnie z przyjaznym wyrazem twarzy i nawet wielka dama od hrabiego Paryża, podniósłszy wysoko głowę i odchyliwszy do tyłu, by rondo nie zasłaniało, z sympatią zmierzyła mnie spojrzeniem, i ona teraz trzymała w lewej ręce cieniutki kabanosek, a prawą podnosiła do ust kieliszek ze smirnoffką.

Nie wiedziałem, co teraz zrobić, aby postawić na swoim. Istotnie, niezręcznie by wyglądało forsować kanapy górą, strzeliło mi więc do głowy, aby precyzyjnie się dołem. Udając, że coś zgubiłem, powoli wsunąłem głowę pod nisko wygięty mebel (ludwik czy późna regencja z esowatymi nogami), wlałem już do połowy, gdy usłyszałem nad sobą głos księżny Gieorgijew:

– Czy pan coś zgubił? Zaraz zawołam służącego.

Wycofałem się speszony, usiłując tłumaczyć:

– Tak, zawadziłem rękawem o szpilkę w krawacie i gdzieś się potoczyła, istotnie znalazłem ją pod kanapą.

Księżna odpowiedziała:

– Wobec tego prosimy do młodzieży.

Szczęście mi dopisało, bo zbliżył się baron de Györmes, czerwony na twarzy po przepiciu, ale bystry w rozmowie, i zajął księżną sobą na parę minut, czemu asystowałem. Dziękując za zaproszenie chwalił jedzenie i dobór alkoholi, napomknął o miłej obecności pani, którą tak chętnie przyjmuje najlepsza linia Burbonów, co księżną Gieorgijew wprowadziło w wyraźne zadowolenie, tylko leciutko maskowane.

Pożegnaliśmy ją obaj, a ja, choć stałem dość daleko, złożyłem głęboki ukłon staruszce siedzącej na taborecie, uprzejmie skinęła głową, lecz miała minę wyraźnie zawiedzioną. Zeszliśmy po schodach na ulicę, wzięwszy jeszcze z kontrmarkarni okrycia, i tu dopiero zadałem baronowi pytanie, bo byłem ciekawy, jak też księżna jest z domu i z kim jest skoligacona, na co mi odpowiedział:

– Niech pan raczej zapyta, z jakiego była rogu, to mogę panu powiedzieć, przecież ona jest księżną dopiero czterdzieści lat, stary Gieorgijew wynalazł ją w jakimś hoteliku koło Madeleine, a niech pan zobaczy – dodał – kto dzisiaj u niej bywa!

Szliśmy dalej w kierunku metra Dupleix i kiedy mi dopowiedział jeszcze parę szczegółów dotyczących jej młodości, których nie będę przytaczał, bo były plugawe, spytałem o tamtą staruszkę, gdyż mnie intrygowała. Przystanął na chwilę: i on ją zapamiętał z dzisiejszego cocktailu („chodzi panu zapewne o tę wesołą, z oczkami?”), ale wyznał mi szczerze, że zupełnie nie umie odpowiedzieć na pytanie, kim była.

## NIEDZIELE PANNY KUROPATNICKIEJ

Bohatera mojego opowiadania śmiało mogę nazwać gówniarzem, choć nie był on młody, a i dociekania, jakie prowadził, były bezwzględnie jakoś na pewno wartościowe, ba, czyniły zeń nawet specjalistę poza konkurencją nie tylko w rodzinnym Paryżu, lecz może i na całym świecie. Nigdy nie ustaliłem co prawda, czym się zajmował na co dzień (pracował w jakimś biurze), nie to było ważne, lecz wiem, że musiała go pociągać również radiestezja, bo go poznałem w kółku jej zwolenników.

Stało się to jednakże o wiele miesięcy później: tymczasem, pewnym wiosennym popołudniem zdążając gdzieś niespiesznie bulwarem Montparnasse, ujrzałem grubego pana lekko po pięćdziesiątce, kapelusz na wielkiej głowie miał zdefasonowany; fotografował on co chwila – z pomocą długiego wężyka – jakieś drobne przedmioty leżące na ulicy. Aparat przytwierdzony do trójnogiego statywu nakierowany był lejkowatą osłoną ku dołowi i wycelowany w kratę z lanego żelaza, paryskim obyczajem otaczała ona pień starego platana oblażącego z kory, rosnącego niemalże pośrodku trotuaru.

Nie wypadalo przyglądać się z nazbyt bliska tym czynnościom, chociaż mnie one mocno zaciekawiły; usiadłem na ławeczce publicznej trochę bokiem do niego, ale w taki sposób, by kątem oka móc obserwować, co robi: przykucał, wybierał coś spomiędzy przegródek żelastwa zżartego rdzą, ustawiał potem w słońcu pod różnymi kątami, aby fotografować, zawiązał wreszcie obiekty w kawałeczki ligniny i chował najpierw do małych pudełeczek, na których pisał uwagi, pudełeczka zaś układał na' dnie niewielkiej walizki, solidnie odrapanej. Posiedziawszy tak chwilę, ruszyłem własną drogą i, jak niedawno pisałem, dopiero po wielu miesiącach osobiście go poznałem w kółku radiestetów, przypomniałem go sobie od razu, tak silnie wbił mi się w pamięć.

Było to u pewnej mojej znajomej, panny Kuropatnickiej (zaraz po wojnie wyjechała z rodzicami przez Pragę), w moim wieku dziewczyny, należącej do tej kategorii panien polskich w Paryżu, którymi się opiekują zamożniejsze hrabiny. Tej znowu kiedyś zostałem przedstawiony w Montmorency, na cmentarzu, corocznie w maju odbywa się tam od przeszło stulecia podniosła uroczystość zbierająca Polaków, są przemówienia, a potem błądzi się pośród grobów. Panna Kuropatnicka, przystając przed nagrobkami, z których odczytywała ważące w historii nazwiska, rzucała wtedy głośniejsze uwagi w takim oto rodzaju: „Prawda zawsze zwycięży!”, a potem poszliśmy do kościoła obejrzeć popiersia narodowe. W powrotnej drodze koleją z Enghien do Paryża zaprosiła mnie na przyszłą niedzielę: wczesnym popołudniem zbierze się u niej parę osób, będę mile widziany.

Obliczam, że musiał to być początek czerwca; mieszkała na parterze w niewielkim pokoiku tuż koło Panteonu, zaraz przy rogu rue de l'Estrapade i rue Laromiguière, jej okno wychodziło na nieduży ogródek z platanem i zaroślami, pieniły się chwasty i wszędzie pięło się wino, nastrój cichej prowincji w samym środku Paryża, z młodości pamiętam bardzo podobny ogródek we Włocławku (kończyłem tam szkoły), przylegał do muru klasztoru reformatów, lecz już go nie ma, wystawiono w tym miejscu ogromniaste gmaszysko, likwidując przy tym odwieczne domeczki i ogrody. U panny Kuropatnickiej za murem dzwoniło co parę godzin w polskim seminarium duchownym, mającym wejście od rue des Irlandais; sielska ta posesja była własnością pewnej młodej panienki, hrabianki portugalskiej o znakomitym nazwisku, trudnym do spamiętania.



W niedzielę poznałem tam istotnie parę osób: pan Pierre, o wyglądzie skromnego urzędnika, przedstawiał, gdy wszedłem do pokoju, koncepcje polityczne; był przeciwnikiem rządów generała de Gaulle'a i projektował przeorganizować całą francuską administrację według swego modelu. Uważał też, że on sam powinien być już dawno stanąć na czele biura, które by kontrolowało wszystko, co robią inni. Teoretycznie uzasadniał swoje koncepcje taką oto diagnozą: w dzisiejszej Francji, jeśli ktoś jest uczciwy, to głupi i bez inicjatywy, a jeśli znowu kto zdolny, to jest od razu kanalią i złodziejem. Swoją działalnością na odpowiedzialnym stanowisku pragnął zaprzeczyć temu smutnemu stwierdzeniu.

Panna Kuropatnicka z zapalem potakiwała jego wywodom, roznosząc mocną herbatę zaparzoną z angielska (prawdziwie dobrą herbatę wypić w Paryżu trudno, wysoko cenilem domy, gdzie ją dobrze parzono, jej przysyłała liptona cioteczna siostra z Londynu), a ja rozglądałem się po skromnie urządzonej sypialni: rodzinne fotografie, pobożne reprodukcje; przy oknie stały krosna. Pani de Csurgay-Tomcsanyi (znałem ją jeszcze od państwa de Strogoff, u których czasem bywała, a teraz siedziała obok mnie na kanapie) udzieliła mi cichych wyjaśnień w cztery oczy: panna Kuropatnicka miała się różnych zajęć, ale łądowała słabo, nareszcie moja rozmówczyni zaprowadziła ją do biura hrabiny Parvulescu (mieści się ono bodaj na rue du Faubourg Montmartre, nie dałbym już dziś głowy), która ogólnie zajmuje się organizacją pomocy dla pań pochodzących ze wschodnich krajów Europy. Próbę przeszła pomyślnie (chodziło o maniery), Parvulescu uznała, że ten wypadek przylega do kryteriów, jakimi się kieruje, lecz jej biuro pomocy z reguły odmawiało zasiłków finansowych, chodziło bowiem o to, aby osobom, które były chowane tylko na panie domu, dać do ręki jakiś konkretny zawód lub warsztat pracy (biuro dysponowało różnymi możliwościami: krosna, jakaś maszyna trykotarska, piecyk do ceramiki, ubijaczka do lodów), przyuczyć je do zajęcia, by zarabiała na siebie, a potem – sukcesywnie – spłacały dług hrabinie.

Inna jeszcze sprawa, niezwykle ważna w tym domu, zwróciła moją uwagę: otóż zarówno gospodyni, jak wszyscy dosłownie goście trzymali w rękach nieduże drewniane kuleczki z umocowanym do nich kawałkiem nitki czy cieniutkiego kordonka, puszczały je co chwila w ruch, trzymając końce nitki w taki sposób, aby kulka, kręcąc się dookoła, rozpoczęła wahań: od siebie w stronę zewnętrzną lub też z lewa do prawa, czasem wybierała elipsę i wszystko to miało dla nich nie być jakie znaczenie, spostrzegłem, że nawet doraźne, bo niektóre osoby puszczały takie kuleczki nad – dajmy na to – ową świetnie parzoną liptonowską herbatą, nugatem z Montelimaru, piernikiem czy ciasteczkiem, badając, czy produkty są świeże albo czy nie zaszkodzą na przepisanej diecie. Z ochotą kręcili także kulkami nad otwartymi dłońmi sąsiadów (przesiadali się stale, by móc ich często zmieniać), sprawdzając, kto ma ukryte własności leczenia, jakich chorób i jakim sposobem, pani de Csurgay-Tomcsanyi wyjaśniła mi tymczasem, że są cztery rodzaje kuracji radiestezją:

„à distance”, „à presence”, „par la pensée” i „par la prière”, a do tego jest jeszcze wiele rodzajów samego kręcenia.

Problem badania przedmiotu systemem radiestezji nie był mi całkiem obcy w owym czasie, raz bowiem w Luwrze, w Sali Siedmiu Mistrzów, spostrzegłem grubego pana, otoczonego półkolem ciasną ciżbą ciekawych: stojąc przed obrazem Giotta *Święty Franciszek przyjmujący stygmaty*, będącym zresztą predellą, czyli podstawą florenckiego ołtarza (wyobraża część wizji papieża Innocentego III), puszczał swój perpendykuł. Była to kulka ze srebra na takimże łańcuszku, wahała się wyraźnie, jemu chodziło o to, by ustalić, czy obraz jest prawdziwy, czy może kongenialnie przez kogoś sfalszowany. Wcisnąłem się w krąg patrzących i po kilku minutach uważnej obserwacji stopniowo zamierzających, nieznaczących ruchów błyszczącego penduła zacząłem się sam pasjonować wynikiem ekspertyzy. Wypadła ona jednak korzystnie dla predelli; widzowie ustawieni półkolem, uspokojeni, natychmiast rozeszli się po salach.

Niedługo potem poznałem pewnego Murzyna z Martyniki: monsieur François Voiture zapewnił wprawdzie, że jego ród wywodzi się po mieczu z Amiens, skąd również pochodził słynny poeta Vincent Voiture, przyjaciel Malherbe'a – i było to może prawdą, wielu Francuzów ruszyło na podbój archipelagu Antylów, aby się tam wzbogacić, a potem w różny sposób jakoś się rozmnażali – lecz równocześnie mój czarny znajomy głęboko był przeświadczony, co wielokrotnie stwierdzano za pomocą penduła, że sam w swym poprzednim wcieleniu był bezspornie Atlantą. On to właśnie napisał do swego przyjaciela, leśnika z departamentu Landes, radiestety i parapsychologa: celował on podobno szczególnie w kryptoskopii, prócz zdjęcia musiałem mu przekazać także i próbkę pisma; odtąd, kręcąc pendulem nad moją fotografią i kawałkiem zapisanego papieru gdzieś w głębi sosnowych lasów tego departamentu u brzegów Atlantyku, leczył mnie fluidami na bóle żołądkowe.

Złożyło się tak i teraz, że zjadłszy u panny Kuropatnickiej z grzeczności kawałek nugatu (usilnie go we mnie wmawiała), po pewnym czasie poczułem się nieswojo; istotnie nie sprawdziła metodą radiestezji, jak też na mój żołądek podziała jego spozycie (ale przecież widziałem, że jednak robiła to dla siebie nad tym kawałkiem keksa, który zjadła sama), byłoby nielojalnie obwiniać ją jednakże za moje nagłe cierpienia, winienem był uważać, teraz miałem za swoje. Goście powoli się rozchodzili, w końcu tylko ja jeden zostałem jeszcze na krótką chwilę, przyznawszy się do mych bólów po nugacie, bo mocno mnie trzymały. Gościnną gospodyni ułożyła mnie na tapczanie, a sama kręciła kulką. Trwało to dosyć długo, ale kuracja pomogła i ze zdziwieniem poczułem, że jestem uzdrowiony. Miałem się odtąd nad czym przez parę dni zastanawiać; choć trudno powiedzieć, żebym był tym wydarzeniem zupełnie przekonany, to jednak radiestezja zabiła mi klina w głowę.

Od tej więc niedzieli stałem się żelaznym gościem cotygodniowych herbat u panny Elwiry, bo tak miała na imię. Zaczęto mnie uważać za coś w rodzaju członka sympatyka bractwa radiestetów, który po pewnym czasie, jak to już nieraz bywało, zostanie członkiem zwyczajnym. Nie ruszałem już jednak ani suchego keksa, ani nugatu, mimo że były zebrania, kiedy przeprowadzona kulkowa ekspertyza wypadła pomyślnie, a więc – w teorii – nie mogły mi wtedy te słodocze zaszkodzić. Towarzystwo zbierało się to samo, a pani de Curgay-Tomcsanyi najczęściej nade mną pracowała; pan Pierre próbował mnie znowu przekonać do swoich reform, liczył, że je spopularyzuję wśród rówieśników. Którejś niedzieli zjawił się tutaj stary pan François Voiture, jak potem się okazało, aby zadeklamować utwory swego wielkiego prakuzyna Wincentego Voiture, potrafił je recytować całymi godzinami, ale najpierw objaśnił zebranych dzieje ruchu poetów zgrupowanych w swoim czasie dookoła Malherbe'a w opozycji do dworu, znaliśmy wszyscy dobrze te szczegóły, znaliśmy także wiersze i kiedy pan Voiture rozpoczął recytację słowami: „Il faut finir mes jours en l'amour d'Uranie” – mało kto słuchał z uwagą, bo wszyscy zajęci byli kulkami. Sędziwy pan Franciszek, z powodu wieku, przychodził do panny Elwiry sporadycznie jedynie, za mojej pamięci odwiedził ją wtedy raz jeden, a wbiło to mi się w pamięć dlatego, że następnej niedzieli (obliczam, że musiał to być początek lipca) spostrzegłem na kanapce, w tym samym miejscu, gdzie poprzedniej niedzieli stary Martynikańczyk deklamował z patosem, tegoż grubego pana, którego zapamiętałem dobrze, bo mu się przyglądałem wiosną zeszłego roku, gdy, przechodząc nieśpiesznie bulwarem Montparnasse, ujrzałem go fotografującego z pomocą grubego wężyka jakieś drobne przedmioty leżące na ulicy.

Panna Kuropatnicka przedstawiała wchodzącym pana Trionchelle'a dodając, że poznała go w ostatni czwartek, zupełnie przypadkowo, w parku Monceau. Usiadł na ławeczce koło niej, nawiązali rozmowę, i to, co jej opowiedział, było tak nieprzeciętne, że go zaprosiła do siebie, aby jej gości poinformował o swoich rewelacyjnych badaniach naukowych. Pracuje nad tym zagadnieniem od przeszło dwudziestu lat i doszedł do wyników, których nie można podważyć. Choć ma jeszcze trudności, bo któż ich nie miał spośród odkrywców i wynalazców, to

ona sama podziela jego wiarę, że Assemblée Nationale doceni wielkie odkrycia, prawda bowiem zwycięży. Gdy zeszli się już wszyscy, oddała głos grubasowi.

On tymczasem położył na stole wypchaną tekę, wyciągnął z niej skoroszyty i pliki fotografii. Były to – zobaczyłem z daleka – kolorowe odbitki wcale dużych rozmiarów. Odchrząknął i rozpoczął swój wykład takim tonem i z taką intonacją, z jaką w tym samym miejscu deklamował tydzień temu stary pan François Voiture: „Il faut finir mes jours en l’amour d’Uranie”, choć sprawa dotyczyła całkiem czegoś innego.

Zdjęcia w agfacolorze, które teraz Trionchelle puścił w obieg pomiędzy niedzielnych gości panny Kuropatnickiej, przedstawiały psie łajna w wielkościach naturalnych!

Stosując kartezjańską metodę rozumowania, pan Trionchelle po dłuższym wykładzie doszedł do takiej konkluzji: wysoka szkodliwość psich odchodów dla zdrowotności paryżan wymaga, by zlikwidować generalnie te zwierzęta w obrębie miasta i w jego okolicy, opracowuje w tej sprawie wszechstronnie umotywowaną petycję do Assemblée Nationale. „Wtedy prawda zwycięży” – przerwała panna Elwira i pierwsza zaklaskała, my wszyscy, z grzeczności, za nią.

Ale w dyskusji, która się rozwinęła, tylko pan Pierre poparł pana Trionchelle’a bez zastrzeżeń; wiedziałem przecież, że wiele pań, uczestniczek herbatek u panny Kuropatnickiej, trzymało różne pieski, bo czasem je przyprawdzały: pierwsza pani de Csurgay-Tomcsanyi chowała dużego jamnika Hulota, bardzo zresztą grzecznego (kupiła go od państwa Strogoff); kiedy przychodził, związał się zaraz w kłębuszek i drzemał przez cały czas na dywanie. Inne panie także kochały swoje ratlerki, pekińczyki, choć zwykle były to pieski tylko galanteryjne, niezdatne do obrony ani do polowania. Tymczasem pan Pierre, pewny swego, pomimo niespokojnych poruszeń na kanapach i zamienianych spojrzeń, zapewniał pana Trionchelle’a, że wszystko zrobi, aby tu przedstawiony projekt został przyjęty przez Assemblée Nationale w trybie uchwały. Ale postawił warunek: wpiery musi stworzyć biuro i stanąć na jego czele, organizm ten powinien móc kontrolować wszystko, co robią inni (jak mi się zdaje, pan Pierre chciałby zostać – rzecz najogólniej biorąc – czymś w rodzaju naszego prezesa Najwyższej Izby Kontroli). To dało mu znów okazję do rozwinięcia przed panem Trionchelle’em, którego chciał także pozyskać przy okazji dla swojej idei, znanych nam już koncepcji o zdolnych kanałach i ludziach bez inicjatywy, na jakich dzieli się ludzkość współczesnej Francji, i długo o tym perorował, a potem przeszedł do wniosków, jak można temu zaradzić, spostrzegłem, że panie na kanapach wyraźnie odetchnęły.

Ale pan Trionchelle, zajęty jedynie swoimi problemami, nie czekając na zakończenie wywodów pana Piotra zbierał plansze z naklejonymi zdjęciami, upchnął wszystko do teczki, pożegnał się ogólnie ukłonem, mówiąc, że wzywa go praca, zarzucił na lewe ramię torbę ze sprzętem fotograficznym, było tam coś ciężkiego i coś się przewalało, sięgnął po odrapaną walizkę z eksponatami (tych już nam nie demonstrował), po czym opuścił niedzielne zgromadzenie.

Za tydzień, gdy przyszedłem, siedział na swoim miejscu, pani de Csurgay-Tomcsanyi zjawiała się tym razem ze swoim jamnikiem Hulotem, nie ja tylko uznałem, że była to demonstracja, trzymała go do tego przez cały czas na kolanach, karmiła kawałeczkami nugatu, a ci spośród gości, których stać było na jawny gest odwagi, nawet pieska głaskali.

Dzisiaj widać było, że pan Trionchelle już bardziej zajął umysł panny Elwiry, we wszystkim mu potakiwała, patrzyła urzeczona i tylko jego problemy były tu omawiane. Następnego piątku zatelefonowała do mnie do Biblioteki Polskiej, że nadchodzącą niedzielę odwołuje. Sądziłem w pierwszej chwili, że to kontrmanifestacja wobec pani de Csurgay-Tomcsanyi i wobec sympatyczek żółtego jamnika Hulota, ale mi wyjaśniła, że pan Trionchelle, który we wszystkie dni powszednie pracuje w jakimś biurze i tylko niedziele może w pełni poświęcić swojej pracy badawczej, zaprosił ją w tym tygodniu, aby razem z nim przeszukała dokładnie którąś z pomniejszych ulic Siedemnastej Dzielnicy: panna Kuropatnicka miała mu tam poma-

gać w obsłudze aparatu. Dodała, że taka wspólna wyprawa może ją wiele nauczyć, co jej się potem przyda, jednym słowem wyraźnie się przede mną usprawiedliwiała, choć, mówiąc otwarcie, ani mnie to wszystko ziębiło, ani grzało.

Niedziele w Paryżu, a do tego lipcowe, jak pewno we wszystkich miastach świata, są bardzo nieciekawe i jakoś zakurzone, bo po ulicach snuje się niewielu ludzi; pozamykane sklepy, znikają samochody, na co dzień wszędzie ciasno zaparkowane, i tylko krążą powoli jakieś pary odświętnie ubrane albo jacyś turyści, w ogóle nie wiadomo, co wtedy robić z czasem. Mówię o tamtej niedzieli, kiedy panna Elwira odwołała herbatę: po zjedzeniu obiadu usiadłem w kafejce „Select Latin”, aby tam przestudiować „L’Officiel des Spectacles” i wybrać się później do kina. Zwrócił moją uwagę film *Ravissante idiote (une)*, jak podawała rubryka *Programmes des Cinémas*, raz, że tytuł ciekawy, drugie, że niedaleko, podszedłem te parę kroków w górę bulwarem do kina „Boul’ Mich”, ale przed witrzynami jałem się zastanawiać: cena była wysoka (w niedzielę nie było zniżek) i dochodziła piąta, a że od wielu tygodni chodziłem o tej porze na rue Laromiguière, zadowolilem się tylko obejrzeniem fotosów (Brigitte Bardot prawie goła) i potem jakoś bezwiednie poniosło mnie w tamtą stronę.

Kluczyłem uliczkami, obszedłszy dookoła seminarium duchowne, by potem przez plac Contrescarpe wracać powoli spacerem uliczką de l’Estrapade, lecz drugą stroną chodnika, nie tą, przy której rogu stał domek hrabianki portugalskiej o wieloczłonowym nazwisku trudnym do spamiętania. Ledwo minąłem ten domek, kiedy z ulicy Klotyldy wpadła dosłownie na mnie panna Kuropatnicka ubrana sportowo, przez ramię skórzana torba z frędzlami dosyć długimi, spytała od razu, czy może u niej byłem, „chyba do pana dzwoniłam, że dzisiaj odwołane”, głupio się tłumaczyłem, w największej zgodzie z prawdą, że zupełnie bez celu błędzę po tej dzielnicy, nie mając co robić z niedzielnym popołudniem.

Musiała mieć – jak sędzę – bałagan w domu, bo wcale nie prosiła, abym wstąpił na chwilę, przeciwnie, zawróciła i zesłiśmy niżej z powrotem na bulwar Saint-Germain, upał stał się zupełnie nie do zniesienia, zmordowany usiadłem naprzeciw niej w kafejce „Petit Cluny”, licząc, że czegoś się dowiem.

Istotnie – przy szklance wina – zaczęła mi się zwierzać: wczesnym rankiem (o siódmej) spotkali się z panem Trionchelle’em przy stacji metra Villiers i ruszyli pracować ku uliczkom przylegającym do skweru des Batignolles, a także na skwerze. Po mszy w pobliskim kościele Sainte-Marie-des-Batignolles wrócili do swoich zajęć, bo – jak mi powiedziała – skwer ten był niezwykle bogaty w materiały, niemalże wszystkie typy wedle „tabeli Trionchelle’a” były tam reprezentowane. Z wyników poszukiwań sam badacz był bardzo zadowolony, toteż w porze śniadania powiedział, że dość na dzisiaj i że zaprasza teraz na posiłek do siebie, bo mieszka przypadkowo o parę kroków od skweru, przy rue Cardinet, w sąsiedztwie konserwatorium, miewa więc – mówił – dobre koncerty dosłownie pod samym nosem.

Poszli; mieszkał dość skromnie, rozszedł się parę lat temu z żoną, zostawił jej mieszkanie z widokiem na zadrzewiony cmentarz Montparnasse, przy rue Cardinet wynajął pokój z małą wnęką kuchenną, gdzie swobodnie mógł się oddawać ulubionym badaniom, które – jak powiedział – stały się ostateczną przyczyną jego rozvodu. Niewielkie laboratorium miał świetnie wyposażone: dwa mikroskopy, urządzenia chemiczne, fotograficzne, do tego oczywiście pewien nieład w pokoju. Zrobili razem obiad wedle przepisów wegetariańskiej diety, którą stosował od dawna, i po zjedzeniu jarzynek, kiedy mieli odleżeć przepisowe dwadzieścia minut bez ruchu, Trionchelle położył się na brzegu tapczanu, a był dość znacznej tuszy, prosząc pannę Elwirę, aby wyciągnęła się przy nim.

Kiedy to zrobiła, Trionchelle począł się do niej najzwyczajniej dobierać, ręce miał (powiedziała) tłuste i obrzydliwe, podniosła się więc bez słowa, odeszła parę kroków, aby wyciągnąć się w przeciwnym kącie pokoju po prostu na podłodze, i tutaj odleżała, ile było potrzeba, bez

najmniejszego ruchu. Gdy wstała, poprawiła ubranie, sięgnęła po torbę z frędzlami, ruszyła ku drzwiom wyjściowym, dopiero wtedy Trionchelle zerwał się z otomany i począł ją przeproszać za swoje zachowanie.

Znajomość była skończona i teraz można się chwilę pozastanawiać, które z dość licznych znaczeń owego pospolitego wyrazu użytego na samym początku opowiadania przylegać może najbardziej do mego bohatera: rzecz jasna, był on gówniarzem, choć nie miał nic wspólnego z jego potoczną definicją odnotowaną choćby przez *Słownik Doroszewskiego* (zresztą za *Słownikiem wileńskim*): „młodzik, smarkacz, w ogóle człowiek, który nie dorósł do swego stanowiska czy ambicji”. Pokrywa się to na ogół z określeniem w *Słowniku warszawskim*, choć Karłowicz i Kryński wyraźnie wiek obniżają: „dzieciak, malec, smarkacz, berbec, fąfel”, a z drugiej strony znajdujemy w tym fundamentalnym dziele znaczenie bardziej dosłowne, dziś chyba nie używane: „ten, co nieczystości wywozi; ten, co kałem trąci”. Linde w ogóle nie wymienia gówniarza, lecz tylko „gówienny”, „gówniasty”, a kończy „gównowałem”. Francuski odpowiednik, „merdeux”, również nie oddaje tej sprawy jak należy, znaczy on wprawdzie „gówniarz”, lecz również „zafajdany”; „merdaillon” znaczy „smarkacz”, a nawet jeśli kto chciał zwyczajnie po francusku powiedzieć, jaki był przedmiot badań mojego bohatera, też musiałby się uciekać do omówień, „merde de chien” bowiem oznacza, wedle *Wielkiego Larousse’a*, „chose ou personne de peu de valeur”, a to odpowiada już raczej polskiemu gównozjadowi; określenie wyszło dziś już prawie z użycia, zaś pół wieku temu było synonimem marnego człowieka czy zgoła niedołągi, znów się tutaj powołam na autorytet Karłowicza i Kryńskiego.

Niech więc językoznawcy poważnie się zastanowią, czy wypadek pana Trionchelle’a nie zasługuje na to, aby nim zilustrować nie znane do tej pory znaczenie słowa „gówniarz” (mogą powołać się śmiało na moje roztrząsania), a ja tymczasem chciałbym w tym miejscu zakończyć opowiadanie.

## PANI ZOFIA ALBO HISTORIE NIESTWORZONE

*Henrykowi Berezie*

Myślę, że warto w końcu napisać jeszcze jedno opowiadanie, aby się w nim zająć życiem erotycznym hrabiny de Strogoff.

Pani Giselle wspominała mi nieraz, że kapitan Strogoff był jej piątym mężem z kolei, opowieści o pierwszym i drugim mężu, często powtarzane, słyszałem wielokrotnie, polegiwała wtedy najczęściej w swoim łóżu rozbebeszonym nosami leniwych jamników albo krzątała się po kuchni i częstując mnie kolacją opowiadała tamte odległe wydarzenia. Odbywało się to wcale nierzadko w obecności kapitana, któremu w ten sposób dawała jakby przestrożę, że i jego małżeństwo może skończyć się podobnie, choć było zupełnie jasne (ze względu na jej lata), iż pan Strogoff może być o to spokojny. Lecz z drugiej strony nie mogła się powstrzymać, aby mu nie wymówić tego czy owego; najczęściej przy ładyszkach wypominała biednemu kapitanowi (i to nierzadko w obecności znajomych!), że do miłości francuskiej nigdy nie potrafił się nagiąć i że nie zdołała go jednak namówić ani razu na tę intymność.

Gdy była młodziutką dziewczyną – opowiadała pani Giselle – wydali ją rodzice za pana Croulebarbe. Był on dobrym człowiekiem, ale podniecał się jedynie widokiem krwi swojej żony, stąd przy pieszczotach nacinał ją z lekka żyłką, starczała nawet kropelka (zlizywał ją lub wysysał), i po rocznym pożyciu miała małe blizny na wszystkich częściach ciała. Wreszcie zdecydowała, że pora skończyć tortury: Croulebarbe znalazł pewnego ranka list na samowarze (stojącym ponoć zawsze na kominku przed lustrem), zawarła w nim żądanie, aby wyniósł się z jej mieszkania w ciągu najbliższej doby. Został co prawda sześć godzin dłużej, niż to przewidywały postawione warunki, ale znikł definitywnie (była to wersja pierwsza – innym razem opowiedziała mi, że panu Croulebarbe wystawiła walizki na klatkę schodową i kiedy wrócił z pracy – był maklerem giełdowym – nie wchodził już do domu, lecz od razu ze schodów znosił walizki na dół, dorożka podjechała i więcej w życiu nigdy go nie zobaczyła).

Opowieść o drugim mężu, krótsza i banalniesza, miała wariant podobny: ten tenor operowy stale ją po prostu zdradzał. Kiedyś go poprosiła, by zszedł do episjera, był tylko w marynarce z pustą butelką pod pachą, bo miał jej przynieść wino, a wrócił dopiero po dwóch latach. Pani Giselle, otwierając, spytała: „A gdzie moje wino?”. Zjedli dobrą kolację, wino też miała w domu, i poszli do sypialni<sup>3</sup>, ale nazajutrz rano stał list na samowarze (była to pierwsza wersja – wedle drugiej powtórzyła historię z walizkami, kiedy w południe wyszedł na próbę do opery).

Nigdy natomiast nie usłyszałem opowieści o trzecim i czwartym mężu, bo piątym był kapitan Strogoff. Lecz dowiedziałem się o nich pośrednio z ust kuzynki pani Giselle, młodej

---

<sup>3</sup> Bohater *Kartoteki* Tadeusza Różewicza robi podobnie: idzie po papierosy i wraca po piętnastu latach, papierosy przynosi, lecz mimo to bohaterka (Olga) powiada: „Wiktorze, zawiodłam się na tobie. Jesteś świnią i oszustem”. Pani Giselle okazała o ileż wyższą klasę w swoim postępowaniu.

dziewczyny o imieniu Mireille i nawet dużych zdolnościach, lecz według mojego zdania zupełnie wyzbytej wstydu. Niech czytelnikowi wystarczy, że kiedy przychodziła i jadła czasem kolację w kuchence państwa Strogoff, opowiadała dokładnie o swoich aktualnych przygodach (kapitan tego nie lubił), uzupełniała je nawet sprośnymi rysunekami, by uzasadnić obrazowo swój wybór, a rysowała dobrze, pracowała w teatrze jako asystent reżysera. Działy u niej widać schematy spowiedzi dziecięcych i rachunku sumienia, bo cyfry (ile razy) grały tu dużą rolę, na przykład zwierzała mi się kiedyś, że bieżącego amanta, w którym serio się kochała licząc na zamążpójście (dyrektora teatru i głównego podmiotu tych – ad hoc – ilustracji, nie był on wprawdzie żonaty, ale jak bywa we Francji, z kimś na stałe związany), tego więc dyrektora zdradziła dwadzieścia trzy razy, a jednak żadna z przygód nie dała jej zadowolenia. Stwierdzała jednocześnie symptomy bardzo ciekawe dla jakiegoś badacza: otóż w sensie dosłownym najsilniej ją podniecała świadomość, że mężczyzna, z którym się właśnie zadaje (a mógł on być dużo starszy i uroda nie grała żadnej roli), ma bardzo duże pieniądze; im większe, tym podniecenie silniej się objawiało. Na moją uwagę z boku, że jest to zapewne dość rzadko spotykane, odparła nie zmieszana: „Nie jest to takim wyjątkiem, jak sobie wyobrażasz, kilka znajomych dziewczyn mówiło mi to samo”. I bez tego wiedziałem, że ja u niej nie miałbym szans najmniejszych (choć mnie pociągała bezwstydem i urodą), bo z każdym frankiem zawsze się bardzo liczyłem.

Ale zacząłem o życiu erotycznym hrabiny de Strogoff, a piszę o przygodach Mireille, która, będąc artystką, wiodła życie bohemy i miała do tego prawo. Wprowadziłem jej postać bynajmniej nie dla niej samej: jak więc naprawdę było z owymi mężami obecnej pani Strogoff? Mireille opowiedziała mi, że za trzeciego przez pewien czas uchodziła nieduża aktoreczka mająca drobne kosteczki i kruczoczarne włosy, do niej to pani Giselle wzdychała platonicznie, pisała nawet wiersze i nigdy nie zbadano, czy doszło do zbliżenia, co na pewno się stało w wypadku męża czwartego, młodej Angielki, szczupłej i bardzo męskiej, zarabiającej na życie ujeżdżaniem wierzchowców w alejach Lasku Bulońskiego; zajmowała się końmi wyścigowymi, a więc ranne maneże, bywała wolna dopiero popołudniami. Gdy zamieszkały razem, pani Giselle spełniała w domu funkcje kobiece, prała i prasowała, cerowała rankami garderobę, do czego Ewelina (nazywała się Deadmen) nie miała najmniejszych dyspozycji; kiedy się okazało, że na skutek zmęczenia i niezdrowego klimatu nad Sekwaną odezwała się u niej jakaś dawna gruźlica, już zaleczona w Anglii, zabrała panią Giselle i pojechały razem w okolice Mentony. Aby nie stać w hotelu, bo było to za drogie, znalazły – wysoko w górach – opuszczony drewniany domek, tak zwaną kabanekę, gdzie obie zamieszkały. Była tanio na zbyciu i – bodaj drogą licytacji – Evelyn ją kupiła wraz z kawałeczkiem ziemi, choć po prawdzie była to lita skała. Przypuszczam, że miały tam kotkę, bo pani Strogoff opowiadała mi kiedyś, że za młodu w Mentonie, gdy pilnowała pałacu bogatej cudzoziemki, współżyła z tygrysią, którą tamta trzymała i – wyjeżdżając na dłużej do Ameryki – oddała jej pod opiekę. Zwierzak już oswojony, jednak z natury dziki, trudny był do chowania. Wspominała, że mając go w domu świetnie była chroniona od nieproszonych wizyt (mieszkała zupełnie sama w pałacu, służbę zwolniła) oraz od nagabywań adoratorów: nawet wpuszczeni czasami na pokoje poprawnie się zachowywali, gdy Cathy była w domu. Zwierzę siedziało na kanapie w stylu Ludwika XV w największym z trzech salonów albo na perskim dywanie, czasami – ziewając – pokazywało wnętrze swojej różowej paszczy z dwoma ostrymi kłami, wysuwało pazury, i to już wywoływało odpowiednie wrażenie.

W tym czasie pani Giselle pisywała poezje o tematyce miłosnej, a Ewelina, nie pozbawiona talentów translatorskich, chętnie przekładała je na angielski; kiedy po sześciu latach wróciła do Londynu, tam owe wiersze wydała, ale pod własnym nazwiskiem, stając – podobno – od razu w poetyckiej czołówce młodego pokolenia. Jedyne skromniutką dedykacją („To Giselle”) zrobiła niezbyt jasną aluzję, że i swojej przyjaciółce ma coś do zawdzięczenia. Był to niebagatelny powód do zerwania stosunków, mimo że Evelyn przysłała prawdziwej autorce

wierszy jedną trzecią dochodu, a także, jak mi się zdaje, scedowała kabanę w okolicach Mentony. Mimo to pani Strogoff z niemalą zawziętością musiała ścigać Ewelinę, skoro groziła jej procesem (nie wiem, czy mogła wygrać, raczej o tym powątpiewam, bo przecież swoich poezji nigdy nie ogłosiła drukiem), ale doprowadziła podobno aż do tego, że panna Deadmen, by uniknąć skandalu, uciekła z Anglii, nie bacząc na sukcesy – wersja pani Giselle – i zamieszkała na stałe w Argentynie.

Kapitan Gieorgij Strogoff byłby więc mężem piątym, tym razem niewątpliwym, bo wzięli ślub – przy świadkach – najpierw w merostwie Piętnastej Dzielnicy, a później, po raz drugi, w cerkwi przy avenue Hoche, działo się to parę miesięcy przed wojną. Kapitan zaprosił mnie pewnego razu na bardzo skromne śniadanie do restauracyjki rosyjskiej o nazwie „Coq d’Or”, tuż koło Luksemburga, po schodkach, wejście z podwórza, znanej w tamtym okresie przyjeżdżającym Polakom dlatego, że kupowano tu kawior. Nawet jeśli był niezbyt świeży po długiej podróży z Moskwy via Warszawa (delikatesy), jeden z kelnerów brał pudełko na własny rachunek, bo właścicielka, staruszka, prawie już nic nie widziała, pewno ją oszukiwał.

Tutaj, słuchając popisów dwóch leciwych muzyków rzępolących na skrzypcach romanse czarnomorskie, patrząc na średniowieczne Kremle zdobiące ściany lokalu, kapitan, wypiwszy nieco wódki Smirnoff, pozwolił sobie przede mną na chwilę szczerości, wspominał swoje życie i swoje rozczarowania. Zaczął od rewolucji i co wtedy porabiał, lecz tutaj nie jest miejsce na relacje tego rodzaju; internowany w Turcji przedostał się do Marsylii, a potem do Paryża. Mówił o swoich kobietach (bo jego pierwsza żona, hrabina Strogoff, z domu księżniczka Błagocerkiewskaja, zginęła mu z oczu w Odessie i już się nie odnalazła), aż po małej godzinie doszło do znajomości i ślubu z panią Giselle: „Niech sobie pan wyobrazi, że w pierwszych miesiącach małżeństwa codziennie rano, nim jeszcze wyszedłem do pracy, gdy myłem się w łazience albo się ubierałem, to przybiegała do niej jakaś młoda Holenderka i prula prosto do łóżka, czasami się rozbierała od razu w przedpokoju. Wiele mnie to kosztowało, były płacze i krzyki, ale zrobiłem z tym koniec”.

Tak to się przedstawiało w relacji kapitana. Ale znów pewna znajoma z paryskiej Polonii, nazwijmy ją umownie „panią Zofią”, mówiła mi, że kiedyś wpadła do nich po kota dla znajomych, państwo de Strogoff nie mieli telefonu, a było dosyć późno, nie mogła się zapowiedzieć i para gospodarzy leżała już w szerokim łożu pośród jamników. Pani Giselle zaprosiła ją na noc, pokazywała miejsce w środku, pomiędzy nimi: „Kochana «pani Zofio», prosimy tu do nas na sandwicza”, dodając, że o tej porze metro już nie kursuje, jak więc wróci do domu? (była dopiero dziesiąta, a chodzi do północy!). To jedno, ale przecież, zazdrosna o męża, bała się, by jej nie zdradzał. Tę samą „panią Zofią”, na przykład, kobietę dużej urody, ostrzegła raz mimochodem, że kapitan ma za duże organy.

Tu muszę znowu odwołać się do świadectwa Mireille, bo mi opowiadała, że pani Giselle nie tak dawno zajęła się pewnym Murzynem, dosyć nawet wiekowym, pan François Voiture dobiegał osiemdziesiątki; może z tego powodu, a może z innych przyczyn zachował się z rezerwą; by sobie powetować, hrabina postawiła kapitanowi warunek, że go będzie dopuszczać do siebie wtedy jedynie, kiedy się pomaluje, pan Strogoff czernił słabiznę przez jakie dwa tygodnie, dopóki się jej nie znudziło. Mireille, dziewczyna wyzbyta wstydu, mówiła mi, że i jamniki leżące stale w betach pani Giselle też grały pewną rolę, miała się podobno smarować czymś, co pieski lubiły, ale tę rewelację potraktowałem od razu jako niemądry wymysł.

Po cóż miała się uciekać do tego typu namiastek, skoro nigdy jej nie brakło prawdziwych adoratorów. Przychodziło ich do niej za mojej pamięci nie mało, a w pierwszym rządzie pewien lekarz psychiatra, był Turkiem z pochodzenia. Spotkałem go raz przy metrze idąc do pani Strogoff i szliśmy dalej razem. Kiedy nacisnął dzwonek, myślałem, że, jak zawsze bywało, odezwie się po chwili skrzekliwy głos hrabiny w dziurkach niedużego głośnika przykręconego do drzwi od wewnętrznej ich strony, lecz tym razem gospodyni otworzyła drzwi sama: „Przepraszam, ale się myję” – powiedziała w półmroku korytarza i kiedy wchodzili-



śmy, umykała w głąb domu, bo była całkiem goła, kłapała pantoflami wśród piszczących jamników, dostrzeżliśmy jedynie ogromne kłęby zadu. Za chwilę, w jedwabnym szlafroczku różowego koloru, podała nam herbatę; dodam, że cały bok szlafroka od pachy aż po udo był rozpruty, a lekarza psychiatrę tak to zafascynowało, że zerkał co chwila, choć miała gąbczaste ciało, a potem wsunął tam rękę, gdy byłem odwrócony. Zauważywszy te ruchy kątem oka, szybciotko dokończyłem herbaty i począłem się żegnać.

Wiedziałem, że prócz lekarza psychiatry często bywał w domu państwa de Strogoff adwokat o dużej renomie, prowadził im za darmo bardzo kosztowne procesy, w które się zaplątali, a pewien finansista, baron de Bas-Monceaux, przynosił dla pani Giselle toalety swej żony wyszłe już z mody, pożyczał także pieniędzy, kiedy im brakowało. Bogaty antykwariusz, pan Piradou-Farady, ofiarował raz pani Giselle piękny komplet talerzy rozentalowskich, jednak zgniwało to kapitana do tego stopnia, że wytlukł wszystkie co do jednego, rzucając nimi kolejno o ziemię. Bywali i inni panowie, lecz wszystkich nie poznałem.

To byłyby główne zarysy historii życia erotycznego hrabiny de Strogoff, będę kończył opowieść, bowiem – gdy byłem już w Polsce – pewnego lata sprzedali swoje mieszkanie, a rzeczy częściowo pozbyli się między znajomymi, częściowo załadowali na całkiem płaski dach wozu kapitana (model 1930, obracał nim trzy razy) i wyjechali w okolice Mentony. Za uzyskane pieniądze postawili nieduży, lecz murowany domek w miejscu spróchniałej kabanki i tam osiedli na stałe, chciałbym kiedy opisać, jak im się żyje na Lazurowym Wybrzeżu, lecz wątpię, czy tam dojadę.

Mieszkanie paryskie hrabiostwa de Strogoff kupiła owa osoba nazwana przez nas umownie „panią Zofią”, dysponująca podówczas pewnym kapitałem, i kiedy dwa lata potem znowu byłem w Paryżu, jakoś po Nowym Roku, pobiegłem z życzeniami oraz aby podrzucić niewielką, lecz ciężką paczuszkę, z którą przyszła na Dworzec Gdański w Warszawie jej siostrzenica, studentka geologii. Gdy nacisnąłem dzwonek, „pani Zofia” otworzyła przez łańcuch, przyjrzała mi się dokładnie, zanim wpuściła, była bardzo wzburzona. Pozwolą czytelnicy, że przytoczę jej słowa: „Niech sobie pan wyobrazi, przeżyłam dosłownie przed chwilą niespotykaną historię. Robiłam w kuchni śniadanie, a tutaj słyszę dzwonek, tak samo, jak pański przed chwilą. Nie zapalałam światła w korytarzu, bo kontakt jest z tamtej strony, podeszłam od razu do drzwi, otwieram, nagle ktoś, krzyczy «a kuku!», łapie mnie, obcałowuje, ledwo mu się wyrwałam i zaraz do kontaktu, światło się zapaliło. I da pan wiarę, co się okazało? Że był to listonosz, w mundurze, od pneumatyków; nie znał mnie osobiście, bo założyłam telefon i nie przychodzą tutaj już żadne pneumatyki, wie pan, co on mi powiedział? Że zawsze raz do roku w okolicach Trzech Króli dostawał od hrabiny de Strogoff takie wspaniałe «cadeau», liczył, że dziś też dostanie. Słyszał pan coś podobnego?”

Przeszliśmy z „panią Zofią” do saloniku i tam ją uspokajałem, oddając przesyłkę z Polski (była to puszka z kawiozem); skłamałbym, gdybym napisał, że to popołudnie spędziłem jedynie na rozmowie. Pojęcia nie mam, może miała coś w sobie atmosfera tych murów.

## MACZETA PIOTRA DE BRAZZA

By sięgnąć do korzeni tego opowiadania, trzeba cofnąć się aż ku końcowi upalnego lata roku 1959, kiedy któregoś dnia po południu zobaczyłem gubernatora Étienne Hachan de Verdelain siedzącego samotnie przy okrągłym stoliku kawiarni, jaka znajduje się po nieparzystej stronie bulwaru Saint-Michel, pomiędzy narożnikiem wybrzeża tejże nazwy (gdzie jest księgarnia Giberta Starszego, od strony wody) a wąską rue Huchette, przy samym zejściu do metra. Kiedy go zauważyłem, przyglądał właśnie ręką swe siwe włosy, gmerając w nich palcami; zaczesywał je od tyłu ku przodowi, aby się łączyły w jedno z brodą, okalającą twarz podłużną, pomarszczoną, oraz z wąsami, podobnie chyba musiałby robić Anatol France, gdyby dożył. Na nosie miał binokle o wydłużonym kształcie, połączone u góry sporym kabłąkiem-sprężyną ściskającą nasadę nosa dosyć wąskiego, a z lewej strony binokli zwieszał się jeszcze cienki brązowy sznurek, zaczepiony pętelką o dziurkę granatowej kurty, grubej mimo upału i mocno wyświeconej, wojskowego kroju. Jest to miejsce w Paryżu, gdzie może najczęściej widuje się przechodzących Murzynów i Murzynki, sprawdziłem to jeszcze raz zajawszy tutaj stolik jednego z cieplejszych dni lutego roku 1964, kiedy to przyjechałem ponownie z Warszawy do Paryża. Spośród zaś wszystkich Murzynek bezwzględnie Martynikanki (mam tu na myśli ciemne kobiety z Antyli, to znaczy także z Gwadelupy, z Haiti, wysepek St.-Martin, St.-Barthélemy) odznaczały się najświetniejszą urodą, wysokie, bardzo zgrabne, choć zwykle nazbyt chude, wiele jest wśród nich Mulatek, bo w zasadzie jest to już rasa dość znacznie przemieszana; Murzynki pochodzące z republik Afryki Środkowej, tłustsze, wzrostu cokolwiek mierniejszego, z kędzierzawymi włosami i twarzami płaskimi, zgniecionymi, także tędy dość często spacerują.

Widzę, że muszę się cofnąć jeszcze o rok z okładem do którejś marcowej niedzieli roku 1958, kiedy starca poznałem przez moich znajomych, państwa de Strogoff, bo trzeba było przewieźć odlane z brązu popiersie gubernatora (z brodą, podobnie uczesany, ale twarz w sile wieku) do Chantilly, gdzie miał domek. W Paryżu mieszkał przy rue Hautefeuille, wchodziło się z bramy od razu na pierwsze piętro kamieniczki prastarej, bo miała z jednego rogu rodzaj baszty-wykusza w stylu późnego gotyku; sam otworzył drzwi, jak mi się wydało, przestronnego mieszkania, ubrany już do wyjścia w jesionkę watowaną i długą kawał poza kolana. Z przedpokoju wyniosłem jego popiersie za uszy (stało na postumencie z zielonkawego marmuru), ostrożnie je znosiłem po stopniach schodów szerokich, o kantach zupełnie już startych wieloletnim chodzeniem (gubernator wolno posuwał się za mną, trzymając się poręczy), a potem je lokowałem w niewielkim samochodzie moich i jego znajomych, kapitanostwa de Strogoff, zmieściło się jakoś z przodu, gdzie ja zająłem miejsce obok kierowcy (kapitana), przez cały czas podróży musiałem trzymać popiersie pomiędzy kolanami.

Dojechaliśmy do Chantilly gdzieś około południa, domek gubernatora z przylegającymi do niego ogródkiem i garażem zamknięty był na głucho, wysiadłem pierwszy i wedle wskazań starca zapukałem do drzwi najbliższych sąsiadów. Mieszkała tu pani Mordieu, kobieta po sześćdziesiątce, prosta, była już wdową, wyniosła od siebie klucze, witając gubernatora okrzykami radości, otworzyła ze zgrzytem drzwi wejściowe, potem bramę garażu, ale pan Strogoff poprosił, aby garaż zamknęła, bo zostaniemy tylko na obiedzie, dom jest nie opalony, po południu wracamy, a teraz zaparkuje samochód na ulicy. Weszliśmy, ja z popiersiem,

dźwigając je za uszy; trudno było inaczej uchwycić wyslizganą powierzchnię; w ogródku rosły niskie krzewy, lecz jeszcze zieleń nie puszczała. Otwieraliśmy wszyscy zewnętrzne drewniane okiennice ze skośnie ustawionych listewek; w niedużym hallu wisiały na środku ściany potężne rogi nyali (*Tragelaphus buxtoni*) pomiędzy kilku rogami antylop z rodzaju kudu situnga i kilku gazel granta czy może gazel klipsspringer (*Quercia montana*) zastrzelonych w Somalii, lecz oczywiście nie zdejnowaliśmy okryć, w pokojach bowiem panował jeszcze zamróz, nikt nie wchodził do środka od jesieni. Gubernator poprosił od razu do salonu, gdzie wszystkie przedmioty były pokryte warstwą kurzu. Salonik ów nosił wszelkie cechy niewielkiego muzeum, wokoło bowiem poustawiano na półkach ogromnej wartości zbiory, z miejsca wzrok przykuwały drewniane maski murzyńskie, spiczasto u góry zakończone, z ustami malowanymi na kolor niebieski, czerwony, brązowy, granatowy, łypały białymi gałkami oczysk i wyświdrowanymi otworami tęczówek, policzki miały znaczone trzema pionowymi cięciami. Dopiero w chwilę potem wchodzący tu po raz pierwszy spostrzegł tam-tamy porozkładane na ogromnym dywanie niby poduszki wschodnie, pośrodku zaś salonu stało spore krzesło murzyńskie: „To, czemu się pan przygląda, to tron kacyków Górnego Ubangi, niech pan go dobrze obejrzy, bo jest inkrustowany zębami ludzkimi” – powiedział gubernator, podszedł żywo do krzesła i schyliwszy się nieco pokazywał te zęby, dotykając ich szkliwa paznokciem wskazującego palca prawej dłoni.

Po drugiej stronie salonu był kącik dalekowschodni: półki, już nie drewniane, lecz bambusowe, były dosłownie zavalone posążkami Buddy mniejszych i większych rozmiarów z różnych gatunków marmuru oraz miedzi, tłustych bóstw rzecznych, przeróżnych bodhisattwów, demonów, smoków i zwierząt z laki, nefrytu, kości słoniowej, gliny, kamieni półszlachetnych i starej porcelany, ale wszystko w nieładzie, nierzadko poprzewracane; gdy się do nich zbliżyłem, gubernator wyjaśnił z lekceważeniem w głosie: „Tyle tego dostawałem, ale nigdy nie przywiązywałem do tego śmietnika żadnej wagi. Pokażę panu lepiej bardzo ciekawą maczetę”. Wziął mnie pod ramię i przeszliśmy razem do jadalni położonej od południowej strony, było tu nieco słońca, nad drzwiami wisiały dwa olejne portrety Napoleona III i cesarzowej Eugonii (bo gubernator urodził się jeszcze za czasów ich panowania, jego zaś ojciec otrzymał wtedy dziedziczny tytuł „baron de l’Empire”), a na ścianie ogromna fotografia z odręczną dedykacją, zrobioną atramentem zupełnie zbrązowiałym, przedstawiająca mężczyznę z bokobrodami, o twarzy surowej, w ogromnym białym kasku kolonialnym na głowie. Pomogłem starcowi zdjąć z haka wbitego tuż pod tą fotografią duży jakiś jatagan, pytając na poły żartobliwie, czy służył on może w swoim czasie do rozplątywania brzuchów nieposłusznym Murzynom, ale zaprzeczył ze śmiechem: „Ależ skąd znowu, po prostu robił nim w dżungli przesieki sam Pierre de Brazza, wielki kolonizator (wie pan niewątpliwie – spojrzał mi w oczy uważnie spoza swoich binokli na kabłąku – od niego właśnie pochodzi nazwa Brazzaville), ja wtedy byłem towarzyszem jego słynnej wyprawy odbytej w latach 1891 i 1892, ukończyłem w tym czasie paryską École de la France d’Outre Mer i zaraz wysłali mnie do Afryki Równikowej”.

Ważył w rękę pamiętkę i dał mi ją do potrzymania: rękojeść dosyć długa, na obie dłonie, a klinga szeroka, zakrzywiona, choć dawno nie czyszczona, ale z wybornej stali, zachowała do dzisiaj (sprawdziłem brzuścem palca) przymioty świetnej broni. „Dobrze pamiętam tę naszą eskapadę – opowiadał w tym czasie gubernator – przeszliśmy pieszo parę tysięcy kilometrów robiąc przesieki w dżungli, Pierre de Brazza sam rąbał liany tą właśnie maczetą, którą trzyma pan w dłoniach, a jednak posuwaliśmy się dziennie dwadzieścia kilometrów, w nocy spaliśmy w hamakach, nasze zadanie zostało do końca wykonane”.

W chwili gdy to powiedział, odnalazły nas pani Strogoff i pani Mordieu, informowały, że schodzą do kuchni w suterenie zrobić naprędce obiad, sporządzą zupę z proszku i odgrzeją dwie puszki konserw mięsnych, któreśmy wzięli ze sobą. Wyszły i gubernator przeprowadził mnie teraz do pokoju dalej, stało tu wielkie łóżko i było jakby cieplej, bez owego zimowego

zamrozu, może dlatego, że pokoiik najmniejszy i tutaj marcowe słońce padało jakoś szerzej, oświetlając wiszącą nad kozetką, naprzeciw tego łóża, lewą połowę ogromnego obrazu przedstawiającego Murzynkę wielkości naturalnej, nagą, zmysłowo wykręconą, z zadartą do góry głową i dużymi piersiami zwisającymi właśnie na stronę oświetloną.

Siedliśmy na kozetce objętej bladym słonecznym promieniem, starzec kontynuował wspomnienia. „W trzy lata po tej wyprawie, o której mówiłem, zostałem pierwszym gubernatorem z ramienia Francji tych ogromnych terenów rozciągających się od rzeki Ubangi (graniczy z Kongo Belgijskim) na południu, poprzez dorzecze Szari, aż po rzeki i uedy, które wpadają do Czadu od wschodu i od północy, a nawet nieco dalej w kierunku masywu Tibesti, bo znowu od południo-zachodu, w krajach dzisiejszej Nigerii, siedzieli już Anglicy, przekupywali mi kacyków murzyńskich bogatymi darami, nie miałem takich funduszy i pod tym względem nie mogłem im dać rady. Niech pan teraz uważa: skończyło to się z chwilą, gdy ja tym kacykom zacząłem składać wizyty (nawiasem mówiąc, byli wśród nich kanibale) i brać ich córki za żony z całym ceremoniałem, każdy szedł na ten haczyk, Anglików przechytrzyłem i za jednym zamachem ściągnąłem do siebie w Bangi cały harem księżniczek. Teraz mogę już pana poinformować (poprawił się na kozetce w moją stronę), że osobiście nie znam lepszych kochanek. Może cokolwiek bierne, ale niech pan uważa... (tu szeptał mi do ucha o szczególnego rodzaju chropawości Murzynek, co jemu przypominało szorstki języczek kota, o czym ja już wiedziałem z książki *Fizyka miłości* Rémy de Gourmonta, trafiłem zresztą do niej poprzez lekturę poematów młodego Blaise Cendrarsa, bo jest tam ona kilkakrotnie wspomniana). Dlatego – kontynuował – gdy w roku 1924 zostałem mianowany gubernatorem Indochin, tak długo molestowałem moje władze w Paryżu, że w końcu spowodowałem wysokimi wpływami, przez marszałka Pétaina (mój starszy brat chodził z nim do jednej szkoły), że w r. 1930 przeniesiono mnie na to samo stanowisko do Dahomeju”.

Zrozumiałem do końca te zwierzenia dopiero po roku z okładem, gdy miało się ku końcowi upalnego lata 1959 r., właśnie wtedy, kiedy zobaczyłem staruszka siedzącego samotnie przy okrągłym stoliku kawiarni, jaka znajduje się po nieparzystej stronie bulwaru Saint-Michel, pomiędzy narożnikiem wybrzeża tejże nazwy a wąską rue Huchette, przy samym wejściu do metra. Gdy skończył gmerać we włosach, podszedłem zaraz do niego, powitał mnie z radością, zdaje się, niekłamaną; czekał tutaj na córkę, lecz prosił, bym się przysiadł i wypił kawę, opowiadając mu, co też porabiam, lecz wyczułem, że on chce się wygadać: zaczął, że lubi tu siedzieć, bo jest to miejsce w Paryżu, gdzie najczęściej widuje się wśród przechodniów kobiety o czarnej skórze, a wśród nich można zobaczyć Murzynki z Afryki Środkowej, gubernator wołał je o całe niebo od smukłych Martynikanek, z którymi, jak się przysiadł, też miewał do czynienia.

Z czeluści metra wyszła bardzo piękna Mulatka, lecz właśnie smukła, chociaż o twarzy cokolwiek jednak spłaszczonej i rysach ostrych przy bardzo foremnym nosie, a skórze nie nazbyt rozjaśnionej przymieszką krwi gubernatora, bo była to jego córka, naturalna co prawda (i dokładnie, co do dnia, w moim wieku, urodzona w Porto Novo, stolicy Dahomeju), ale jej dał nazwisko, w połączeniu z oryginalnym imieniem brzmiało to egzotycznie, mimo to zupełnie dobrze: Guevenou baronette Hachan de Vardelain. Tancerka „Folies Bergère”, nie osiągnęła dotąd jakichś znaczniejszych sukcesów (występowała pod pseudonimem Bariba, to nazwa pewnego szczepu w Dahomeju), ale miała ambicje co najmniej Isadory Duncan czy choćby Mary Wigman, zorientowałem się po chwili rozmowy, że interesował ją zarówno taniec zupełnie nowoczesny w rodzaju eksperymentów Bójarta, jak i taniec ludowy, afrykański, spostrzegłem nawet, że mówiąc o tym ostatnim bardziej się zapalała, bo chociaż czuła się rodowitą Francuzką i miała po temu prawo, w duszy związana była silniej z Afryką, a zwłaszcza z Dahomejem.

Opowieści jej ojca, gubernatora, sprawiły, że usiłowałem się nią z miejsca zainteresować, wykorzystując przedziwny zresztą pretekst tak dokładnej zbieżności daty naszych urodzin

pod znakiem Raka, choć w tak bardzo odległych od siebie punktach globu (rodziłem się na Kujawach), i mimo że w tym okresie, pod koniec lata 1959 r., zbierałem się wracać do Polski, to przecież jeszcze nieraz się z nią spotkałem w samym „Folies Bergère”, gdzie brała udział w spektaklu „Folies Légères”, występując przez chwilę zupełnie obnażona, kiedy tańczyła w numerze o nazwie „Sorcellerie”, lecz, jak jej koleżanki, nigdy nie wyszła bez kompletnego ubrania (czy nawet w stroju choć trochę podkasanym) do niewielkiego baru dla aktorów, tutaj na nią czekałem: mieści się w gmachu teatru, ale wejście od tyłu, od strony spokojnej i drugorzędnej ulicy Saulnier: przez litą żelazną bramę wjazdową (numer 8), potem na lewo. Zjawiałem się tam wieczorami, po zakończeniu mojej pracy w Bibliotece Polskiej i zjedzeniu kolacji wsiadałem do linii metra Villette – Pré-St.-Gervais i wysiadałem na stacji Cadet, skąd zostawało do przejścia parę kroków.

Guevenou występowała codziennie, i to w paru numerach, gdzieś od połowy spektaklu poczynając, bo brała najpierw udział w obrazie „Le Bain de Minuit”, następnie w „Sorcellerie”, gdzie miała ważniejszą rolę, wreszcie w ostatniej „Parade de Folies”, kiedy to gromadzono na scenie wielką ilość śpiewaczek i tancerek ubranych we wspaniałe stroje ze strusimi piórami na głowie i z tyłu. Przyjeżdżała do pracy przed dziewiątą wieczorem (zwykle czekałem już w barze) i tu szybko połykała posiłek: sandwicze au fromage, wodę mineralną Perriera, filiżaneczkę kawy (bo prawdziwą kolację jadła późnym wieczorem w domu), znikła w garderobie, ja wtedy zamawiałem u barmanki, madame Martine (dobrze mnie potem знаła), piwo Slavia, dawała mi butelkę pokrytą skroploną parą i nieodmiennie z kluczem do otwierania kapsla, który sam podważałem, i popijałem wolno, by mi starczyło do końca przedstawienia, bowiem przez owe dwa miesiące tylko trzy razy dostałem się na widownię (od strony kulis nie było to możliwe) za specjalną karteczką wręczoną mi przez Guevenou, a wymienianą potem w kasie na „taxe” (płatny bilet ulgowy). Do baru wpadali w tym czasie bez przerwy aktorzy i aktorki (Guevenou zjawiała się czasem u mnie na krótko, uszmiękowana), a jeśli mieli jedno wyjście na scenę, bywali w teatrze tylko pół godziny i znikali, tak właśnie zawsze się miało z pewną słynną śpiewaczką, lecz nigdy do baru nie zajrzała, słyszałem tylko najpierw stukot obcasów w bramie, a po dwudziestu minutach dobiegały ze sceny bardzo wysokie tony jej solowego występu, kończone jeszcze wyżej, i wtedy wiedziałem, że nastąpi „Parade de Folies”, potem huragany oklasków; dość szybko po nich przychodziła Guevenou, ubrana już do wyjścia.

Bywała tutaj także na rannych próbach następnego spektaklu o nazwie „Folies Idiotes”, gdzie przygotowywała się do udziału w obrazie „Paradis Terrestre”, ale już sobie przedpołudniowe spotkania darowywałem, zresztą nasza znajomość nie zaszła zbyt daleko, a przed samym wyjazdem do Polski miałem takie mnóstwo swoich i nie swoich spraw na głowie, że już nie byłem w stanie zorganizować jakiegoś serdeczniejszego pożegnania, na które liczyłem, z Warszawy pisałem parę razy, lecz mi nie odpowiadała, dopiero przyjechawszy ponownie do Paryża w lutym 1964 r. spotkałem ją zaraz drugiego dnia pobytu zupełnie przypadkowo, wtedy właśnie, gdy usiadłem przy okrągłym stoliku kawiarni po nieparzystej stronie bulwaru Saint-Michel pomiędzy narożnikiem wybrzeża tejże nazwy a wąską rue Huchette.

Jak kiedyś, z czeluści metra wyszła bardzo piękna Mulatka, w pierwszej chwili zupełnie nie poznałem, że to ona, smukła, chociaż o twarzy dosyć jeszcze spłaszczonej, czesała się inaczej niż cztery lata temu, ale po chwili już wybiegłem z kawiarni (w zimie za grubą szybą) na trotuar, dopędziłem ją w tłumie na rogu uliczki Huchette, wracaliśmy do stolika, tego samego może, przy którym, w końcu upalnego lata roku 1959, siedziałem z gubernatorem Étienne Hachan de Vardelain, szepczącym mi swoje głęboko intymne zwierzenia. Piliśmy calvados i dowiedziałem się zaraz na początku rozmowy, że starzec umarł przed dwoma laty, dnia 17 stycznia 1962 roku, mając lat czterdzieści cztery, i został pochowany w Chantilly, na tamtejszym cmentarzu.

Domek gubernatora jej właśnie przypadł w udziale tytułem dziedziczenia, chociaż miała niemało korowodów ze swoim przyrodnym rodzeństwem, naturalnym potomstwem gubernatora, bo było tego mrowie, wielu na przykład – mówiła – panów dosyć wiekowych, piastujących odpowiedzialne stanowiska w rządach i administracji różnych młodych republik krajów dawnej Francuskiej Afryki Równikowej (przede wszystkim Republika Środkowoafrykańska ze stolicą w Ubangi, gdzie gubernator rezydował przez lata, i Republika Czadu, znalazł się ktoś w Gabonie i w Kongo-Brazzaville), zgłosił się także pisemnie do reagenta urzędujący wicepremier Republiki Południowego Wietnamu (był to jeszcze podówczas okres reżymu Diema). Ale wygrała sprawę, gdyż ona jedna była przez swego ojca oficjalnie uznana, nosiła jego nazwisko wraz z tytułem, nie zdołała jedynie wejść w prawa do mieszkania przy rue Haute-feuille, zajętego obecnie przez pełnomocników legalnej żony gubernatora, z domu de Terre-noire, staruszki żyjącej od wielu dziesięcioleci w zupełnej z nim separacji, ale rozvodu nie mieli. Wygrała także – z trudem – nieco środków pieniężnych, które w tych dniach dopiero zostaną odblokowane, decyzja drugiej instancji jest już uprawomocniona.

Przed dwoma miesiącami, po ogłoszeniu wyroku apelacji w procesie o pieniądze przeciwko starej baronowej Hachan de Vardelain, Guevenou rzuciła posadę w „Folies Bergère”, gdzie występowała jeszcze w bieżącym programie „Folies en Fêtes”, grając już główną rolę w obrazie „La Cage aux fauves”, od tej chwili miała całkiem inne zamiary: rozsunęła przede mną plany stworzenia zespołu tanecznego pod nazwą „Compagnie de la Danse Folklorique d’Afrique Noire” (albo coś w tym rodzaju). Mogłem więc zostać świadkiem narodzin ciekawego zespołu i po niecałej godzinie szczegółowej rozmowy tak byłem jej projektami zafascynowany (bo chciała – w perspektywie – połączyć doświadczenia baletu Mary Wigman z tradycją tańca ludowego Dahomeju), że wstałem od stolika prawie oszołomiony, sądzę, że wiele tu dokonała magią swojej osoby, gdyż w pewnej chwili naszła mnie fala dokładnych wspomnień rozmów z gubernatorem przy tym właśnie stoliku, chodziło o tajne uroki kobiet mających czarną skórę. I wtedy się zaczęło! Opuściłem się w pracy, nawet nie zajrzałem do Bibliothèque Nationale, lecz już o niczym poza osobą Guevenou w tym czasie nie myślałem.

Ile trzeba zachodu, by stworzyć w Paryżu odpowiedzialną trupę tańca artystycznego i doprowadzić do chwili, kiedy już można zarejestrować ją w ministerstwie kultury, jak to się u nich nazywa, „comme compagnie” (jako zespół), o tym dobrze wówczas się dowiedziałem. Guevenou wynajęła, aby mieć jakąś siedzibę w centrum Dzielnicy Łacińskiej, ogromną dawną bawialnię w starym domu z epoki Ludwika XV; historyczny pałacyk poprzerałbiano najprzedziwniej na świecie, bo do tego salonu, stanowiącego sam w sobie oddzielny apartament, wchodziło się wprost ze schodów, nie było osobnej ubikacji, a jedynie muszla klozetowa ukryta w dużej szafie przy samych drzwiach wejściowych, gdzie mieścił się także zlewik mikroskopijnych rozmiarów. Pokoisko to miało ogromny kominek marmurowy z lustrem w złotych ramach, okna wysokie i wąskie po obu stronach ściany, było jednocześnie dostatecznie przestronne, aby prowadzić tu próby; pod nim, na pierwszym piętrze, mieściła się szczęśliwie jakaś składnica papieru czy opakowań, co wykluczało skargi na głośnie tupanie. Początkowo siadywałem tu w palcie przy telefonie (od okien z mnóstwem nieszczelnych szyb wiało), bo Guevenou dawała ogłoszenia w „Le Figaro”, sama biegając po istniejących zespołach baletowych, starając się angażować przyszłych członków swej trupy, co przychodziło jej z trudem, bo w Paryżu, wbrew pozorom, nie jest bynajmniej łatwo o Murzynów tancerzy. Ściągnęła jedynie dwóch Mulatów, pierwszego z Gujany, drugiego z Wenezueli, lecz na tym się skończyło i musiała doangażować białych. Ja sam poleciłem jej pewną tancerkę z Warszawy, moją znajomą przebywającą czasowo we Francji u rodziny, Delianę Hańczykównę, młodą jeszcze dziewczynę marzącą o karierze, przyprowadziłem ją kiedyś na rue de la Harpe i Guevenou chętnie na nią przystała.

W tym czasie jeździliśmy codziennie wieczorami do Chantilly (niecała godzina drogi nowym wozem sportowym florida), dokąd spadkobierczyni przeniosła się od jesieni na stałe;

domek gubernatora znalazłem cokolwiek przerobiony, wstawiła do trzech pokoi elektryczne kaloryfery, lecz przede wszystkim powyrzucała półki i rozwiesiła na ścianach prześliczne tkaniny ściągnięte z Dahomeju: ludowe, barwne materie z naszywanymi wizerunkami zwierząt takich jak słonie, hipopotamy czy może nosorożce (bo wszystko zdeformowane prymitywnym spojrzeniem), wśród tego figurki ludzi w pozycji poziomej, zawsze z rozkrzyżowanymi rękami, tu i ówdzie geometryczne łuki, symbole polowania, wyobrażenia pytona oraz ogromny pajak. Kolekcję masek murzyńskich o policzkach znaczonej trzema pionowymi cięciami Guevenou poumieszczała całkiem niesymetrycznie w różnych punktach salonu, zgodnie z poczuciem rytmu może cokolwiek obcym Europejczykowi, za to całe wnętrze pulsowało Afryką. Tylko w pokoju sypialnym, naprzeciw naszego łóżka, ów duży obraz przedstawiający Murzynkę zmysłowo wykręconą, z zadartą do góry głową i dużymi piersiami, przypominał mi zawsze starego gubernatora i jego opowiadania, bo nawet popiersie z brązu, które dzwigałem z trudem owej marcowej niedzieli 1958 roku, dopiero po dłuższym czasie odkryłem zakurzone, wstawione do garażu.

Nie będę już opisywał, czego w tym łóżku zaznałem, może to zrobię doszedłszy sędziwego wieku gubernatora, bo wtedy człowiek bardziej przed ludźmi się obnaża, nie dbając o pozory. Guevenou miała dość duże wymagania: wiedząc, że jestem człowiekiem pióra, kazała mi opracować szczegółowy scenariusz spektaklu, chciała nim podbić Paryż. Robiła mi więc po nocach długie wykłady z historii Dahomeju, żebym to później powiązał w jakąś sensowną całość baletową. Po pięciu dniach takich rozmów ostro wziąłem się do pisania i nawet tygodniami nie pokazywałem się w ogóle w Paryżu ani też w moim wynajętym pokoju na rue Lauriston (w ośrodku Akademii), pomimo że za niego płaciłem, odtąd Guevenou sama jeździła co rano do Paryża swoją czerwoną floridą, mozolnie powiększała zespół, kierując ćwiczeniami baletu w salce przy ulicy de la Harpe, a wieczorami wracała do Chantilly.

Od początku myślałem, aby wyeksponować właśnie elementy historii tego kraju i na niej oprzeć konstrukcję widowiska. Miałem tu na uwadze dzieje walk królestwa Abomeju (w osiemnastym stuleciu) z plemionami północy oraz przeciw królestwu Porto Novo, które robiło podówczas wyprawy w głąb kraju po niewolników, aby ich później sprzedawać francuskim handlarzom zajmującym się stałym transportem czarnej siły roboczej do krajów Ameryki (Abomej zwyciężył konkurentów i odtąd sam sprzedawał niewolników Francuzom). Można tu było przy tej okazji pokazać prastare plemienne tańce obrzędowe, zarówno jednej strony, wyłapywanych plemion północy, jak i zwycięzców z Abomeju. Guevenou chciała rozpocząć spektakl od tańca niosących wodę, bo jest to jakby parada, lecz tylko samych kobiet (odwrócona kolejność „Parade de Folies” z „Folies Bergère”, będąca tu świadomym przeciwstawieniem), które – gdzieś z buszu odległej okolicy – udają się ze śpiewami, wśród pełnej wdzięku pustoty, swawoli i zbytkowania, do odległych nieraz o wiele kilometrów źródeł wody. Tak byłyby pokazane najpierw czasy pokoju. Następnie zaproponowałem uzupełnić ten obraz tańcami rolników szczepu Assassa z okolicy Dompago (już z głębi Dahomeju, tuż przy granicy z Togo), jest on tam wykonywany raz do roku, zazwyczaj na przełomie czerwca i lipca, aby udały się żniwa. Teoretycznie byłiby tu potrzebni dwudziestoletni chłopcy niosący rogi nyali (*Tragelaphus buxtoni*) zabitej przez ich ojców i stryjów (symbol zręczności w łowach i myśliwskiej chwały), a do tego młodziutkie dziewczęta, nawet dziesięcioletnie, i to zupełnie nagie, co oczywiście mogło przejść na scenie gdzieś w Porto Novo, ale w Paryżu należało wynaleźć odmienne rozwiązanie; dziewczątka te uderzają rytmicznie dużymi talerzami plecionymi ze słomy.

Spektakl naszego zespołu przewidywał następnie taniec fetyszów – czarowników wykonujących w klasztorze skomplikowaną ceremonię animistyczną (pewien rodzaj wcielenia-opętania). Były do niego potrzebne ogromne święte tambury, które – według fotografii – Guevenou zamówiła w pracowni rekwizytów „Folies Bergère” (bo innych potrzebnych tamburów oraz rogów mieliśmy pod dostatkiem w zbiorach po gubernatorze). Pojechałem z nią

razem i znów – po pięciu latach – odwiedziłem tak dobrze znany mi barek, nawet madame Martine mnie poznała i nie proszona podała dla żartu butelkę piwa Slavia (pokrytą skroploną parą) z kluczykiem do otwierania kapsla, sam go jak dawniej podważyłem, nie było jednak czasu na dłuższe wysiadywanie. Poszliśmy zaraz do pracowni rekwizytów: miały to być dwa ogromne tambury (zwane „sato affame”) o kształcie wysokiej beczki, wyższe od człowieka, z wyraźnym wyobrażeniem symbolów seksualnych, jeden bowiem reprezentował mężczyznę, a drugi kobietę, do tego kazała im zrobić osiem zakrzywionych pałeczek (coś na kształt bumerangów), nazywanych w Dahomeju „aguidahs”; pałeczki te trzymają podczas obrzędu czarownicy dłońmi wzniesionymi wysoko nad głowami i właśnie dzięki owemu zakrzywieniu mogą oni uderzać w głuchą skórę tamburu: robią to najpierw powoli, wydobywając pojedyncze dudnienia, ale wnet przyśpieszają i tworzy się z szybkich uderzeń cała przedziwna orkiestra o przejmujących, głębokich, zróżnicowanych tonach. Przywołują w ten sposób duchy pomarłych dawno przodków, mężczyzn i kobiet (stąd właśnie dwa tambury z symbolami), a wówczas rozpoczyna się rola fetysza-prowodyra: dokonuje on wcielenia-opętania. W klasztorach animistycznych Dahomeju jest to zarazem działanie mistyczne i magiczne, polega bowiem na przeistoczeniu się fetysza-prowodyra w zupełnie inną postać przez porzucenie własnej i poddanie się rytmowi życia nowej, boskiej postaci, w którą się wciela. Główny więc aktor tańca, jaki chcieliśmy zaprezentować przy głuchych odgłosach obu naszych tamburów, musiałby także pozbyć się własnej postaci wcielając się w bóstwo Gu (żelaza i wojny).

Wynikło pytanie, kogo by najlepiej obsadzić w roli owego fetysza-prowodyra, na dobrą sprawę musiałby to być mężczyzna, a Guevenou jak dotąd nikogo odpowiedniego nie zaangażowała, pisałem, że wbrew pozorom nie jest łatwo w Paryżu o Murzynów tancerzy. Mulat z Gujany, Francisco Santa Cruz, był jeszcze słaby, Guevenou poważnie się też wahała, czy drugi, Wenezuelczyk, Alfonso Rodriguez, okaże się odpowiedni do tak poważnej roli, na pewno chętny, ale nie dosyć wyszkolony. Podsunąłem jej wtedy (najniefortunniej w świecie – potem się okazało) moją protegowaną Delianę Hańczykową, tancerkę bardzo zdolną, o męskiej budowie ciała i prawie męskiej twarzy, co właśnie jej utrudniało jakiś start poważniejszy w klasycznych formach baletu, np. w roli Odetty-Odylii, a byt to talent naprawdę na tę miarę.

Nareszcie tańce ludów Bariba z Paraku, Nikki, N'Dali (przy granicy z Nigerią), tu Guevenou zastrzegła sobie rolę, bowiem jej matka była z tego plemienia (stąd jej dawny pseudonim w „Folies Bergère”, który zresztą obecnie zarzuciła), nie będę już ich omawiał szczegółowo, to tylko powiem, że są ujęte w kształt życzeń składanych nowo wybranemu wodzowi.

Opisuję to wszystko bynajmniej nie dlatego, aby się tutaj chwalić, lecz ja naprawdę tych tańców nigdy jeszcze podówczas nie oglądałem, a układałem scenariusz wiele pracując wyobraźnią, choć jakieś drobne fragmenty poszczególnych numerów Guevenou mi pokazywała, tańcząc jak zwykle w najprzystrojnieszym z używanych pokojów, dawnym salonie gubernatora, robiła to – zresztą półnaga – na tle jaskrawych tkanin i wytrzeszczonych masek w półmroku nocy, najchętniej zapalając przedtem jedną zwyczajną świeczkę w lichtarzu.

Zakończenie już sama Guevenou obmyśliła, przychodząc z gotowym planem odtańczenia fragmentów baletu dworskiego księcia Aho, w Dahomeju zastrzeżony jest on wyłącznie dla księżniczek, to znaczy mają go prawo tańczyć córki panującego, bo nawet nie wszystkie żony: spośród nich te jedynie, które także pochodzą w linii prostej od króla Gle-Gle (imię to nic nam nie mówi, lecz był to, jak mi się zdaje, władca na miarę jakiegoś Kazimierza Wielkiego), dlatego parokrotnie Guevenou przestrzegałem, by się nie narażała na protest ambasady Dahomeju, bowiem „baletu księżniczek” nikt z zewnątrz oprócz samego księcia Aho i jego najbliższych krewnych (do tego poza królewskim klepiskiem „ta-ta”) nie widuje w ogóle. Guevenou miała na to przygotowany argument, że sama jest córką barona cesarstwa Francji, do tego gubernatora takich połaci Afryki, wielkości niemalże Europy, o jakich nawet nie śniło się żadnemu królowi Gle-Gle.



Balet ten jest symbolicznym rodzajem mimodramu, a pierwszy jego fragment nazywał się „Ewoni” (w dokładnym przekładzie: „Skończone”), wyrażając triumf pokoju nad żywiołem wojny: po zwycięstwie orężnym tancerki zwracają się do zeszyłych od dawna przodków, by im błogosławili, gdy będą słać władcę śpiewając: „Nutohué Huénumi” („Ja Jestem Twoją Rzeczą”). Fragment drugi, „Nutekin” (dokładnie: „Wycięcie Wrzodu”): wrogowie są co prawda zwyciężeni, ale zostali jeńcy, tancerki proszą króla, aby nie miał litości, a potem wyrażają mimiką głęboką radość z powodu ich skazania przez władcę na śmierć, trzykrotnie się upewniają, tratując nogami trupy, czy który nie został żywy, król zaś (tu fragment trzeci, „Gudzenagbo”, dosłownie – „Miecz Sam Odcina”) podchodzi do wodza wrogów rozciągniętego na ziemi, kładzie mu stopę na twarzy i odrąbuje głowę. Ja zaproponowałem, by tę scenę rozszerzyć niewielką pantomimą związaną z podaniem o genezie samej nazwy „Dahomej”. Otóż król Tacodonon (w siedemnastym stuleciu) walczył z kacykiem innego plemienia – Danem, któremu po triumfie zamierzał wyrwać żołądek, cel bodajże osiągnął i nazwał swe państwo Dan-Homej (Żołądek Dana), co się później przyjęło. Rola monarchy-zwycięzcy mogłaby w tym wypadku być śmiało powierzona Mulatowi z Gujany, Francisco Santa Cruz, a jako miecz-rekwizyt mogłaby być użyta – wedle mego projektu – owa pamiątkowa maczeta zdobyta ciągle pokoik położony od południowej strony, którą robił przesieki w dżungli sam Pierre de Brazza, lecz Guevenou nie była w tej sprawie zdecydowana, twierdząc, że raczej potrzeba tu miecza, i ostatecznie jatagan pozostał na ścianie jadalni w Chantilly, tuż pod portretem wielkiego kolonizatora.

Zamykaliśmy spektakl w rytmach żywych, wesołych, frenetycznym wiwatem całego zespołu na cześć zwycięzcy – króla noszonego w hamaku „na majestacie” tam i na powrót po scenie, wzorując się tu na tańcu zwanym „Kalekedze” lub „Hungan”, w kulminacyjnym momencie uniesienia spadać miała kurtyna.

Scenariusz był skończony i wtedy rozpoczęliśmy precyzyjniejsze próby w salonie przy rue de la Harpe, ale ciągle mieliśmy niewiele czarnoskórych tancerek, prócz Guevenou kilka zaledwie dziewczyn, i nawet nie z Afryki, lecz jakaś zbieranina z Haiti i z Antylów (dwie były z Martyniki, a reszta Mulatki z Gwadelupy), tańczyły nie najgorzej, wszystko jednakże zupełnie młode siły, bo któraż renomowana baletnica przejdzie do formującego się dopiero zespołu z przyszłością niewiadomą, na ich tle moja protegowana Deliana Hańczykówna wypadła jak gwiazda, przed kilku laty wybijający się młody talent warszawskiej szkoły baletowej (przy Operze).

Guevenou po paru tygodniach bezustannego biegania (i to z mizernym skutkiem), aby znaleźć tancerzy, stała się nie do zniesienia, bo jasno już widziała, że jej projekty realizują się z wielkimi oporami, otumaniona była myślą jedną i uporczywą: „Écoute, je te dis, j'ai besoin de nègres” – słyszałem dniem i nocą, gdy zrywała się z szerokiego łoża gubernatora, chodziła po pokoju i myślała. Aż wreszcie któregoś dnia podsunąłem jej projekt, wychodząc z założenia, że ma na pewno w Dahomeju rodzinę, niech więc ją tu sprowadzi. Burknęła najsampierw w odpowiedzi, że jestem idiotą, ile by to kosztowało, ale przecież zabiłem jej w głowę świeca, poczęła od razu kalkulować i przyłapałem ją jeszcze tego samego dnia, nad wieczorem, kiedy pisała kolumny cyfr na papierze pod nagłówkami: „Porto Novo”, „Paris”, „par bateau”, „par avion”, co notabene szybko przede mną schowała, ale przecież nazajutrz, gdy przyjechała z miasta, pocałowała mnie mówiąc: „Wiesz, miałaś rację z tą moją zakichaną rodziną, widzę, że to nas uratuje”. Powysyłała od ręki listy i depesze, towarzyszyłem jej w biurze „Air France”, gdzie zamawiała bilety lotnicze z Porto Novo przez Dakar dla jedenastu osób, mogliśmy ich się spodziewać lada tydzień.

W tym czasie zaszło niespodziewane i przykre wydarzenie. Aby je właściwie pojąć, należy sobie powiedzieć, że Guevenou, niezwykle wymagająca (także w stosunku do siebie), bezwzględna i surowa, potrafiła pracować na próbach po dziesięć godzin dziennie, a często nawet dłużej (sama się zresztą świetnie przez cały czas trzymała), doprowadzając tancerki do skraj

wyczerpania, ale za to istotnie wiele je nauczyła w dosyć krótkim okresie. To, o czym chcę opowiedzieć, stało się nieoczekiwanie mniej więcej po tygodniu od chwili, gdy wynajętą tak-sówką bagażową udaliśmy się znowu do gmachu „Folies Bergère”, każąc wjechać kierowcy w podwórze poprzez żelazną bramę domu przy rue Saulnier 8, odebraliśmy oba tambury „sato”, zrobione jak najdokładniej wedle zdjęć pierwowzorów: symbole seksualne (mężczyzny i kobiety) przymocowano właściwie i tylko jeszcze wstąpiliśmy naprędce do naszej madame Martine, by wypić piwo Slavia, samiśmy je nalali do dwóch firmowych szklaneczek z butelki pokrytej jak zwykle małymi kropelkami, ale tym razem łykałem płyn haustami, bo Guevenou poganiała.

Natychmiast po przywiezieniu rekwizytów na rue de la Harpe Guevenou rozpoczęła sama dokładnie wypróbowywać barwę tonu tych dwóch ogromnych, cylindrycznych tamburów, bardzo wysokich, bo miały metr dziewięćdziesiąt (przy średnicy około 80 cm), kazała sobie pomagać i bębniłymi oboje zakrzywionymi pałeczkami „aguidahs” przez dobre trzy godziny zajmując się najpierw barwą tamburu męskiego (z jednym symbolem), a potem waląc w głuchą skórę tamburu kobiecego, podczas gdy nasze dziewczęta pracowały. Od tego czasu codziennie ćwiczyłem się w bębnieniu i mogę sobie powiedzieć, że pod kierunkiem Guevenou udało mi się osiągnąć pewien stopień perfekcji (choć na pewno daleki od mistrzostwa Murzynów), a mimo że mnie to bardzo męczyło (trzyma się pałki „aguidahs” przez cały czas nad głową i w ścięgnach odczuwa się później silne bóle), to jednakże dawało od wewnątrz jakąś rzetelną, pierwotną satysfakcję.

I wtedy stało się nieszczęście z Delianą, bo muszę dodać, że Guevenou już od dłuższego czasu kazała się jej codziennie smarować silnym roztworem nadmanganianu potasu (calihipermanganicum), by ściemniała jej skóra, a teraz, gdy w takt obu tamburów znaczonych tak wyraźnie symbolami męskimi i żeńskimi po cztery, pięć razy na dzień musiała udawać wcielenie-opętanie, to znaczy przeistoczenie w zupełnie inną postać przez pozbycie się własnej i jednocześnie poddanie się rytmowi życia Gu, bóstwa żelaza i wojny, tak ją to wyczerpywało nerwowo, że aż mi żal było patrzeć na tę silną dziewczynę; parokrotnie prosiłem Guevenou, aby te męczące próby na jakiś czas przerwała, ale ona nie była z tego gatunku ludzi, którzy na coś zważają twardo idąc do celu.

Tutaj się przeliczyła, bo gdy któregoś rana stanąłem – pamiętam – przy bębnie z męskim symbolem i uderzyłem pałkami „aguidahs” w dobrze napiętą skórę, Deliana zaczęła najpierw wcielać się jak potrzeba, ale po chwili zupełnie nieoczekiwanie podbiegła do kominka z lustrem, gdzie widać dostrzegła żyletkę leżącą na parapecie z marmuru, i patrząc zdziwiałym wzrokiem (oczy jej wyszły z orbit) w swoje ciemne odbicie przecięła sześciorami błyskawicznymi ruchami skórę na obu policzkach, trzykrotnie z każdej strony, tak samo, jak miały poprzecinane maski gubernatora rozwieszane obecnie w salonie Guevenou (lecz ja dobrze wiedziałem, że owe szramy, zwane w Afryce „balafri”, Murzyni robią sobie poprzez nacięcie skóry specjalnym rodzajem trawy rosnącej w buszu, a mającej tę właściwość, że pozostawia bardzo szeroką bliznę uważaną za upiększenie twarzy, ale bywają one również jakimś medyczo-magicznym zaklęciem przeciw chorobom).

Natychmiast przerwałem bębnienie, dopadłszy do Deliany wykręciłem jej rękę i żyletka upadła na podłogę, ale było za późno, już cała zakrwawiona krzyczała po francusku: „Je suis une négresse”, ja do niej w rodzinnym naszym języku: „Deliana! Co ty wyrabiasz! Chyba nie zwariowałaś!”, trząłem ją za ramiona, lecz ona powtarzała: „Je suis une négresse”, dziki zupełnie człowiek, wyrwała mi się, chociaż silnie ją przytrzymałem, i tańczyła samotnie swój balet opętania, wydając dziwne odgłosy z głębi trzewi, zdawało się nam wszystkim, że jest teraz naprawdę wcieleniem demona.

Guevenou zawezwała telefonicznie karetkę pogotowia, uspokoili Delianę dopiero dwaj silni pielęgniarze z kaftanem bezpieczeństwa, gonili ją jakiś czas po salonie, zanim się im podała, zawieźli ją od razu do specjalnego zakładu w Charenton pod Paryżem, gdzie po specjal-

nej trzytygodniowej kuracji largactilem i silnymi wstrząsami przyszła jakoś do siebie, ale mowy nie było, by mogła potem wrócić do zespołu. Ja osobiście miałem poważne nieprzyjemności z pp. Hańczykami, stryjostwem Deliany, oni ją zaprosili do Francji niby się opiekując, było to trudne w praktyce, mieszkali w okręgu Lilie, a ona w Paryżu. Oboje zjawili się u nas na rue de la Harpe, grożąc nawet policją i sprawą sądową mnie oraz Guevenou, która się obroniła pewną sumą pieniężną, bo w taki sposób zgodzili się ostatecznie przejść nad tym do porządku dziennego; ja zaś ze swojej strony dowiedziałem się od nich w rozmowie rzeczy dosyć ciekawej, która mi wiele wyjaśniła z całej sprawy Deliany: otóż jej matka nazywała się z domu Niemużynówna (to znaczy dziad macierzysty nosił nazwisko Niemużyn), musiały się z tym wiązać jakieś dosyć złożone kompleksy czy kompensacje, które wyjaśniłby może dobry psychoanalityk. Po tym zdarzeniu stosunki między mną a Guevenou ochłodziły na tyle, że z powrotem zamieszkałem na rue Lauriston (w ośrodku Akademii), a chociaż przychodziłem przed śniadaniem na próby, popołudniami zacząłem już pracować nad swoimi rzeczami.

Zbliżał się początek maja i wreszcie oczekiwani goście z Dahomeju przylecieli. Witaliśmy ich na dworcu lotniczym Orly: w pierwszej chwili przeraziłem się nieco ich widokiem, bo byli to ludzie jeszcze z błyskami dzikości w twarzach; stara Murzynka, która się okazała matką Guevenou, miała przy sobie dwie córki (ale poczęte z Murzynów, nie były Mulatkami), jakieś cioteczne siostry, nie mogłem dokładnie dociec pokrewieństwa, i tak nie miało to większego znaczenia, młode i zgrabne dziewczyny o bardzo kręconych włosach, zupełnie płaskich twarzach i grubych wargach, ale, co najważniejsze, przyleciało wraz z nimi czterech roślących, wspaniale zbudowanych Murzynów. Wieźliśmy ich do Chantilly, nie przystając w Paryżu, i tam Guevenou ulokowała ich wszystkich (włączając w to własną matkę!) po prostu w garażu, dowodząc mi, że jego twardo ubita ziemia najbardziej im będzie przypominać klepisko rodzinnego szalasu gdzieś w stronach Porto Novo; to właśnie wtedy, wyporządkując przed ich przyjazdem garaż, odkryłem w nim zakurzone popiersie gubernatora.

Odtąd z powrotem zamieszkałem w Chantilly, gdzie Guevenou od razu zagnała przyjezdnych do pracy: kuzynki od rana sprzątały wszystkie pokoje, gotowały jedzenie (kuchnia oparta na tapiocie i – w teorii – batatach, zastępowanych ziemniakami), a po południu wozilem całą czeredę do Paryża na próby i wtedy dopiero przydało mi się moje międzynarodowe prawo jazdy, w Polsce nawet myśleć nie mogę o samochodzie, a jednak wyrobiłem je sobie przed wyjazdem, mając bliżej nieokreśloną nadzieję, na rogu Wilczej i Kruczej za sto złotych. Guevenou kupiła specjalnie do tego celu niedużą, używaną półciężarówkę, citroën 2CV, i kazała dorobić drewniane ławeczki ze zwykłych desek, aby kuzyni mieli w niej na czym siedzieć (stłoczeni zresztą jak śledzie). Ale za to fenomenalnie tańczyli! Matka, stara Murzynka, wspaniale się nadawała do roli czarownicy (w tańcach szczepu Bariba z Nikki oraz N'Dali), a po Delianie objął rolę opętanego młodzieńca M'Poni M'Békan (kuzyn) i muszę przyznać, że robił to jeszcze lepiej niż moja protegowana. Drugi, Worubi Uolo, zastąpił mnie przy tamburze.

Było trochę kłopotu z innymi sprawami: na przykład nie mogliśmy zupełnie większości z nich oduczyć chodzenia na czworakach po schodach i zawsze w taki sposób pokonywali dwa piętra dość stromej klatki domu przy ulicy de la Harpe, co byłoby już mniejsza, jeśli się zważy, że te osoby nie chciały za nic korzystać z urządzeń higienicznych (ukrytych w szafie tuż obok drzwi wejściowych), a tylko przysiadły po kątach dużej sali. Ale, w późniejszym okresie, znakomicie dawali sobie znów radę z niewielką pochyłością na scenie, a także, co ważniejsza, nie przeżywali tremy.

Okazało się także od razu na pierwszej próbie, że mają we krwi taniec z rodzaju „somba”, któryśmy po ich przyjeździe wstawili nadprogramowo. Pochodzi on zasadniczo z okolic Natitingou (w pobliżu Górnej Wolty), gdzie zamieszkuje spokojne plemię Betamadibów i ludzie szczepu Yowabu. Ci ostatni, nastawieni od wieków wojowniczo, stworzyli taniec gwałtowny i burzliwy, stanowił on silny akcent wizualny w naszym projektowanym przedstawieniu, bo-

wiem uczestnicy nakładają na głowy ogromne pióropusze zdobione kawałkami potłuczonych lusterek, wstrząsają raz po raz głowami, pozostając bez przerwy na ugiętych kolanach. Dzisiaj wykonywany jest w całym Dahomeju podczas świąt obrzezania, przejścia chłopca w wiek męski, co – regionami – związane jest z tak popularną w krajach Afryki Środkowej próbą, która polega na wypędzeniu nagiego chłopca w dżunglę albo do buszu (z zawieszonym na szyi amuletem „grigri”, kupionym u czarownika), aby sam sobie radził przez okres mniej więcej miesiąca, a gdy wróci, jest pełnoprawnym mężczyzną, co prawda połowa nie wraca: albo umiera, albo zostaje zjedzona przez zwierzęta czy zaduszona przez węże (naturalna selekcja elementu słabego, niezdolnego do życia w prymitywie), ale – jak mi opowiadał pewien murzyński student z Republiki Czadu – zabronił tego u siebie jak najsurowiej prezydent jego kraju, François Tombalbaye.

Myliłby się ten, kto by przypuszczał, że moje wspólne życie pod jednym dachem z taką wielką ilością Murzynów przebiegało bez wstrząsów: Guevenou bezustannie uważała, aby nie doszło między mną a jej przyrodnimi siostrami i kuzynkami do najmniejszego zbliżenia, przecież nie były jej tajne moje szczególnego rodzaju zainteresowania czarnymi kobietami, rozbudzone niezdrowymi opowieściami jej ojca-gubernatora, i wszystko układało się dobrze, dopóki nie było na moim horyzoncie Murzynek stuprocentowych, teraz zaczęła podejrzewać, że dlatego tylko podsunąłem jej myśl sprowadzenia rodziny z Dahomeju, aby sobie założyć – wzorem jej ojca – harem, szybko zauważyłem, że ta przecież tak pewna siebie osoba od czasu przyjazdu krewnych czuje przy naszych kontaktach jakieś zażenowanie (znów – jak wtedy przy Delianie – pomogłaby to wyjaśnić rozsądna psychoanaliza), fakt, że jest tylko Mulatką, teraz dopiero nie dawał jej spokoju, bo jeśli o mnie chodzi, to od samego początku coś mi się wydawało (mając w pamięci, co mówił gubernator), że Guevenou pod tym względem podobna jest raczej do swoich babek rasy białej.

Wszakże postawiła na swoim, bo nawet w dniu premiery, kiedy wszyscyśmy się już w domu popili i Guevenou leżała na łożu cichutko pojękując (bo już nie była w stanie ustać na nogach i często wymiotowała do miednicy), a ja mógłbym tymczasem nietrudno dopiąć swego, to jednak się zawahałem krążąc koło garażu i mając wówczas jak nigdy tę zmysłową świadomość, że jest on zapełniony czarnymi kobietami zupełnie pijanymi, śpiącymi w ciemnościach gdzieś dokoła brązowego popiersia gubernatora, trwało to chyba z pół godziny i w końcu, nie wiem dlaczego, wróciłem do pokoju.

Ale nie powiedziałem dotychczas o samej premierze. Otóż najpierw (ja w roli impresaria) wynajęliśmy dużą salę na okres dwóch tygodni, korzystając z nieobecności w Paryżu stałego zespołu teatru Montparnasse-Gaston-Baty, a jeszcze dziesięć dni przedtem Guevenou zaprosiła pewnego popołudnia do sali tegoż teatru tak zwany tout Paris, to znaczy około tysiąca osób, na konferencję prasową, której pretekstem był chrzest (baptême) obu naszych seksualnych tamburów, tak właśnie wydrukowała na zaproszeniu: „Compagnie de la Danse Folklorique d’Afrique Centrale prient M..... d’assister au Baptême du Tambour «Sâto Male» et du Tambour «Sâto Female», qui aura lieu le mardi, 13 mai 1964, de 17 h. à 19 heures, au Théâtre Montparnasse-Gaston-Baty, 31 rue de la Gaité, Paris”, a potem odbył się cocktail między bębniarzami na scenie. Z tysiąca zaproszonych przyszło ze dwieście osób, spostrzegłem w trzecim rzędzie na sali samego Franciszka Mauriaca (choć, gdyby to się działo jakieś piętnaście lat temu, spodziewałbym się raczej Andrzeja Gide’a, autora *Voyage au Congo* i *Le retour du Tschad*), ale wyszedł przed końcem ceremonii i nie był na cocktailu, przypuszczam, że go ów chrzest zainteresował, lecz było to jedynie tak nazwane, oba bowiem tambury ochrzczono w rytuale dahomejskiego boga Dan Bada Hvedo, polegało to wszystko na jakichś zaklinaniach.

Premiera była niezwykle udana, a na widowni, jak potem się okazało, siedział Wielki Reformator nowoczesnego baletu, sam prowadzący zespół najsławniejszy dziś bodaj w Europie, powiedzmy sobie tutaj, że był to dajmy na to ktoś o pozycji Serge’a Lifara czy markiza de Cuevas (ten ostatni zmarł przed kilkoma laty): miarą naszego sukcesu (naszego, bo w jakimś

stopniu byłem też współautorem) stała się poważna propozycja zrobiona przez niego od razu za kulisami, przy lampce Martela. Pracował on w tym czasie nad skonstruowaniem ogromnego widowiska baletowego poświęconego miłości między wszystkimi rasami i narodami (pod patronatem UNESCO oraz przy poparciu finansowym Organizacji Narodów Zjednoczonych), trupie tancerzy Dahomeju przeznaczał udział mający w całości tego spektaklu bardzo istotne znaczenie, a samej Guevenou zaproponował centralną rolę Mulatki-Symbolu jednoczącego obie rasy, czarną i białą. Nietrudno zgadnąć, że Guevenou na wszystko od razu przystała, w ten sposób spełniały się jej najtajniejsze ambicje zawodowe, których tak nagle urzeczywistnienie pozwalało jej teraz zupełnie łatwo zrezygnować z własnego zespołu, bo był to przecież punkt wyjścia ku karierze światowej i właśnie taki obrót wydarzeń stał się powodem naszego nieprzytomnego pijaństwa w Chantilly po powrocie do domu.

Daliśmy jeszcze dwanaście zaplanowanych widowisk, potem kończyłem rozrachunki z administracją Montparnasse-Gaston-Baty, przywożąc jednocześnie co rano moich Murzynów (ciągle tym samym Citroënem) na próby do sali Alhambry, gdzie Wielki Reformator montował swój spektakl-gigant. Premiera odbyła się jeszcze w czerwcu, przed końcem sezonu, i odtąd przyjeżdżaliśmy tylko wieczorem na przedstawienia.

Muszę wreszcie napomknąć o zakupach żywności, będzie to potem miało wcale niemałe znaczenie. Otóż po pierwszym tygodniu doświadczeń z kuchnią na modłę Dahomeju Guevenou mi powiedziała, że to za drogo kosztuje (kupowałem, oprócz tapioki i ziemniaków, całe kilogramy bananów do smażenia), zadysponowała, aby zupełnie oddzielić sprawy naszych posiłków od problemów karmienia mieszkańców garażu, i to wedle modelu zbliżonego do znanego mi z dawnych czasów schematu osobnych kuchni dla państwa i czeladzi po polskich dworach, z tym że młode kuzynki codziennie – po dwie – na zmianę będą nam gotowały i wtedy dostaną lepiej (jeśli chodzi o sprzątanie pokoi, Guevenou nie przewidywała, aby miało być ono w ten sposób premiuwane). Dla reszty Murzynów kupowałem odtąd wedle jej rozporządzenia najtańsze puszki konserw rybnych i mięsnych (rzadziej), od czasu do czasu flaki, zapasy ryżu, co do owoców dała mi wolną rękę, ale już na to z wydzielonego funduszu pieniężnego zwykle nie wystarczało. Wstawiliśmy im do garażu małą, dwupalnikową kuchenkę na gaz stężony (były całe historie, zanim się nauczyły, jak trzeba ją uruchomić) i zmienialiśmy tylko co pewien czas butle butanu, wszystko po to, aby dziewczyny nie kręciły się po kuchni w suterenie.

Z początku kilka razy Murzyni protestowali, dochodziło do buntów i krzyków, w których matka Guevenou przodowała, a inni – też bardzo głośno – wtórowali, nic z tego nie rozumiałem, bo wrzeszczeli narzeczem z okolic Porto Novo, lecz ostatecznie Guevenou zawsze ich uspokajała, strasząc – jak mi mówiła – najsampierw bogiem Mahu, a w poważniejszym wypadku – bo i taki miał miejsce – bogiem Dan Bada Hwedo (przybiera on postać węża – pytona dusiciela), wtedy dość szybko wszystko wracało do stanu normalnego.

Trwałby on może nawet do dzisiaj (Guevenou przemyśliwała nad tym, aby na zimę zainstalować w garażu jakieś najtańsze ogrzewanie), gdyby nie poczynania sąsiadki, tej samej pani Mordieu, którą poznałem w roku 1958, przywożąc do Chantilly popiersie gubernatora oraz jego samego. Ta kobieta, jak pewno pamiętamy, karmiła go i doglądała, kiedy przyjeżdżał na lato, przechowywała klucze, spełniając funkcje jak gdyby dozorczyni; jestem najgłębiej przekonany, że zemściła się na mojej przyjaciółce za jej zachłanność i brak taktu, bo po cóż było skarżyć madame Mordieu do sądu o zwrot parudziesięciu posążków Buddy mniejszych i większych rozmiarów z różnych gatunków marmuru oraz miedzi, przeróżnych bodhisattwów, demonów, smoków i zwierząt z laki, nefrytu, kości słoniowej, gliny, kamieni półszlachetnych i starej porcelany, podarowanych jej przez gubernatora w ostatnim roku życia. Guevenou proces oczywiście wygrała, udowadniając zaświadczeniami lekarzy, że wtedy (w

roku 1961) starzec znajdował się już w stanie zupełnej sklerozy i rozkojarzeń, co właśnie zadokumentował swoim zadziwiającym darem, dekompletując wielkiej wartości kolekcję przeznaczoną odpłatnie dla Muzeum Człowieka.

Podejrzewam, że pani Mordieu od samego początku wiedziała, co się u nas dzieje, bo nie raz ją oglądałem, jak – niby to pracując w swoim niedużym ogródeczku przytykającym do naszej posesji od strony garażu – patrzyła przez szczelinę w kamiennym ogrodzeniu, było to pęknięcie w murze nie większe od szerokości dłoni, poczynając od zarysowania tuż przy ziemi i rozchylające się ku górze.

W drugim miesiącu naszej stałej współpracy z zespołem Wielkiego Reformatora (zresztą na parę dni przed wakacjami!) Guevenou, roztrzęsiona, pokazała mi w czasie wieczornego spektaklu numer „Ici Paris” (bulwarowe pisemko na niedzielę, w Paryżu nie czytowane) mówiąc, że przyszło właśnie pocztą, skierowane do niej na adres sali Alhambra, ekspresem pod banderolą.

Tutaj, na trzeciej stronie, ujrzałem tytuł czerwonymi wołami przez całą szerokość kolumny: *Skandal w zespole baletowym Wielkiego Reformatora*. Podtytuł: *Kulisy Spektaklu Braterstwa między Rasami i Narodami*. Niżej: *Czarna baronówna, córka eks-gubernatora Dahomeju, więzi w garażu murzyńskich niewolników-tancerzy*. Zdębiałem: pod tymi tytułami zdjęcia Guevenou na scenie w roli Mulatki-Symbolu jednoczącego obie rasy, czarną i białą, oraz mniejsze, w zbliżeniu. Włamane w tekst fotografie przedstawiały życie murzyńskich tancerzy w naszym garażu, i to tak sprytnie zrobione, że w tle pojawiało się zawsze brązowe popiersie gubernatora (z brodą, twarz w sile wieku), a nawet zbliżenia, np. stara Murzynka (matka) odgrzewa na kuchence gazowej jedzenie, gdzie indziej wszyscy oni leżą pokotem na gołej ziemi, zostawiwszy otwarte wierzeje, pewnie dla chłodu, widać, że zdjęcie zostało zrobione w ciemnościach z pomocą flesza i teleobiektywu, a dla nas jasne od pierwszego wejrzenia, że fotografowano przez ową szczelinę w murze z posesji madame Mordieu, gdzie ją tak często widywałem obserwującą z zainteresowaniem życie po naszej stronie. Najniżej spostrzegłem także i siebie z koszykiem (ale na szczęście od tyłu), kupującego większe ilości puszek konserwowych w „Prisuniku” przy rue Grégoire-de-Tours (obok Buci, targu w śródmieściu Paryża), widać ktoś musiał mnie śledzić. W trakcie czytania artykułu i ja się zdenerwowałem, wierzyć mi się nie chciało, były tu bowiem uszeregowane te wszystkie wiadomości, jakich nieopatrznie udzielałem pani Mordieu w zupełnie dobrej wierze, gdyż osobiście nie miałem z tą kobietą na pieńku i kiedy Guevenou nie widziała, chętnie z nią rozmawiałem, ujęty tym, że mnie po tylu latach poznała („to przecież pan przyjeżdżał wtedy na wiosnę pięćdziesiątego ósmego z nieboszczykiem i taskał pan to jego popiersie z brązu, ale czarna córuchna wywaliła je od razu z pokojów do garażu, nie wie pan, jak się czuje ta dobra hrabina Strogoff?”), opowiadała mi potem o dawnych czasach i życiu gubernatora, kiedy tu spędzał lato, a ona mu gotowała, od kulinarnej strony padło pierwsze pytanie („co my obecniejemy?”), nie widziałem powodu, aby jej nie opowiedzieć wszystkiego. Za to teraz czytałem: „Występna baronówna morzy Murzynów głodem, jej przyjaciel, polski stypendysta w Paryżu (tu zdrętwiałem, ale mego nazwiska na szczęście nie wymieniono, widać było za trudne dla Francuzów), dokonuje zakupów najtańszych puszek rybnych (o mięsnych nic nie było), wyłączwszy zupełnie witaminy, jakie dają jarzyny i owoce...”, a potem przeczytałem o rzeczach zupełnie mi niewiadomych: że wszystkie gaże z zespołu Wielkiego Reformatora inkasuje Mlle Hachan de Vardelain do własnej kieszeni, co, licząc po 35 franków za występ od osoby, czyni (dwunastu Murzynów) okrągłą sumę 420 franków dziennego tylko dochodu. Spojrzałem na Guevenou, nie dostrzegłem w wyrazie jej wielkich czarnych oczu żadnego zawstydzenia, jedynie okropny grymas ptasiej w tej chwili twarzy.

Ale już dzwonki wzywały na przedstawienie; po jego skończeniu wracaliśmy do Chantilly w jak najgorszym nastroju, wioząc jak zwykle z tyłu ściśniętą na wąskich ławeczkach czeredę Murzynów (nic jeszcze nie wiedzieli), dopiero kiedy zaryglowawszy, tym razem od zewnątrz,

wrota garażu, a także okiennice, weszliśmy już do siebie, Guevenou oszalała; zamknięta razem ze mną w salonie, gdzie tylko połyskiwały białymi gałkami oczysk drewniane maski murzyńskie o policzkach znaczonej trzema pionowymi cięciami, miotała się dosłownie od jednej do drugiej ściany. Później, cokolwiek uspokojeni wpływem kilku godzin i jakimś alkoholem, analizowaliśmy, jak mogło dojść do tego, w jaki sposób przeciekły na zewnątrz do tego stopnia dokładne informacje (a co najgorsze, że wszystko było prawdą), braliśmy pod uwagę przeróżne możliwości, zastanawialiśmy się, co za ukryta ręka ruszyła cały mechanizm i w jakim celu, Guevenou przypuszczała, że zrobili to jacyś konkurenci – tancerze pragnący na jej miejsce wśliznąć się do zespołu Wielkiego Reformatora, i przyznałbym jej rację, gdybym, nad samym ranem, zapewne pod wpływem pitego ciągle trunku w połączeniu z ostatecznym zmęczeniem i zdenerwowaniem, nie opowiedział jej pomału o mych rozmowach poprzez szczelinę w murze z sąsiadką, panią Mordieu, która się tak szczegółowo o wszystko rozpytywała. Siedzieliśmy na kanapie, tej samej, na której w roku 1958 gubernator zaszczerpił w mej wyobraźni pierwsze, nieśmiałe jeszcze wirusy owego tajnego niepokoju, zjadającego mnie odtąd aż do tej pory, i teraz, po moim zwierzeniu, nagle zauważyłem, że Guevenou oczy wychodzą z orbit jak wówczas Delianie Hańczykównie, gdy wariowała, bardzo się przestraszyłem, przez dobrą bowiem chwilę nie mogła zupełnie wydobyć z siebie głosu. Potem nagle zerwała się, wybiegła do jadalni położonej od strony południowej i natychmiast wróciła trzymając oburącz, prawidłowo, ów olbrzymi jatagan do robienia przesieków w dżungli, pamiątkę po Piotrze de Brazza, i nie wiem czemu, przemknęło mi podówczas błyskawicą przez głowę: „od niego Brazzaville”, lecz już bez dalszych skojarzeń, nie było na to czasu, bo Guevenou sunęła teraz ku mnie ruchem czającego się kota, chciała mnie chyba zabić. Doskoczyłem do okna, lecz przypomniałem sobie, że sam je przesłoniłem od zewnątrz okiennicami ze skośnie ustawionych listewek, runąłem więc na nie całym impetem ciała, lądując szczęśliwie na trawniku, nieco poharatany, nie wiem, jakim sposobem przesadziłem kamienny mur, dość wysoki, i nagle znalazłem się obok pani Mordieu, która, pomimo wczesnej pory, stała przy swojej szczelinie w towarzystwie młodego, przystojnego człowieka. Wyprowadziła mnie przez swój dom na ulicę, pobiegłem co tchu ku dworcowi i zaraz odjechałem pierwszym porannym pociągiem do Paryża.

Guevenou już nie oglądałem, sprawa się wałkowała jeszcze przez dobre dwa tygodnie po paryskich dziennikach (np. w „Paris-Soir” cykl artykułów, a nawet zajęło się nią w ogólniejszym ujęciu „Le Figaro”, ale nie wspominało już nic o moim udziale); to, co jest mi wiadome o dalszym rozwoju wypadków, pochodzi tylko z prasy, gdyż ze wszystkimi znajomymi z kręgu baletowego natychmiast pozrywałem, chcąc zatrzeć ślady. Pisano, że do Chantilly przyjechał ambasador Republiki Dahomeju, zmuszając baronównę Hachan de Vardelain, aby zwróciła paszporty tancerkom i tancerzom (to wiedziałem, że Guevenou wszystkie dowody im schowała) i aby wykupiła w trybie natychmiastowym dwanaście biletów powrotnych z Paryża do Porto Novo, musiała także wypłacić Murzynom przytrzymywaną gażę. Gazety podały w tydzień później notatkę, wraz ze zdjęciem robionym na lotnisku Orly, informującą, że Dahomejczycy odlecieli do domu.

Guevenou ukryła się podobno po tym skandalu w Portugalii u przyjaciół, a jednak mam jakąś niejasną nadzieję, że jeśli kiedyś znowu przyjadę do Paryża i usiądę w kawiarni po nieparzystej stronie bulwaru Saint-Michel, pomiędzy księgarnią Giberta od strony wody a wąską uliczką Huchette, wychynie może z metra Mulatka smukła, o twarzy cokolwiek spłaszczonej, że ją dogonię na rogu rue Huchette, a potem, siedząc przy ulubionym stoliku gubernatora, będziemy przy szklance piwa Slavia wspominali, opowiem jej na koniec, że tak niefortunnie podówczas w tę sprawę zaplątany, musiałem nawet zmienić na jakiś czas mieszkanie (i słusznie, bo się podobno o mnie w starym parę razy pytano), a potem w ogóle zniknąłem z Paryża, bo wyjechałem z wycieczką do Maroka, biorąc udział w międzynarodowej wyprawie młodych historyków i archeologów „Śladem wędrówek Wandalów”.

